



KAMIL KOŁSUT

**MUNDIAL. SPEKTAKL STARANNIE
WYREŻYSEROWANY** s. 16



NATALIA MILLER

**POLSKIE MAŁŻEŃSTWA
PRZECHODZĄ KRYZYS** s. 18

Prenumerata 2023

To już ostatni moment

Zamów na prenumerata.rp.pl



RZECZPOSPOLITA



Plus Minus

RP.PL/PLUSMINUS 35063X WYDANIE W1 NR 293 (12448) PLUS MINUS 50 (1551)

SOBOTA-NIEDZIELA 17-18 GRUDNIA 2022



RACHUNKI, INFLACJA, BEZROBOCIE

CZY PRZETRWAMY KRYZYS?



9 770208 130685 50

CENA 11,50 ZŁ (w tym 8% VAT)

K. SIUDA



BOGUSŁAW CHRABOTA

UKRAINA: ARMATY I GOSPODARKA

Gdy wojna w Ukrainie się skończy, tylko po przeprowadzeniu fundamentalnych reform Kijów ma szanse na prawdziwą odbudowę.

To niemal powszechny aksjomat, że wojna powoduje gigantyczne straty. Dokładnie w ten sam sposób myślimy również o wojnie na wschodzie Europy, która osłabia, choć niesymetrycznie, obie strony: Rosję i Ukrainę. Skala zniszczeń, zatrzymanie dotychczasowej produkcji, przestawienie gospodarki na tryb wojenny, brak rąk do pracy, szybka dewastacja infrastruktury i zasobów zbrojeniowych – wszystko to powoduje ubytki, po których powrót do przedwojennego status quo zajmuje lata i wymaga nadzwyczajnych środków wsparcia na miarę planu Marshalla.

Trudno generalnie z tym osądem się nie zgodzić, choć dużo ważniejsze jest to, że osłabienie gospodarcze uczestników wojny jest nierównomierne. By to zilustrować, warto spojrzeć na bilans gospodarek krajów zaangażowanych w II wojnę światową. Nie wszyscy wielcy uczestnicy na niej stracili. Najwięcej straciły Polska, której PKB spadł między 1938 r. a 1945 r. o 45 proc., Francja – 45,7 proc. i Włochy – 40,5 proc. Ale już gospodarka Wielkiej Brytanii wzrosła w tym samym czasie o 16,6 proc., a Stanów Zjednoczonych aż 75 proc. Gospodarka pozornie neutralnej w czasie wojny faszystowskiej Hiszpanii, mimo ledwie co ukończonej wojny domowej też wzrosła w analogicznym okresie o 35 proc. A jeszcze ciekawszy jest bilans gospodarczy sprawcy wojny – Niemiec. Tu spadek PKB między 1938 a 1945 r. należał do najmniejszych. Wyniósł 11,7 proc.

Kiedy patrzy się na zdemolowane Hamburg, Drezno, Berlin czy Kolonię, gigantyczne straty ludzkie i w sprzeczce wojskowym – wydawać by się mogło, że w 1945 r. Niemcy były gospodarczą pustynią. Tyle że to nieprawda, bo do późnego 1944 roku działania wojenne toczyły się poza terytorium Rzeszy, a gospodarkę niemiecką napędzał wysiłek zbrojeniowy i miliony niewolniczych pracowników zwozonych z całej Europy. Gospodarka niemiecka najbardziej spowolniła po

wojnie. Wskutek podziału na strefy okupacyjne, wywózek i konfiskat, przesunięcia siły roboczej z przemysłu od odbudowy miast – PKB Niemiec w 1946 roku spadł o ponad 52 proc. I ten upadek trwałby przez kolejne lata, pozostawiając Niemcy na marginesie gospodarczym Europy, gdyby nie plan Marshalla i reformy Erharda na zachodzie, dzięki czemu w ciągu trzech, czterech lat (głównie dzięki inwestycjom i eksportowi) zaczął się cud gospodarczy, który wyprowadził Republikę Federalną Niemiec na ścieżkę sukcesu i w konsekwencji na pozycję lidera gospodarczego Europy.

Mam świadomość, że analogie nie zawsze są uprawnione, a zasady odnoszą się do różnych czasów w różnym stopniu, niemniej spróbujmy przenieść tamto doświadczenie sprzed prawie ośmiu dekad na dzisiejsze czasy. Wojna dewastuje Ukrainę od ponad dziewięciu miesięcy, już dziś straty są gigantyczne. Oprócz ofiar śmiertelnych i ludzi „ukradzionych” przez Rosjan, szacuje się, że prawie jedna piąta ludności kraju uciekła do Europy Zachodniej. Według analiz Allianz Trade PKB Ukrainy skurczył się o jedną trzecią. Inflacja sięga 26,6 proc. rocznie. Sieć energetyczna jest w znacznym stopniu zniszczona. Deficyt handlowy wynosi co najmniej 5,5 proc. PKB; zadłużenie zewnętrzne brutto to co najmniej 85 proc., deficyt budżetowy sięga co najmniej 11 proc., a dług publiczny co najmniej 65 proc. Hrywna straciła jedną piątą wartości. Ale wysiłek wojenny kraju trwa nadal. A koszty się mnożą. Wedle szacunków G.W. Kołodki zawartych w jego ostatniej książce „Wojna i pokój”, działania wojenne kosztują Ukrainę 400 mln dol. dziennie; w skali roku to 146 mld dol., o połowę więcej, niż wynosi ukraiński dochód narodowy, który wskutek wojny skurczy się w 2022 do 100 mld dol. W tym samym czasie straty gospodarki rosyjskiej były dużo mniejsze. G.W. Kołodko zakłada, że jeśli wysiłek wojenny Moskwy jest analogiczny, a nawet nieco większy od ukraińskiego, to sięga on zaledwie 9 proc. PKB. MFW szacuje roczny spadek PKB na 6 proc.

Wnioski? Dla Ukrainy, niestety, dramatyczne. Rosja, mimo że światowa izolacja mocno ją osłabi, zawsze znajdzie rynki zbytu na swoje surowce

(choć po niższych cenach) i nauczy się zastępować zachodnie technologie pochodzącymi z innych sojuszniczych krajów BRICS. Strategicznie doprowadzi to do częściowej skansenizacji jej gospodarki, może nawet jej wyjałowienia, niemniej Rosja jest przygotowana na długi konflikt. I – zakładając, że partia wojny utrzyma się na Kremlu – może go ciągnąć przez lata. Straty gospodarki ukraińskiej są nieporównywalnie większe, więc stabilność państwa jest zależna wyłącznie od gospodarczego i militarnego wsparcia Zachodu.

Na jak długie wsparcie Kijów może liczyć? Nie wiadomo. Wszelkie przesłanki polityczne i humanitarne przemawiają za kontynuacją pomocy, niemniej Kijów już dziś winien zrozumieć, że ta pomoc nie jest, nie będzie i nie może być żadnym „modelem biznesowym” państwa w konflikcie. Zatem elity ukraińskie powinny już dziś pracować nad scenariuszem zakończenia tej wojny. Myślę nie o rozwiązaniach taktycznych, choć te są w aktualnej fazie wojny podstawowe. Kiedy Ukraina będzie już pewna swego, prawdopodobnie dojdzie do przerwania ognia i rozpoczęcia negocjacji. Z perspektywy, o której piszę, dużo ważniejsza jest strategia przetrwania i odbudowy państwa. To powinno stać na agendzie Zełenskiego już od dawna.

Prezydent Ukrainy powinien przygotować kraj do fundamentalnych reform. Skutecznie, poprzez nowe ustawodawstwo (śladem Ludwiga Erharda) rozwiązać odwieczne ukraińskie problemy z korupcją, oligarchizacją gospodarki i nepotyzmem. Przebudować ustrój samorządów i system wymiaru sprawiedliwości. Stworzyć od nowa system fiskalny państwa. Tylko wtedy, po zakończonej wojnie, Ukraina otrzyma szansę na odbudowę dzięki nowemu planowi Marshalla. Będzie miała szansę pójść ścieżką powojennych Niemiec. Bez tych zmian nikt poobijanemu państwu niezbędnych funduszy nie powierzy. Innymi słowy, prawdziwe wyzwania dopiero przed Kijowem. A zrozumienie ich skali będzie możliwe dopiero, gdy w końcu ucichną armaty. /©©

DANIE GŁÓWNE

4 Zapłacą nasze dzieci i wnuki

BOGUSŁAW GRABOWSKI, EKONOMISTA Partie polityczne w walce o władzę nie mówią wyborcom bolesnej prawdy o stanie gospodarki. Wolą im schlebiać

6 Widmo bezrobocia

PIOTR ARAK Dzisiaj skupiamy się na losie młodego pokolenia na rynku pracy czy trudnościach w znalezieniu pracownika. Bezrobocie tak dużego jak na początku XX w. nie będzie

8 Fałszywy dylemat

LESZEK BALCEROWICZ Szkody pisowskiej polityki z całą mocą ujawnia się w 2023 r. Będziemy mieli znikomy wzrost gospodarczy i niemal najwyższą inflację w całej UE

10 Jak prowadzić knajpę w kryzysie i z niestrawnym rządem

ANETA WAWRZYNIAK Ostatnie lata to była pogoń nie wiadomo za czym. Coraz więcej ludzi mówi: halo, musimy przemyśleć nasz styl życia. I może rzeczywiście przyszedł na to czas

14 Puste szuflady z pomysłami

PIOTR ZAREMBA Adam Głapiński może być dla PiS gwoździem do trumny. Nie tym nawet, co robi, ale tym, co mówi

CYWILIZACJA

16 Prawda czy fałsz

KAMIL KOŁSUT Z KATARU Jesteśmy w kraju, gdzie jest systemowy rasizm. Gdzie biedni pozostaną biedni, a bogaci pomnożą majątki

18 I nie opuszczę cię, dopóki nie odejdę

NATALIA MILLER Wielu małżonków podczas pandemii zobaczyło, że do siebie nie pasują i mają zupełnie inne priorytety życiowe. Woleli się rozstać, niż zaważać o związek

21 Prymasowskie miłosierdzie

TOMASZ KRZYŻAK, PIOTR LITKA Kard. Wyszynski uznał, że dwa lata, które książę Ryszka spędził w więzieniu za krzywdzenie siedmioletniej dziewczynki, to kara wystarczająca

26 Z Rzymem albo i bez Rzymu

TOMASZ P. TERLIKOWSKI Skandal wśród grekokatolików wywołały powracające próby wybielania Rosji i Rosjan przez papieżstwo

28 Miasto z historii, miasto z kosmosu

BOGUSŁAW CHRABOTA O BUSAN A potem przychodzi kucharz, wybiera najtłustszego karpia i niesie do kuchni. Tam rach-ciach. Po kwadransie ryba spogląda zmętniałymi oczyma na siedzącego przy stole klienta

KULTURA

30 Kobieta pracująca bywa nieśmiała

BARBARA HOLLENDER Léa Seydoux nie ma perfekcyjnych rysów Catherine Deneuve, ale na ekranie bywa bardzo atrakcyjna

32 „Plus Minus” poleca

REKOMENDUJE Grzegorz Kalinowski; **FILM** „Kobieta na dachu”, reż. Anna Jadowska, dystr. Kino Świat; **SERIAL** „Wednesday”, twórca: Tim Burton, dystr. Netflix; **KSIĄŻKA** „Przygodne rozważania. Felietony”, Elena Ferrante, tłum. Lucyna Rodziewicz-Doktór, ilus. Andrea Ucin, wyd. Sonia Draga; **KSIĄŻKA** „The Storyteller. Opowieści o życiu i muzyce”, Dave Grohl, Wydawnictwo Marginesy, tłum. Adam Zdrodowski; **GRA** „Fortnite: Rozdział 4”, Epic Games, platformy: PC, PS4, PS5, X 1, XSX

MATERIAŁ PARTNERA

34 Polskie dziedzictwo potrzebuje opiekunów

DOROTA JANISZEWSKA-JAKUBIAK, DYREKTOR INSTYTUTU POLONIKA Wiele miejsc na Wschodzie wymaga opieki

INNE ŚWIATY

36 Trzeba było włączyć światła

JUSTIN FENTON Skoro układ sił w Baltimore

był tak niekorzystny, większość ofiar nawet nie próbowała cokolwiek zgłaszać

38 Mróz, step i życzliwi ludzie

MAGDALENA SUCHAN, WOJCIECH KUCIŃSKI W listopadzie wyruszyła sztafeta rowerowa śladami armii Andersa

POLSKA OD UCHA DO UCHA

39 Go To Hell!

ROBERT GÓRSKI, MARIUSZ CIEŚLIK Powrót katarskiego inwestora, rosyjskie mercedesy jadą do Polski i prawdziwy hit tygodnia: „Dziady” Michniewicza!

KRÓTKIE FORMY

7 Potrzeba ekonomii solidarności

TOMASZ P. TERLIKOWSKI Kronika przepowiedzianej katastrofy

24 Biała magia

JAN MACIEJEWSKI W kontrapunkcie

38 Święta w gębie

ROBERT MAZUREK Wina Mazurka

40 Pean dla niezastąpionego

ROBERT MAZUREK Mazurek na wynos

40 Kompromis do odkręcenia

KATARZYNA SADŁO Kataryna

RYSUJE MIROSŁAW OWCZAREK



MICHAŁ SZULDRZYŃSKI

SZALEŃSTWA
TEGO ŚWIATA

KOŚCIÓŁ ZŁĘKNIONY

Jakaż słaba musiałaby być w narodzie wiara, jeśli miałoby ją zniszczyć odnalezienie przez historyków lub dziennikarzy dowodów na zaniedbania Karola Wojtyły.

znów mamy wojnę! Nie jakąś tam zimną, ale gorącą. Gorącą wojnę w Kościele. Wytaczane są najcięższe działa. „Nasz Dziennik” ogłosił, że doszło do ataku na świętość najwyższą – Jana Pawła II. „Każdy z nas musi się teraz opowiedzieć, czy broni Kościoła, czy staje przeciw niemu, atakując Ojca Świętego. Domysły na temat rzekomych zaniedbań ks. kard. Karola Wojtyły w sprawie nadużyć osób duchownych wobec nieletnich to przekaz mający zatruć serca wiernych” – grzmi Krzysztof Gajkowski z „Naszego Dziennika”.

O zgrozo, okazało się, że bezpośrednim casus belli nie były artykuły w mediach świeckich, ale wywiad, jakiego mój redakcyjny kolega Tomasz Krzyżak udzielił największemu tygodnikowi katolickiemu w Polsce, czyli „Gościowi Niedzielnemu”. Opisał w nim swoje badania nad reakcjami kurii krakowskiej na przypadki pedofilii wśród księży – m.in. ks. Surgenta, którego historię przedstawiliśmy dwa tygodnie temu w „Plusie Minusie”. Wywiad ukazał się pt. „Kardynał Wojtyła wyprzedzał epokę”, bo Krzyżak pokazał, że dostępne nam dokumenty pozwalają uznać, iż metropolita krakowski reagował w stopniu nawet większym, niż wymagały tego ówczesne przepisy.

Autorów „Naszego Dziennika”, którzy przez cały tydzień lustrowali Krzyżaka, szukając skrzywień i odchyień, oburzyło to, że ośmielił się pytać o skalę tego typu zjawisk z czasów, gdy kard. Wojtyła odpowiadał za diecezję krakowską, i o to, jak działała podległa mu kuria. „Redakcja, która publikuje tekst zawierający pytania i sugestie na temat ewentualnych zaniedbań ks. kard. Karola Wojtyły, wykazała się dużą nieroztropnością. (...) Stawianie pytań bez odpowiedzi i wzbudzanie wątpliwości, nawet bez stawiania jednoznacznych zarzutów (...), wpisuje się w liberalno-lewicowe ataki, jakim ostatnio z dużą agresją poddawany jest zarówno św. Jan Paweł II, jak i cały Kościół” – oburza się łamach „ND” prof. Wiesław Wysocki.

Jeszcze dalej idzie były biskup diecezji świdnickiej Ignacy Dec. „Papież Jan Paweł II jest święty! Został ogłoszony oficjalnie świętym po procesie kanonizacyjnym zatwierdzonym przez Stolicę Apostolską. Wszelkie dzisiejsze insynuacje i rozważania, że na jakimś etapie życia mógł podejmować decyzje błędne, to próba zasiania wątpliwości wśród wiernych” – wyrokuje w „ND”. I dorzuca: „Prasa katolicka ma za zadanie umacniać wiarę, a nie wzbudzać wątpliwości”.

Niezrozumiała to dla mnie logika. Zarówno jako dziennikarza, jak i katolika. Z publikacji „Naszego Dziennika” wylania się obraz ludzi wierzących jako stada baranów, którym nie wolno przekazywać pewnych wiadomości, bo jeszcze stracą wiarę. Rola dziennikarza pomieszana tu zostaje z rolą kapłana. W dodatku świętość człowieka nie wyklucza przecież tego, że popełniał błędy i grzeszył. Ewangelia pełna jest opisów upadków i niewierności apostołów. Jeśli nawet okazałoby się, że Jan Paweł II jako biskup nie był ideałem, nie zmienia to jego świętości.

Kościół wierzy w Boga, a nie w ludzi. Jakaż słaba musiałaby być w narodzie wiara, jeśli miałoby ją zniszczyć odnalezienie przez historyków lub dziennikarzy dowodów na domniemane wciąż zaniedbania Karola Wojtyły jako biskupa, kardynała czy później papieża. Nie przemawia do mnie wizja lękliwego katolicyzmu, który boi się pytać. Wątpienie jest elementem wiary – jak uczył św. Augustyn. Wiara bez wątpliwości zmienia się w ideologię albo program polityczny.

Plus Minus

Magazyn „Rzeczpospolitej” redagują:

Michał Szuldrzyński.....22 463 04 09

z zespołem:

Jakub Cegiela (zastępca szefa), Hubert Salik (sekretarz redakcji), Kazimierz Groblewski, Krzysztof Cieślak, Marcin Kube, Jan Maciejewski, Michał Płociński

stałe współpracują: Artur Bartkiewicz, Jędrzej Bielecki, Jacek Borkowicz, Jacek Cieślak, Mariusz Cieślak, Michał Dobrowolowicz, Robert Górski, Barbara Hollender, Janusz Kapusta, Łukasz Kochanowski, Kamil Kolsut, Tomasz Krzyżak, Irena Lasota, Marcin Łuniewski, Jacek Marczyński, Robert Mazurek, Natalia Miller, Eliza Olczyk, Mirosław Owczarek, Katarzyna Płachta-Kube, Katarzyna Sadło, Joanna Szczepkowska, Ruslan Szoszyn, Tomasz P. Terlikowski, Aneta Wawrzyniak, Piotr Zaremba

■ redaktor graficzny: Jarosław Malecki.....22 463 05 01
■ fotoreporter: Anna Wdowińska.....22 463 03 07
■ obróbka zdjęć: Tomasz Rojek
■ e-mail: plusminus@rp.pl

RZECZPOSPOLITA

■ REDAKTOR NACZELNY: Bogusław Chrabota

■ ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO: Tomasz Pietryga, Andrzej Stec, Michał Szuldrzyński, Cezary Szymanek

■ I SEKRETARZ REDAKCJI: Tomasz Sobiecki.....22 628 81 44

■ DYREKTOR ARTYSTYCZNY: Konrad Sluda.....22 463 05 83

■ SZEFOWIE DZIAŁÓW:
krajowy Tomasz Krzyżak.....22 653 01 10
zagraniczny Jerzy Haszczyński.....22 628 71 70

opinii Michał Szuldrzyński.....22 463 03 51
ekonomiczny Krzysztof A. Kowalczyk.....22 463 01 28
prawa Anna Wojda.....22 463 03 19
kultury Jacek Cieślak.....22 463 03 92
sportowy Mirosław Zukowski.....22 629 65 26
studio graficzne Robert Wittek.....22 463 01 39

■ WWW.RP.PL:
Cezary Szymanek – redaktor naczelny
■ ŻYCIE REGIONÓW:
Hanna Wawrowska – pełnomocnik zarządu ds. rozwoju regionów odpowiedzialna za projekt h.wawrowska@rp.pl
Andrzej Krakowiak – redaktor prowadzący a.krakowiak@rp.pl

■ ADRES REDAKCJI: ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa, fax: 22 628 05 88
automatyczna centrala telefoniczna: 22 4630 + numer wewnętrzny; łączenie przez telefonistkę 22 628 34 01; internet: www.rp.pl

ISSN 0208-9130; Redakcja zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania tekstów.
Copyright © Gremi Media S.A.
Wszystkie prawa zastrzeżone (łącznie z tłumaczeniem na języki obce).

■ WYDAWCA
Gremi Media S.A.
ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa

gremi
media

DZIAŁY:
■ sprzedaż.....22 463 01 12
■ marketing.....22 463 03 47
■ Agencja Fotorepza.....22 463 03 07

■ PRENUMERATA „Rz”: www.rp.pl/prenumerata
Bezpłatna infolinia 800 120 195
Zamówienia na prenumeratę przyjmują jednostki
Ruch S.A., Kolporter Sp. z o.o. S.K.A., Garmond Press, GLM, As Press oraz urzędy pocztowe.

■ PRENUMERATA ELEKTRONICZNA
(e-wydanie, wydanie na tablety):
tel.: 801 15 15 15, e-mail: serwis@rp.pl
www.rzeczpospolita.pl, www.e-kiosk.pl, www.e-gazety.pl

■ BIURO SPRZEDAŻY GREMI MEDIA S.A.
tel. (+48) 22 629 86 14, (+48) 22 621 48 69
fax (+48) 22 621 46 58, (+48) 22 625 61 57
reklamainfo@rp.pl

Dyrektor Biura Reklamy i Ogłoszeń
tel. (+48) 22 46 30 187, reklamainfo@rp.pl

Dyrektor Biura Konferencji i Projektów Specjalnych
tel. (+48) 22 46 30 147, projekty@rp.pl

Dyrektor Działu Szkoleń
tel. (+48) 22 46 30 188, wydazenia@rp.pl

Projekt Nieruchomości
tel. (+48) 792 904 888, www.nieruchomosci.rp.pl

ZAMÓW OGŁOSZENIE, KOMUNIKAT, NEKROLOG
tel. (+48) 22 629 86 14, (+48) 22 621 48 69
fax (+48) 22 621 46 58, (+48) 22 625 61 57
reklamainfo@rp.pl

■ NR KONTA: ING Bank Śląski S.A.
14 1050 1025 1000 0090 3096 4259

■ DRUK: Agora SA, Polska Press sp. z o.o.
Za treść ogłoszeń redakcja nie ponosi odpowiedzialności.
Niezamówionych materiałów i utworów Redakcja i Wydawca nie zwracają.



ELIZA OLCZYK

Obserwuje pan publiczne kłótnie w Radzie Polityki Pieniężnej. Co pan o tym sądzi?

Przyznam, że dla mnie to jest nie do pomyślenia. Pięciu członków Rady podpisało się pod pismem straszącym prokuratorem pozostałą trójkę, dochodzi do ograniczenia dostępu do informacji, do niezwoływania posiedzeń Rady mimo regulaminowego wniosku trzech członków. Wszystko to obniża autorytet RPP i samego prezesa NBP, który na dodatek naraża się na zarzut przekraczania swoich kompetencji. Poprzez takie działania prezes NBP nie zmienia poglądów tych trzech członków Rady desygnowanych przez Senat ani sposobu ich głosowania. Nie zmusi ich też do ograniczenia udziału w debacie publicznej, do czego mają prawo wszyscy członkowie wszystkich kolegialnych ciał we wszystkich bankach centralnych świata.

Zasiadał pan w pierwszej Radzie Polityki Pieniężnej. Czy tamta Rada była jednomyślna?

To był okres, kiedy większość ludzi uczestniczących w życiu publicznym miała za cel modernizację kraju i wprowadzanie go na wyższy poziom cywilizacyjny. Teraz mamy proces deptania wszystkich osiągnięć poprzedniego okresu i niszczenia instytucji, również NBP. Gdy po raz pierwszy została powołana RPP, w 1998 roku, na podstawie nowej konstytucji, to w Polsce mieliśmy inflację powyżej 14 proc., utrzymującą się uporczywie od lat i najwyższą w Europie Wschodniej. Mieliśmy usztywniony kurs walutowy i to on miał tę inflację obniżyć poprzez pelzającą dewaluację złotego. Nie mieliśmy czegoś takiego jak stopa procentowa jako instrument banku centralnego. Nie mieliśmy prawie w ogóle kredytów hipotecznych na rynku, bo mało kto chciał się zadłużać przy oprocentowaniu rządu 21 proc. W ciągu naszej kadencji obniżyliśmy inflację do 2 proc., ustaliliśmy cel inflacyjny, doprowadziliśmy do upłynnienia kursu walutowego, co było wspólną decyzją z rządem, wprowadziliśmy gospodarkę rynkową w zakresie bankowości centralnej i polityki pieniężnej. A ponieważ w Polsce nikt nie miał zielonego pojęcia o tym, co robiliśmy – od strony teoretycznej i praktycznej – to jeszcze organizowaliśmy szkolenia dla pracowników banku centralnego, dziennikarzy, analityków, ekonomistów. Krótko mówiąc, zbudowaliśmy system, w ramach którego działały wszystkie kolejne RPP.

No dobrze, ale czy były spory?

Ojej, jeszcze jakie. Pierwsza decyzja Rady, która zakazała operacji otwartego rynku, czyli sprzedaży papierów wartościowych banku centralnego o terminie wykupu dłuższym niż miesiąc, spotkała się z pisemnym protestem całego zarządu NBP. Ówczesna prezes Hanna Gronkiewicz-Waltz głosowała przeciwko tej decyzji. W uchwale zarządu NBP napisano m.in., że Rada prowadzi kraj do katastrofy, zaleje rynek nadpłynnością złotego, inflacja wybuchnie ze zdwojoną siłą. Nic takiego nie nastąpiło. Kolejny powód do sporu to był plan finansowy NBP, który miała zatwierdzić RPP. A ja przed objęciem stanowiska w Radzie byłem prezesem niedużego banku komercyjnego – Petrobanku. Plan finansowy NBP liczył chyba cztery strony, a w moim Petrobanku kilkadziesiąt stron, mimo że suma bilansowa mojego banku to był 1 promil sumy bilansowej NBP. Dlatego wniosłem o zdjęcie tego punktu z porządku obrad do czasu przygotowania prawidłowego budżetu.



PIOTR WANDER/FORUM

ZAPŁACĄ NASZE DZIECI I WNUKI

**ROZMOWA Z BOGUSŁAWEM GRABOWSKIM, EKONOMISTĄ,
CZŁONKIEM PIERWSZEJ RADY POLITYKI PIENIĘŻNEJ**

Mamy gospodarkę o wiele bardziej zrujnowaną, niż się to społeczeństwu wydaje. Inflacja nie będzie spadała, skoro od 1 stycznia o 14 proc. zostaną podniesione wynagrodzenia, a w marcu będziemy mieli prawie 14-procentową waloryzację rent i emerytur. My dopiero jesteśmy na etapie rozkręcania inflacji.

To ostro pan sobie poczynal.

Wnastępnym tygodniu mieliśmy już 100-stronicowy projekt budżetu NBP. Zatem były kłótnie i wewnątrz RPP, i między nami a urzędnikami NBP. Ale mniej więcej po roku mieliśmy już pełne poparcie pani prezes Gronkiewicz-Waltz. No i mieliśmy osiągnięcia, np. w zakresie upłynnienia kursu walutowego, którą to operację Międzynarodowy Fundusz Walutowy uznał za wzorcową.

Dwa miesiące kłóciliśmy się o to, czy cel inflacyjny w Polsce powinniśmy ustalić na 2 proc., tak jak we wszystkich bankach centralnych, czy na 2,5 proc. A ustaliliśmy 2,5 dlatego, że mieliśmy wtedy jeszcze transformacyjne przyczyny inflacji. Chcieliśmy dać większy bufor gospodarce, bo koszty społeczne obniżania inflacji są największe, gdy się ją zbija poniżej 5 proc. Obniżka z 10 proc. do 5 proc. jest zdecydowanie mniej kosztowna dla społeczeństwa i gospodarki.

Ale tych sporów chyba było więcej? Pamiętam kwestię utrzymywania wysokich stóp procentowych, która budziła sprzeciw rządu Leszka Millera.

Kwestia stóp procentowych była niesamowicie drażliwa i chyba trudno by mi było wymienić zwolenników tamtej naszej polityki. Największym problemem była aprecjacja złotówki. Tysiące ludzi przychodziły pod NBP protestować przeciwko naszym decyzjom. Rada Naczelna PSL przyjęła nawet uchwałę stwierdzającą, że RPP poprzez swoje decyzje zlikwidowała 1 mln 300 tys. miejsc pracy, że zabija polski eksport. Niezależność jest po to, żeby nie zwracać na to uwagi, jeżeli jest się świeżo przekonany, iż ma się rację. My mieliśmy rację, a oni wszyscy powinni się wstydić tamtej krytyki.

Dlaczego?

Sprowadziliśmy inflację do 2 proc., dzięki czemu przez ponad 20 lat rozwijały się kredyty hipoteczne w Polsce. Miliony młodych ludzi mogły kupić mieszkania, wyprowadzić się od rodziców, założyć rodziny. To były społeczne skutki naszej polityki.

20 proc. bezrobocia to też był społeczny skutek waszej polityki.

Chcę zwrócić uwagę, że – po pierwsze – zdecydowana większość ówczesnego bezrobocia wynikała z transformacji, w wyniku której upadały przedsiębiorstwa. Przez cały okres komunizmu inwestycje wyglądały tak jak obecna inwestycja w elektrownię w Ostrołęce, czyli były bez sensu. I faktycznie to wszystko upadało. Po drugie – zostaliśmy powołani w 1998 roku, a dziesięć miesięcy później mieliśmy największy kryzys w naszej części Europy, czyli ogłoszenie niewypłacalności Rosji. Nasz handel zagraniczny był w znacznej części zorientowany na wschód. Nie byliśmy wtedy jeszcze członkiem Unii Europejskiej i nie mieliśmy szansy na złagodzenie tego szoku wynikającego z utraty rynków w Rosji. Trzeba też pamiętać, że w tamtych latach na rynek pracy co roku wchodziło ok. 200 tys. ludzi więcej, niż z niego odchodziło, bo dorosłe życie rozpoczynał wtedy wyż demograficzny z przełomu lat 70. i 80. Nie wiem, co można było zrobić, żeby w takich warunkach bezrobocia nie było. Wzrost bezrobocia i tak był łagodzony programem wcześniejszych emerytur, na które ludzie przechodzili, schodząc z rynku pracy.

Czy wysokie stopy procentowe przyczyniły się do wzrostu bezrobocia czy nie?

Oczywiście, że tak. Ale to była racjonalna polityka. Jeżeli na skutek wysokiej inflacji utrwalają się oczekiwania płacowe, to jedynym sposobem ich przełamania jest doprowadzenie do takiego bezrobocia, które powstrzyma ludzi przed żądaniem podwyżek. Mechanizmu miękkiego lądowania w takiej sytuacji nie ma. Przypomnę, że wtedy wszystkie umowy wynajmu mieszkań, nieruchomości, kontrakty handlowe były denominowane w walutach obcych, konkretnie w dolarze. Nikt nie miał zaufania do złotego. W takiej sytuacji nie ma innego sposobu, jak obniżyć tak dalece popyt, by producenci i usługodawcy odeszli od mechanizmów indeksacyjnych, nawet godząc się na realne straty. To dopiero doprowadziło do obniżenia inflacji. Wiem, że teraz nie można sobie tego wyobrazić, bo każdy, kto miał w 1998 roku mniej niż 20 lat, w ogóle nie wie, o czym mówię.

Bo nie doświadczył inflacji na własnej skórze?

Oczywiście. W 2019 roku po wyborach parlamentarnych na posiedzeniu senackiej komisji pracującej nad budżetem przestrzegałem przed wzrostem inflacji. Mówiłem: nie podwyższacie stóp procentowych, doprowadzicie do inflacji, a w ślad za tym do takiego poziomu stóp procentowych, że będzie tragedia. Przedstawiciele RPP patrzyli na mnie jak na raroga. Stopy procentowe powinny być dużo wyższe, niż są, i nie powinno być żadnych wakacji kredytowych. Czy pani sobie wyobraża, co by się działo z kredytami, nie tylko hipotecznymi, gdyby stopy były wyższe? Tak na marginesie, wymyśliłbym sobie jakąś uprzywilejowaną klasę posiadaczy kredytów hipotecznych i nad nimi się litujemy. Opiekunowie osób niepełnosprawnych żyją w kompletnej nędzy i nikt się nimi nie zajmuje, a płacemy nad właścicielami mieszkań na kredyt. A wie pani dlaczego? Bo opiekunów osób niepełnosprawnych jest 250 tysięcy, a kredyty hipoteczne obciążają 2,5 mln gospodarstw, zatem stanowią problem społeczny, a więc i polityczny.

Jeżeli ktoś nie przeżył inflacji, to nie wie, jakie są jej skutki?

Oczywiście. Bo co innego wiedzieć, a co innego doświadczyć. My w tej chwili nie mamy w Polsce żadnego dyrektora finansowego, w jakiegokolwiek firmie, który za swojego dorosłego życia obserwowałby skutki wzrostu stóp procentowych. Od 1998 roku, kiedy została powołana pierwsza RPP, stopy procentowe były obniżane. Robiliśmy to wolniej, niż inni się domagali, bo chcieliśmy raz na zawsze wykorzystać inflację z gospodarki, ale obniżaliśmy. A co się dzieje teraz? Ledwie RPP zaczęła podnosić stopy procentowe, rząd po pięciu miesiącach ogłosił wakacje kredytowe.

Pan uważa, że to źle?

Przed wszystkim nigdy nie dopuściłbym do tego, żeby 2,5 mln gospodarstw domowych miało kredyty hipoteczne o zmiennej stopie procentowej.

Stałych stóp procentowych banki w zasadzie nie oferowały.

Właśnie o tym mówię. A kto jest za to odpowiedzialny?

Banki, które stawiały klientów przed alternatywą: bierzysz taki kredyt albo nie bierzysz go wcale?

Nie. Odpowiedzialne jest państwo, które mogło ingerować w proces udzielania kredytów.

Zatem zmienna stopa procentowa to wina państwa? A to, że w 2007 roku mieliśmy boom na kredyty tzw. frankowe, to też jest wina państwa?

Ależ oczywiście. Temu, że one się tak rozprzestrzeniły, winien był nadzór bankowy i komitet stabilności finansowej.

Czyli państwo zawiodło w 2007 roku, a teraz zawiodło po raz drugi?

Tak. Państwo jest winne temu, że dopuściło do takiej sytuacji. Nie ma drugiego takiego kraju w OECD, który ma prawie 100 proc. kredytów hipotecznych na zmiennej stopie procentowej.

Dlaczego państwo zawiodło?

Dlatego, że ma beznadziejnych urzędników, których powołujemy do wypełniania funkcji m.in. kontrolnych.

Zasiadając w RPP, był pan częścią tego państwa. Poczują się pan do winy?

Nie, bo konstytucyjnym obowiązkiem RPP jest dać gospodarce stabilny pieniądź i myśmy to zrobić. Ale są inne organy państwa, które powinny się poczuwać do odpowiedzialności: Komisja Nadzoru Finansowego, Ministerstwo Finansów, prezes NBP, który wchodzi w skład komitetu stabilności finansowej. To oni nie wykonywali swoich podstawowych obowiązków nadzorczych i za to powinni być rozliczeni. Dopuszcili do tego, że sektor bankowy udzielił setek tysięcy ryzykownych kredytów frankowych. Ale to jest nic, bo jeszcze gorsze są te o zmiennej stopie procentowej, gdyż ich wartość jest pięciokrotnie większa i dotyczą pięciu razy więcej gospodarstw domowych.

Nasz nadzór finansowy nieustannie popełniał błędy?

Oczywiście. Konkretnie od momentu, gdy rozpoczął się boom na

kredyty hipoteczne. Co gorsza, nawet gdy już było wiadomo, co się dzieje, to też nie było reakcji. Jesteśmy dziś jedynym krajem w Europie, który ma potężny problem z rozstrzygnięciami sądowymi dotyczącymi kredytów hipotecznych we frankach, bo nikt nie kiwnął palcem, żeby go rozwiązać.

Ani rząd PO, ani PiS nie chciał zająć się sprawą. A Jarosław Kaczyński powiedział frankowiczom: idźcie do sądu. No to poszli.

Dokładnie. Każdy ma swoją odpowiedzialność. W pierwszej kolejności to jest Komisja Nadzoru Finansowego, która dała plamę przy kredytach frankowych. Co gorsza, widząc, co się dzieje na rynku kredytów frankowych, dopuściła do udzielania kredytów 2 milionom gospodarstw na zmienną stopę procentową w czasach, gdy oprocentowanie wynosiło 0,1 proc. Jedynym instrumentem, którym dysponuje RPP, jest stopa procentowa. Tymczasem Rada nie może tego instrumentu wykorzystywać ze względu na koszty społeczne. Na dodatek z tego tytułu, że ludzie płacą więcej za kredyty udzielone w przeszłości, inflacja wcale nie spada. Stopy procentowe podwyższa się po to, żeby powstrzymać potencjalnych kredytobiorców przed

zadłużaniem się. A jak możemy powstrzymać udzielanie nowych kredytów, skoro mamy w tyle głowy, że rykoszetem uderzy to w miliony gospodarstw już zadłużonych?

Mówił pan, że najbardziej kosztowne jest obniżanie inflacji poniżej 5 proc. Czy musimy w takim razie zbijać tę inflację do celu inflacyjnego, czyli tych 2,5 proc?

Oczywiście, bo jeżeli tego nie zrobimy, to się nie będziemy rozwijać. Im wyższy poziom inflacji, tym trudniejsze jest prowadzenie działalności gospodarczej. Przy czym najbardziej cierpią małe firmy. W jaki sposób właściciel np. warsztatu samochodowego w Puławsku ma przewidywać, jakie będą ceny najróżniejszych materiałów? Nie ma przecież własnych analityków, którzy by mu to oszacowali. Zatem podejmuje decyzje w ciemno, a to oznacza, że może zbankrutować, więc często nie podejmuje decyzji biznesowej w ogóle. Jeżeli utrwalimy inflację, powiedzmy, na poziomie 7 proc., to będziemy mieli o wiele wolniejszy wzrost gospodarczy. Musi być stabilność makroekonomiczna, niska inflacja, stabilny kurs złotego, żeby przedsiębiorcy mogli podejmować trafne decyzje inwestycyjne. Swoją drogą pokolenie, które teraz dominuje w życiu publicznym, jest skrajnie niepatriotyczne i pozbawione empatii.

Dlaczego?

Bo uważa, że lepiej się zadłużać i dzięki temu modernizować kraj. Przecież te długie będą musiały spłacać nasze dzieci i wnuki. Najpierw mieliśmy pandemię i na koszt przyszłych pokoleń chroniliśmy przedsiębiorstwa i miejsca pracy. Potem wybuchła wojna i rządzący mówią, trzeba się zbroić – znowu na koszt naszych dzieci i wnuków. Dawniej Polacy, gdy się mieli zbroić, to oddawali na ten cel swoje oszczędności, a nawet biżuterię. A my nie chcemy ponosić żadnych dodatkowych kosztów. Wszystko zrzucamy na przyszłe pokolenie. A robi to pokolenie, które odziedziczyło majątek wypracowany w komunizmie. Współczesny młody człowiek musi sobie mieszkanie kupić, a w PRL mieszkania się dostawało za ułamek wartości, po 1989 roku zaś całe pokolenie się na tym majątku uwłaszczyło. Nie dość, że zostało wyposażone w majątek wypracowany w przeszłości, to jeszcze nie chce ponosić na bieżąco kosztów nieprzewidzianych zdarzeń.

Co z tego wynika?

Ta postawa społeczeństwa ma ogromny wpływ na polityków. Żadna partia nie powie: musimy ponosić koszty epidemii i wojny, czyli musimy płacić wyższe podatki. Społeczeństwo zostało przyzwyczajone do sytuacji, że nie płaci za nic. Młodsze ode mnie pokolenie ekonomistów nie zna czasów, gdy poziom dochodów się nie zwiększał albo nawet spadał, bo od 1989 roku cały czas poziom zamożności Polaków się podnosił. Polska jest drugą po Chinach gospodarką pod względem wzrostu zamożności społecznej i majątku. A najgorsze jest to, że wobec takiej postawy partie polityczne w walce o władzę nie mówią wyborcom bolesnej prawdy. Wolą im schlebiać. Nie mogę słuchać tego, jak od PiS po partię lewicową wszyscy krzyczą, że państwo nie działa, bo w Orlenie są horrendalne marże.

To nie jest prawda?

Przecież to jest spółka prawa handlowego, notowana na giełdzie, a cała klasa polityczna jak jeden mąż domaga się, żeby państwo ręcznie nią sterowało i wymuszało obniżenie marż, bo społe-

czeństwo oczekuje obniżenia cen benzyny. Taka zmiana świadomości społecznej i uległość klasy politycznej może doprowadzić do naprawdy poważnych perturbacji, bo nikt nie chce się narażać na krytykę. Tymczasem zamiast narzekać na Orlen, że ma potężne zyski, należy powiedzieć, kto dopuścił do tego, że doszło do zmonopolizowania rynku hurtowego benzyny.

W takim razie, czy możemy narzekać na banki, że nie chcą udzielać kredytów na stałe oprocentowane? To też są spółki prawa handlowego.

Możemy, bo tutaj sytuacja jest inna. Banki tak przeszarżowały, że po tylku dostali nie tylko klienci, ale i one same.

Czyli jednak bankierzy to banksterzy?

Oczywiście. Klientów indywidualnych nabili w kredyty frankowe, a korporacyjnych w opcje walutowe. I za każdym razem wszystkie ryzyka przetrzucali na klienta. Bankami kieruje pazerność, żądza zysku – od najwyższego poziomu aż do poziomu sprzedaży. Nie można powiedzieć: niech robią, co chcą, tylko trzeba to ograniczać i nie bać się krytyki. Gdy my w RPP prowadziliśmy ostrą politykę antyinflacyjną, byliśmy powszechnie krytykowani. Dwukrotnie z inicjatywy SLD Sejm głosował w sprawie RPP, próbując ograniczyć naszą niezależność lub wpisać do naszych zadań np. to, że mamy dbać o rozwój gospodarczy. Posłowie bardzo się irtowali, że – jak mówili – „niedemokratyczne ciało” ma tak duży wpływ na gospodarkę. Trzeba było zdecydowanej reakcji premiera Jerzego Buzka, żeby nie doszło do zmian, które zresztą część AWS chętnie by poparła. Skończyło się na tym, że nam obniżyli o jedną trzecią wynagrodzenia. A teraz, jaka jest perspektywa przy klasie politycznej schlebiającej gustom wyborców i przy ostrych podziałach politycznych?

Jaka?

Nie widzę pozytywnego scenariusza. Dużo można zrobić, jeżeli jest odpowiednia wiedza społeczna, świadomość zagrożeń i przyzwolenie na program naprawczy. A my mamy gospodarkę o wiele bardziej zrujnowaną, niż się to społeczeństwu wydaje. Dlatego nie jest w stanie zaakceptować środków zaradczych. Jest nieświadomość zagrożeń. A każdy polityk, który zechciałby uświadomić społeczeństwo, zostałby przez nie odrzucony. Proszę mi wierzyć, inflacja nie będzie spadała, skoro od 1 stycznia o 14 proc. została podniesiona wynagrodzenia, a w marcu będziemy mieli prawie 14-procentową waloryzację rent i emerytur. Te skokowe zwwyżki emerytur i płac będą dotyczyły milionów ludzi. My dopiero jesteśmy na etapie rozkręcania inflacji.

Donald Tusk, który idzie po władzę, mówi o 20-procentowej podwyżce dla wszystkich w sferze budżetowej.

I bardzo dobrze, że tak mówi. Jeżeli ktoś chce zmieniać Polskę, bo uważa, że PiS doprowadził nas do katastrofy, to może to zrobić, tylko obejmując władzę. Zatem skoro może zdobyć władzę, mówiąc A, a mówiąc B – nie, to powinien mówić A.

A co powie, jak już obejmie władzę? Kłamałem?

Niech sobie wymyśli, co ma powiedzieć. Od tego są różne socjotechniki. A przede wszystkim opozycja powinna powoływać komitety audytowe, które określą faktyczny stan gospodarki. Na ich miejscu już bym to robił, bo później nie będzie na to czasu.

PIOTR ARAK

Poziom bezrobocia w Polsce jest jednym z najniższych w Unii Europejskiej. Ale rosnąca inflacja i doniesienia o zwolnieniach w niektórych firmach mogą prowadzić do obaw, czy nie zaczną nagle przybywać osób bez pracy.



Stopa bezrobocia w Polsce w październiku tego roku wyniosła 3 proc., tyle samo co w Niemczech – wynika z danych Eurostatu. W krajach Unii Europejskiej niższe bezrobocie jest tylko w Czechach

WIDMO BEZROBOCIA

Jaka jest największa trauma każdego Polaka? Bezrobocie. Pamiętam, kiedy osoby z mojej bliskiej rodziny bezskutecznie szukały pracy w połowie lat 90. XX wieku. Chwytały się dowolnego zajęcia po to, by móc utrzymać rodzinę. Pracując też znacznie poniżej kwalifikacji i z dużą częścią wynagrodzenia uzależnioną od sukcesów w sprzedaży. To był okres ogromnej traumy społecznej dla wielu Polaków. Dzisiaj niektórzy obawiają się, że po czasie wyższej inflacji przyjdzie ostre hamowanie, zwolnienia i wysokie bezrobocie. Ryzyko takie jest jednak ograniczone.

Szok transformacji

Stopa bezrobocia wynosiła w szczytowych momentach lat 90. nawet 17 proc. Zmiana ustroju w 1989 roku, racjonalizacja gospodarki oraz załamanie popytu na polskie towary w krajach byłego ZSRR spowodowały pojawienie się, a następnie szybki wzrost bezrobocia. Na początku XX w. sięgnęło ponad 20 proc., by po spadku znów wzrosnąć po kryzysach: finansowym

(2008 r.) i zadłużeniowym strefy euro (2011 r.). Ostatnie lata to czas najniższego bezrobocia w historii i jednego z najniższych w Europie.

Przed zmianą systemu nie istniało w Polsce jawne bezrobocie, jednak występowało bezrobocie ukryte, którego poziom jest trudny do oszacowania. U schyłku poprzedniego systemu wiadomo było, że wprowadzenie gospodarki rynkowej musi pociągnąć za sobą bezrobocie. Jeszcze przed stanem wojennym byli ekonomiści, którzy prognozowali, że racjonalizacja gospodarki może przyczynić się do wzrostu liczby bezrobotnych do ponad 3 mln. Te szacunki sprawdziły się, ale dopiero po kilkunastu latach. Wielu ekonomistów mówiło już pod koniec lat 70. XX wieku o tym, że w Polsce jest kilka milionów „zbędnych ludzi”, którym ze względu na powojenny wyż, gospodarka nie byłaby w stanie zapewnić pracy. Polityka pełnego zatrudnienia socjalizmu nie widziała tego problemu, ale stał się on realny w latach 90. i powodował fale emigracji już nie tylko politycznej, ale także ekonomicznej, która przybrała na sile po wejściu Polski do Unii Europejskiej w 2004 r. Falę migracji wzmocnił fakt, że w latach 2002–2004 stopa bezrobocia rejestrowanego okresowo przekraczała 20 proc.

Na koniec października 2022 r. stopa bezrobocia rejestrowanego wyniosła 5,1 proc. Rok wcześniej było to 5,9 proc. To oznacza, że w urzędach pracy zarejestrowanych było niespełna 800 tys. osób. Duża część z tych osób rejestruje się tylko po to, by nie mieć problemu z uzyskaniem prawa do leczenia i faktyczna stopa bezrobocia wyniosła w trzecim kwartale tego roku 2,9 proc. – o 0,3 proc. więcej niż w drugim kwartale. Do jej mierzenia służy GUS-owski badanie aktywności ekonomicznej ludności, które realizowane jest według międzynarodowych standardów.

Miękkie lądowanie

Podczas pandemii wzrost bezrobocia udało się w dużej mierze zatrzymać sposobami administracyjnymi i dofinansowaniem przedsiębiorstw, które były zobowiązane do niezwalniania pracowników. Firmy nawet w trudnej sytuacji przetrwały ten okres, bo alternatywą był zwrot otrzymanej pomocy publicznej. Dwa lata później w trakcie ogromnej ekspansji gospodarczej, wysokiej inflacji istnieje jednak ryzyko, że sytuacji na rynku pracy nie uda

się uratować. Przez długi czas polski rynek pracy bronił się przed spowolnieniem w gospodarce. Jednak w ostatnim czasie coraz częściej słychać o kolejnych dużych firmach, które przeprowadzają lub zapowiadają zwolnienia grupowe.

Takim przykładem jest sieć kin Helios, która w redukcji zatrudnienia widzi milionowe oszczędności. Kierownictwo przyznaje, że takie działania wymusiła sytuacja ekonomiczna i finansowa spółki, która w ostatnim czasie znacząco się pogorszyła. Jest tego więcej. Zakłady firmy MAN w Starachowicach zwolnią 860 osób, a firma Cerrad, producent płytek, około 350 osób. Wielkie redukcje etatów ma też przeprowadzić międzynarodowy koncern Philips i bank Credit Suisse (odpowiednio 4 tys. i 9 tys. stanowisk) – ich oddziały są także w Polsce. Zwolnienia zapowiedzieli lub już przeprowadzili m.in. producent okien Velux, Grupa Tubądzin i Fabryka Łożysk Toczących w Kraśniku. Nieliczne wciąż informacje dotyczące dużych firm czy szeroko komentowane w mediach zwolnienia w Twitterze budzą emocje, ale tylko garstka firm dzisiaj deklaruje, że będzie ciąć etaty.

W grudniu w ramach badania koniunktury Polskiego Instytutu Ekonomicznego zapytaliśmy przedsiębiorców o plany

dotyczące zatrudnienia w najbliższych trzech miesiącach. Redukcję zapowiedziało 16 proc. firm. Z kolei na plany zwiększenia liczby pracowników wskazało 7 proc. przedsiębiorstw. Aż 77 proc. firm nie przewiduje zmian w zatrudnieniu. To znaczy, że prawdopodobieństwo wzrostu bezrobocia istnieje, ale nie jest duże. W ewidencjach urzędów pracy widnieją tylko ci bezrobotni, którzy zgłoszą się do urzędów i uzyskają status bezrobotnego. Część osób zwalnianych w najbliższym czasie może wcale się nie rejestrować, a te osoby, które zostaną zwolnione, wcale nie muszą szukać pracy. Mogą stawać się bierne zawodowo i oczekiwać przejścia na emeryturę.

PIE prognozuje, że stopa bezrobocia na koniec roku 2022 wyniesie 5,3 proc., a w 2023 r. podniesie się do 5,8 proc. To oznacza około 95 tys. bezrobotnych więcej. Podobne bezrobocie było w połowie 2021 r. – 6,5 proc. Zapowiada się więc dość „miękkie lądowanie”. Wynika to z pogarszającej się sytuacji gospodarczej i perspektyw w takich sektorach jak budownictwo oraz pogłębianie się obaw przed wzrostem bezrobocia wśród konsumentów. W tych warunkach siła negocjacyjna pracowników maleje i przy rosnącej inflacji oznacza, że dynamika wynagrodzeń przystopuje. Pracodawcy powiedzą pracownikom, że powinni się cieszyć, że nie ma zwolnień, a ci będą musieli przełknąć brak podwyżek i realne zmniejszanie się siły nabywczej.

Stopy procentowe i rynek pracy

Wszyscy dzisiaj spodziewają się miękkiego lądowania na rynku pracy i to pomimo anemicznego wzrostu gospodarczego w

granicach 1 proc. w 2023 r., ale to nie znaczy, że wzrost bezrobocia nie udało się wywołać. Można to zrobić, podnosząc stopy procentowe zbyt wysoko.

Polską, podobnie jak wiele krajów Europy Środkowej, zмага się z podwyższonym poziomem inflacji. Są czynniki wewnętrzne, które na nią wpłynęły, takie jak wzrost wynagrodzeń, ale przede wszystkim jest to kryzys energetyczny i efekty makroekonomiczne rosyjskiej agresji na Ukrainę.

Stopy procentowe banku centralnego określają koszt udzielenia kredytu. Ich podniesienie oznacza, że pożyczanie pieniędzy jest droższe. Działa to na inflację w ciągu kilku kwartałów, ponieważ zmniejsza ilość pieniądza na rynku, chłodzi popyt, a to ostatecznie zmniejsza ceny.

Oczywiście, może to mieć bardzo negatywny wpływ na to, co dzieje się na rynku pracy. Jeśli kredyt jest drogi, może to utrudnić funkcjonowanie wielu firmom. Część z nich może upaść. Gdy więc nieostrożnie i na przykład zbyt szybko podniesie się stopy procentowe, może to na rynek pracy zadziałać katastrofalnie i wywołać skok bezrobocia.

W 2000 roku nominalna stopa procentowa została podwyższona do 19 proc., pomimo inflacji wynoszącej tylko 8,5 proc. Nasz bank centralny budował swoją wiarygodność pod koniec lat 90. i na początku 2000. jako niezależnej od rządu instytucji i schłodził gospodarkę. Zdaniem wielu nawet za bardzo. Wzrost PKB wyhamował, spadając z poziomu 4 proc. w 2000 roku do zaledwie 1 proc. w 2001 i 1,4 proc. w 2002 roku. Bezrobocie wystrzeliło w górę, osiągając prawie 20 proc. Wzrost powrócił do przedkryzysowego poziomu dopiero w 2004 r. Na sytuację Polski nałożyły się też reperku-

sje kryzysu rosyjskiego, pęknięcia bańki firm technologicznych na amerykańskiej giełdzie i oczywiście kwestie demograficzne przy transformującej się gospodarce.

Gdyby polski bank centralny zdecydował się gonić stopami procentowymi wskaźnik inflacji, możliwe byłoby wywołanie większego bezrobocia, ale jego skala byłaby znacznie mniejsza niż wówczas. Na sytuację w pierwszej dekadzie XX w. nałożyło się wiele czynników. Tym niemniej uważam, że ryzyko zwiększenia bezrobocia tak radykalnymi krokami jak podniesienia referencyjnej stopy procentowej do 18 lub 20 proc. istnieje (dzisiaj wynosi ona 6,75 proc.).

Kraj (prawie) bez bezrobocia

Polska ma niemal najniższy poziom bezrobocia spośród państw Unii Europejskiej, a nawet wśród krajów OECD. Zaskoczyło to wielu obserwatorów, zwłaszcza w Europie Zachodniej, gdyż byłe państwa komunistyczne przez lata były kojarzone z wysokim bezrobociem i problemami strukturalnymi. Ta sytuacja na rynku pracy jest efektem m.in. kształtowanej przez wiele dekad struktury polskiej gospodarki, starzejącego się społeczeństwa, ale też polityki gospodarczej ostatnich lat i ożywienia gospodarczego w gospodarce światowej, dostrzegalnego zwłaszcza od 2014 roku.

Z niskiego bezrobocia i coraz wyraźniej rosnących – wraz z jego spadkiem – wynagrodzeń korzysta społeczeństwo: poziom życia rośnie, ponieważ tempo wzrostu płac było przez lata wyraźnie

wyższe niż tempo wzrostu inflacji. Sytuacja ta uderza jednak w firmy, które szukają sposobów na niedobór pracowników. Jednym z rozwiązań jest otwartość państwa na migrantów, przede wszystkim z Ukrainy, Białorusi i Azji. Częściowo to się udało zrealizować, ale powoli realizowany jest też proces automatyzacji procesów produkcyjnych. Dlatego dzisiaj w mniejszym stopniu skupiamy się na bezrobociu, losie młodego pokolenia na rynku pracy czy kwestiach związanych ze znalezieniem odpowiedniego pracownika, a nie na bezrobociu. Oczywiście, istotne jest pytanie, czy obecny model gospodarki będzie dalej sprzyjał doganianiu zachodnich gospodarek oraz jak wykorzystać rezerwy na rynku pracy w Polsce, takie jak aktywność osób z niepełnosprawnościami, kobiet czy osób z terenów rolniczych. Bezrobocia tak dużego jak na początku XX w. jednak nie będzie. /©©

Piotr Arak jest dyrektorem Polskiego Instytutu Ekonomicznego

CZY NASZĄ GOSPODARKĘ

CZEKA TSUNAMI? – o tym rozmawiali goście Michała Szuldrzyńskiego w audycji „O wszystkim z kulturą” w czwartek 15 grudnia w radiowej Dwójce

Audycja do wysłuchania w internecie

www.polskieradio.pl/8/3664



TOMASZ P. TERLIKOWSKI

KRONIKA PRZEPOWIEDZIANEJ KATASTROFY

POTRZEBA EKONOMII SOLIDARNOŚCI

„Nie może tak być, że nie staje się wiadomością dnia fakt, iż z wyjątkiem umiera starzec zmuszony żyć na ulicy, natomiast staje się nią spadek na giełdzie o dwa procent” – mówi papież Franciszek.

Już wiemy, że wojna w Ukrainie będzie trwała jeszcze długo. Władimir Putin otwarcie mówi o tym, że szykuje się na długi konflikt, a i przywódcy zachodni coraz częściej przyznają, że nie ma co liczyć na jego szybkie zakończenie. Kolejne zimy mają nadal być trudne, a kryzys energetyczny i ekonomiczny będzie się pogłębiał. I to już w Polsce widać. Realne dochody ludzi spadają, koszty życia rosną, a ceny energii mogą doprowadzić nie tylko do upadku wielu przedsiębiorstw (co może zwiększyć bezrobocie), ale też do ogromnego wzrostu cen, co po raz kolejny uderzy w najbiedniejszych.

W takiej sytuacji warto zacząć poważnie brać pod uwagę naukę społeczną Kościoła. Franciszek (a przed nim Benedykt XVI i Jan Paweł II) nieustannie przypominają o potrzebie budowania ekonomii bardziej solidarnej, bardziej empatycznej, skupionej nie tylko na zysku, ale również na dobru społeczeństwa. „Istnieją zasady ekonomiczne, które okazały się skuteczne dla rozwoju człowieka. Wzrosło bogactwo, ale pozbawione równości, co prowadzi do powstawania »nowych form ubóstwa«”

– zauważa Franciszek w encyklice „Fratelli tutti” i wzywa do tego, by z owym ubóstwem walczyć.

Aby było to jednak możliwe, konieczne jest odejście od kultury odrzucenia. „To odrzucenie wyraża się na wiele sposobów, na przykład w obsesji na punkcie obniżania kosztów pracy, bez brania pod uwagę poważnych konsekwencji, jakie to powoduje, gdyż bezrobocie, jako bezpośredni skutek, poszerza granice ubóstwa” – wskazuje papież. Jeszcze ostrzej papież potępia ekonomię odrzucenia w adhortacji apostołskiej „Evangelii gaudium”. Tu papież wprost wskazuje, że „ekonomia wykluczenia” może zabijać. „Ta ekonomia zabija. Nie może tak być, że nie staje się wiadomością dnia fakt, iż z wyjątkiem umiera starzec zmuszony żyć na ulicy, natomiast staje się nią spadek na giełdzie o dwa procent. To jest wykluczenie. Nie można dłużej tolerować faktu, że wyrzuca się żywność, gdy ludzie cierpią głód. To jest nierówność społeczna. Dzisiaj wszystko opiera się na grze i rywalizacji, a prawo sprzyja silniejszemu, więc można pożera słabszego. W wyniku tej sytuacji wielkie masy ludności są wykluczone i marginalizowane: bez pracy, bez perspektyw, bez dróg wyjścia. Samego człowieka uważa się za dobro konsumpcyjne, którego można użyć, a potem je wyrzucić” – wskazuje papież.

Z takim myśleniem, którego głównym celem jest zysk, kryje się w istocie, zdaniem Franciszka, odrzucenie Boga i moralności. „Zwykle na etykę spogląda się z pewną kpiarską pogardą. Uważa się ją za przynoszącą odwrotny

skutek, zbyt ludzką, ponieważ relatywizuje pieniądź i władzę. Postrzega się ją jako zagrożenie, ponieważ potępia manipulację i degradację osoby. W końcu etyka kieruje do Boga oczekującego zaangażowanej odpowiedzi, wykraczającej poza kategorie rynku. Dla agentów finansowych, ekonomicznych i politycznych Bóg umyka ich kontroli, manipulacji, a nawet staje się niebezpieczny, o ile wzywa człowieka do jego pełnej realizacji i niezależności od wszelkiego rodzaju zniewolenia. Etyka – etyka niezideologizowana – pozwala stworzyć równowagę i bardziej ludzki porządek społeczny. W tym sensie zachęcam ekspertów finansowych oraz rządzących różnymi krajami do rozważenia słów jednego z mędrców starożytności: »Nie dzielić się własnymi dobrami z ubogimi, znaczący okradać ich i pozbawiać życia. Posiadane przez nas dobra nie są naszymi, ale ich dobrami«” – wskazywał papież. I wreszcie dodawał, że aby taką etykę stworzyć, konieczna jest zmiana postawy polityków. „Pieniądź powinien służyć, a nie rządzić!” – zaznacza papież.

Wprowadzenie w życie tych myśli, intuicji, wskazówek nie jest oczywiście kwestią prostą. Politycy, eksperci muszą znaleźć złoty środek, tak by nie zniszczyć także prywatnych przedsiębiorstw, aby nie uderzyć w ich interesy i ich dobro. Uświadamianie jednak, że PKB nie zawsze jest kluczowe, a zysk nie jest jedynym kryterium oceny polityki gospodarczej, jest niezwykle istotne. Dlatego w tym czasie warto czytać Franciszkowe encykliki poświęcone życiu gospodarczemu. /©©

**ROZMOWA Z LESZKIEM BALCEROWICZEM,
BYŁYM MINISTREM FINANSÓW I SZEFEM NBP**

Problem bezrobocia może znów stać się realny, jeśli utrwałą się rządy PiS i wpadniemy w długotrwałą stagflację. Wtedy gospodarka nie będzie w stanie tworzyć tyle miejsc pracy, żeby wchłonąć nawet malejącą liczbę osób w wieku produkcyjnym.

FAŁSZYWY DYLEMAT

DANIE GŁÓWNE

GRZEGORZ SIEMIONCZYK

Z polskiego rynku pracy napływa coraz więcej niepokojących doniesień. Ostatnio głośno było o zwolnieniach grupowych w kilku dużych znanych firmach. Ale już w III kwartale, jak wynika z Badań Aktywności Ekonomicznej Ludności, liczba pracujących zmalała o 124 tys. (0,7 proc.) rok do roku. Do tego maleje liczba ofert pracy i przyrasta liczba osób zawieszających działalność gospodarczą. Czekają nas wyraźny wzrost bezrobocia?

Odpowiedzialnego ekonomistę poznaje się po tym, że skupia się na długookresowych problemach. Naszym prawdziwym problemem, jeśli chodzi o rynek pracy, jest spadek liczebności siły roboczej. Grozi nam to, że będziemy mieli za mało rąk do pracy, żeby się rozwijać. Jeśli ktoś akcentuje krótkookresowe zjawiska, a na dodatek prezentuje je jako szkody wynikające z polityki antyinflacyjnej, to uprawia złą ekonomię.

Wpływ zacieśniania polityki pieniężnej na rynek pracy jest urojeniem? Prezes NBP Adam Glapiński mija się z prawdą, gdy mówi, że nie można już bardziej

podwyższyć stóp procentowych, bo niosłoby to ryzyko znaczącego wzrostu bezrobocia?

Irytuje mnie próba sprowadzania debaty publicznej do problemów krótkookresowych, często zresztą urojonych. To są próby odwrócenia przez PiS uwagi od naprawdę istotnych długofalowych problemów. Takim istotnym problemem jest ryzyko, że przestaniemy doganiać Zachód. Polska przez kilka dekad traciła dystans wobec Zachodu wskutek złego ustroju, narzuconego nam po 1945 r. Byliśmy zapóźnieni w rozwoju przed II wojną światową, a po wojnie to zapóźnienie się jeszcze pogłębiło. Wielkim osiągnięciem Polski po 1989 r. było to, że zaprowadziliśmy praworządność oraz gospodarkę kapitalistyczną, dzięki czemu zaczęliśmy doganiać Zachód. Dlatego takim szkodnictwem jest atak na państwo prawa, nacjonalizowanie gospodarki i podważanie jej stabilności.

Nasz problem demograficzny częściowo może wynikać właśnie z tego, że w przeszłości nie potrafiliśmy utrzymać stopy bezrobocia w ryzach. To, że bezrobocie wzrosło na początku transformacji, dość łatwo zrozumieć. Ale rekordowy poziom

osiągnęło już po kilkunastu latach transformacji, w 2004 r. Stopa bezrobocia przebiła wtedy 20 proc. To przyczyniło się do emigracji milionów Polaków, ale też wpłynęło na postawy ludzi, którzy teraz mogliby mieć dzieci. Być może część z nich, mając w pamięci swoje dzieciństwo, zanim zdecydował się na potomstwo, chce osiągnąć najpierw bezpieczeństwo finansowe?

Czy istnieją jakieś dowody empiryczne, które potwierdzałyby pana tezę? Jeśli nie, to nie ma co z tymi tezami dyskutować.

Masowa emigracja po 2004 r. jest faktem...

Z każdego biedniejszego kraju niektórzy ludzie emigrują. Czy lepiej było zostać w PRL-u i mieć zamknięte granice? Jedyne dobre odpowiedzi to szybszy rozwój gospodarki dzięki reformom.

Ta rekordowa stopa bezrobocia z 2004 r. wciąż była skutkiem ubocznym transformacji, która trwała już od kilkunastu lat?

W latach 90. i na przełomie tysiącleci transformacja była daleka jeszcze od zakończenia. Mieliśmy ciągle dużo własności państwowej. Prywatyzacja, czyli odchodzenie od socjalizmu, dopiero nabierała rozpędu dzięki takim ludziom

jak Emil Wąsacz, którzy nie bali się iść pod prąd.

Chcę tylko zwrócić uwagę na to, że w ostatnich latach przyzwyczailiśmy się do bardzo niskiego bezrobocia, do deficytu pracowników. Problem bezrobocia bardzo łatwo dzisiaj bagatelizować. Ale może jednak prezes Glapiński ma rację, gdy mówi, że pod żadnym pozorem nie można dopuścić do wzrostu stopy bezrobocia?

Jestem daleki od bagatelizowania problemu bezrobocia. Uważam jednak, że to dziś problem hipotetyczny, podczas gdy mamy poważne problemy. I to nimi należy się zajmować. Problem bezrobocia może znów stać się realny, jeśli utrwałą się rządy PiS i wpadniemy w długotrwałą stagflację. Wtedy gospodarka nie będzie w stanie tworzyć tyle miejsc pracy, żeby wchłonąć nawet malejącą liczbę osób w wieku produkcyjnym. Polskę wyróżnia obecnie bardzo niska stopa inwestycji wynosząca niewiele ponad 16 proc. PKB. W 2015 r. ta stopa wynosiła 20 proc., ale pod rządami PiS systematycznie spada. Dlatego zmiana rządów na lepsze jest kluczowa także dla perspektyw sytuacji na rynku pracy.

Jak twierdzą, kolejne podwyżki stóp procentowych nie przyspieszą istotnie powrotu inflacji do celu NBP, tj. 2,5 proc., a mogą zaszkodzić gospodarce, w tym właśnie spowodować wzrost bezrobocia.

Jeśli ktoś twierdzi, że podnoszenie stóp procentowych nie będzie miało wpływu na inflację, to nie powinien być członkiem Rady Polityki Pieniężnej. Jeśli polityka pieniężna jest tak bezsilna, to jak miałaby spowodować wzrost bezrobocia?

To jak bardzo stopy procentowe powinny jeszcze wzrosnąć? W niedawnej sondzie „Rzeczpospolitej” wśród ponad 40 ekonomistów większość (niemal 77 proc.) oceniała, że przerwanie przez RPP w październiku cyklu podwyżek stóp procentowych było błędem. Ale na pytanie, jak bardzo stopa referencyjna NBP powinna wzrosnąć, na ogół wskazywali, że powinna sięgnąć około 8 proc. To relatywnie mała podwyżka, skoro już teraz stopa referencyjna wynosi 6,75 proc. Wystarczyłaby, aby odzyskać kontrolę nad inflacją?

Należę do tych ekonomistów, którzy uważają, że inflacji nie należy lekceważyć.

Wróćmy do rynku pracy. Jeśli zacieśnianie polityki pieniężnej działa na inflację m.in. tak, że psuje koniunkturę na rynku pracy, to dylemat, w jakim tempie sprowadzać inflację do celu, jest zrozumiały. RPP może uważać, że lepiej zgodzić się na powolny powrót inflacji do celu, niż przyspieszyć ten proces za cenę wzrostu bezrobocia. Szczególnie że bezrobocie obniża się trudno.

Otwieramy dawno otwarte drzwi. Doświadczenia zachodnich gospodarek, ale też teoria ekonomii, traktują wysoką inflację jako zło, które należy zdecydowanie ograniczać. W latach 70. XX w. były na ten temat różne opinie, ale od tamtego czasu nawarstwiło się tyle doświadczeń, że dziś dylematów nie ma. Szkody wyrządzone przez inflację są ewidentne. Na dłuższą metę z powodu niepewności i zaburzeń, które inflacja wywołuje, skutkiem jest niski wzrost gospodarczy ze wszystkimi tego konsekwencjami dla rynku pracy.

Dylematy zniknęły? Ja mam wrażenie, że jest odwrotnie. Od lat 70. XX w. bardzo mocno wzrosło wyczucie ekonomistów na sprawy społeczne, co przejawia się m.in. ich dużym zainteresowaniem wszelkiego rodzaju nierównościami. Nie wiem, czy jakkolwiek ekonomista powiedziałaby dzisiaj: trzeba zwiększyć poziom bezrobocia, żeby zahamować wzrost płac i poskromić inflację. Z wysoką inflacją należy walczyć za wszelką cenę?

Gdy mówi pan „za wszelką cenę”, z góry negatywnie ocenia pan politykę walki z inflacją. To jest zabieg retoryczny. Jeszcze raz: doświadczenia ostatnich dekad jednoznacznie pokazują, że tolerowanie podbitej inflacji jest dla wzrostu gospodarczego – i komfortu życia ludzi – dużo gorsze niż jej ograniczanie, co wymaga zaangażowania polityki pieniężnej. Nie jest też tak, że skutkiem ubocznym walki z inflacją jest zawsze duży wzrost bezrobocia. W Polsce, jak już mówiłem, z powodów demograficznych tak prawdopodobnie nie będzie.

Eurobarometr, czyli europejskie badania opinii publicznej, sugeruje, że Polacy co najmniej od 2008 r. rzeczywiście znacznie bardziej obawiali się inflacji niż bezrobocia. Nawet wtedy, gdy mieliśmy do czynienia z deflacją, wzrost cen był najczęściej wymieniany przez respondentów jako główny problem.

Słusznie ludzie bardziej obawiają się wysokiej inflacji niż bezrobocia. Długotrwale podbita inflacja poprzez swój wpływ na gospodarkę może się odbić też

na kondycji rynku pracy. A w drugą stronę to nie działa.

Skoro z powodów demograficznych trudno oczekiwać w Polsce istotnego wzrostu poziomu bezrobocia, to nasuwa się pytanie, czy jesteśmy w ogóle w stanie poskromić inflację? Jeśli polski rynek pracy jest tak rozgrzany, że jest w stanie wchłonać w krótkim czasie kilkaset tysięcy uchodźców z Ukrainy, to jak można liczyć na to, że wzrost wynagrodzeń zwolni?

Walka z inflacją nie odbywa się przecież tylko poprzez rynek pracy. Podwyższanie stóp procentowych wpływa na decyzje ludzi dotyczące oszczędzania i wydawania, czyli na dynamikę popytu. Osobną kwestią jest, że dużą rolę do odegrania w walce z inflacją ma też polityka fiskalna, a nie tylko pieniężna. Jeśli rząd stale utrzymuje duży deficyt w sektorze finansów publicznych, to osłabia antyinflacyjną skuteczność podwyżek stóp procentowych.

No właśnie: czy nie jest tak, że Rada Polityki Pieniężnej wykonała już swoje zadanie, a teraz do walki z inflacją włączyć musi się też rząd? W ostatnich latach wiele mówi się w ekonomii o tzw. dominacji fiskalnej, tzn. o tym, że ostatecznie to rządy – a nie banki centralne – w największym stopniu determinują przebieg cyklu koniunkturalnego, a więc też inflację.

Nie zauważyłem, aby jakikolwiek



SŁUSZNIE LUDZIE BARDZIEJ OBAWIAJĄ SIĘ WYSOKIEJ INFLACJI NIŻ BEZROBOCIA.

DŁUGOTRWALE PODBITA INFLACJA POPRZEC SWÓJ WPŁYW NA GOSPODARKĘ MOŻE SIĘ ODBIĆ TEŻ NA KONDYCJI RYNKU PRACY

liczący się ekonomista uważał, że polityka pieniężna straciła na znaczeniu, jeśli chodzi o wpływ na poziom inflacji. Z tego, że zła polityka fiskalna może podbijać inflację, nie wynika, że polityka pieniężna zesza na drugi plan.

Decydując się na przerwę w zacieśnianiu polityki pieniężnej, Rada Polityki Pieniężnej założyła, że w 2023 r. rząd nie będzie już prowadził tak ekspansywnej polityki fiskalnej jak w 2022 r., choćby dlatego, że pojawiły się problemy z finansowaniem deficytu. Czy jeśli to założenie okaże się błędne, a polityka rządu będzie wciąż proinflacyjna, to RPP powinna to kontrować kolejnymi podwyżkami stóp? Czy to nie prowadziłoby do błędnego koła, w którym podwyżki stóp procentowych podnoszą koszty obsługi długu, a w rezultacie pogłębiają jeszcze deficyt?

Banki centralne po to są instytucjami niezależnymi od rządów, aby skupiały się na wypełnianiu swojej misji, nie oglądając się na inne instytucje. NBP ma jedną podstawową misję: gwarantowanie niskiej inflacji. A co do rządu PiS to nazywając psucia finansów publicznych mianem tarczy inflacyjnej jest wyrazem cynizmu tej władzy.

Rząd powinien pozwolić na nieskrępowany wzrost cen energii elektrycznej, gazu i żywności, nawet jeśli wiadomo, że jest to efekt przejściowego szoku?

Jeśli nie mamy do czynienia ze zjawiskami monopolistycznymi, to nie ma powodu ingerowania w działanie rynku. A na pewno nie takim kosztem, jakim robi to dzisiaj rząd.

Może w nadzwyczajnych okolicznościach nie należy się przejmować wzrostem deficytu i długu publicznego?

Wiele państw wpadło w kryzys przez to, że ich rządy windowały dług publiczny. Wzrost długu jest zwykle przejawem złych, nieodpowiedzialnych rządów, które starają się kupować głosy wyborców wydatkami pod publiczność. Praktycznie się nie zdarza, żeby deficyty, które potem kumulują się w postaci długu, były skutkiem działalności inwestycyjnej rządu. Jestem dumny z tego, że udało mi się wprowadzić do Konstytucji RP zapis, że dług publiczny nie może przekraczać 60 proc. PKB.

W jakimś stopniu wysoka inflacja – nie tylko w Polsce – jest pokłosiem antykryzysowej polityki władz z czasów pandemii. Wtedy ekonomiści dość powszechnie uważali, że należy za wszelką cenę zapobiec fali upadłości firm i wzrostowi bezrobocia, bo te problemy później trudno będzie zażegnać. Natomiast z kosztami tej polityki, tzn. wzrostem zadłużenia państw czy właśnie inflacją, jakoś sobie poradzimy. Czy z perspektywy czasu tarcze antykryzysowe z 2020 i 2021 r. były błędem?

Od początku miałem do tych tarcz sceptyczny stosunek. One spowodowały dużą wyrwę w budżecie. Z kryzysami nie można walczyć psuciem finansów publicznych. Ale podstawowy problem z tymi tarczami był inny. One się doskonale wpisały w całą politykę gospodarczą PiS, która sprawowała się do zwracania transformacji. Przejawia się to postępującą nacjonalizacją gospodarki, rozrostem regulacji, wypychaniem wydatków publicznych poza kontrolę parlamentu. Konsekwencją jest wzrost niepewności gospodarczej, co przyczynia się do spadku stopy inwestycji. Jeżeli to się będzie utrzymywało, grozi nam zaprzestanie doganiania Zachodu. To będzie w zupełnej sprzeczności z aspiracjami większości Polaków. W takiej sytuacji należałoby się liczyć z ponownym nasileniem emigracji, co zwiększyłoby nasze problemy demograficzne.

Na razie tych szkód gołych okiem nie widać. W jakimś stopniu podważa to wiarygodność krytyków rządu, którzy od siedmiu lat wieszczą katastrofę.

Bo to nie jest tak, że zła polityka gospodarcza od razu daje złe rezultaty. Czas zapłaty rachunków przychodzi z opóźnieniem. Spadek stopy inwestycji z ponad 20 proc. do 16 proc. to dobitny sygnał problemów, które zostały stworzone przez ten rząd.

Być może my te inwestycje jakoś źle mierzymy? Albo może nowe inwestycje, w dużej mierze w sektorze usługowym, są mniej kapitałochłonne i w rezultacie można utrzymywać szybkie tempo rozwoju przy niższej niż dawniej stopie inwestycji?

Nie znam żadnych dowodów na to, że nie potrafimy dobrze zmierzyć inwestycji. Przede wszystkim różniemy się negatywnie na tle innych państw UE. Tam tych problemów z pomiarem i zmianami struktury gospodarki nie ma? Spadek stopy inwestycji jest faktem. /©©

Leszek Balcerowicz jest ekonomistą, profesorem Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie, był wicepremierem i ministrem finansów w latach 1989–1991 oraz 1997–2000. Pełnił funkcję prezesa Narodowego Banku Polskiego (2001–2007). Założyciel Forum Obywatelskiego Rozwoju.

Jak to możliwe, że pomimo tej systematycznie malejącej stopy inwestycji polska gospodarka w ostatnich latach rozwijała się bardzo szybko. A potem wybuchły koszty gierkowskiej polityki. Zwykle musi upłynąć trochę czasu, zanim pojawiają się konsekwencje złej polityki gospodarczej. Szkody pismowskiej polityki z całą mocą ujawniają się w 2023 r., gdy nie tylko z przyczyn zewnętrznych, ale też wewnętrznych będziemy mieli do czynienia ze stagflacją. Będziemy mieli znikomy wzrost gospodarczy i niemal najwyższą inflację w całej UE.

Jako młody człowiek nie pamięta pan zapewne lat 70. XX w. W pierwszej połowie tamtej dekady, za czasów Gierka, Polska również rozwijała się bardzo szybko. A potem wybuchły koszty gierkowskiej polityki. Zwykle musi upłynąć trochę czasu, zanim pojawiają się konsekwencje złej polityki gospodarczej. Szkody pismowskiej polityki z całą mocą ujawniają się w 2023 r., gdy nie tylko z przyczyn zewnętrznych, ale też wewnętrznych będziemy mieli do czynienia ze stagflacją. Będziemy mieli znikomy wzrost gospodarczy i niemal najwyższą inflację w całej UE.

To spowolnienie, a być może nawet recesja, nie jest po prostu ceną ograniczenia inflacji? Jak inaczej można ją obniżyć?

Niech pan nie sprowadza kosztów polityki PiS do skutków walki z inflacją.

Większość członków RPP uważa, że w 2023 r. inflacja będzie już malała, pomijając wyskok w pierwszych dwóch miesiącach.

ANETA WAWRZYŃCZAK

Najpierw pandemia, a potem wojna, inflacja i decyzje władz przycisnęły restauratorów. Wiele lokali się zamyka, właściciele innych z trudem walczą, by nie upaść. Ale są i tacy, którzy wierzą w tym szansę.

JAK PROWADZIĆ KNAJPĘ W KRYZYSIE I Z NIESTRAWNYM RZĄDEM



Knajpy to miejsca ważne dla społeczności. – Często goście dzwonią i pytają, czy będziemy w lokalu, bo wpadną zjeść i przy okazji chcieliby pogadać – opowiada **Marcin Maliszewski, współwłaściciel dwóch warszawskich pizzerii**

Mała restauracja przy ulicy Złotej w centrum Warszawy. Wszystkie stoliki są zajęte i zwalniają się tylko na chwilę, pizzę nieustannie kręci się tu także na wynos i dostawy. Podobnie życie tętni w drugim lokalu pod tym samym szyldem – Włoski Strajk – większym i zlokalizowanym w jednej z dzielnic sypialni Warszawy.

– Zasuujemy non stop, w weekendy stoją kolejki przed drzwiami, w obu naszych lokalach zbudowała się fajna społeczność sąsiadów i znajomych – wylicza z dumą Marcin Maliszewski.

Jego wspólnik Hubert Górski natomiast nieco się irytuje: – Jestem gościem, który prowadzi dwa fajne

lokale. Mam dobry produkt, robię dobre jedzenie, gości nie brakuje. To dlaczego wynik od kilku miesięcy mi się nie zgadza?

Koszmar czy okazja

Lockdowny, przestawienie pracy na catering i dostawy, co pożera olbrzymie pieniądze, bo aplikacje od dowozów liczą sobie nawet 35 proc. prowizji – Marcin Kuc, kucharz, dziennikarz i influencer kulinarny wylicza kolejne plagi, które od prawie trzech lat

spadają na gastronomię. – Jak się skończyła pandemia, ruszyła inflacja, podwyżki stóp procentowych, wystrzeliły ceny paliwa i energii. Wpływy do budżetu są rekordowe, a ludzie zaraz wpadną w czarną dziurę, będzie koniec świata.

Marcin Maliszewski smutno przytakuje. Swoją firmę tworzył ze wspólnikami od gołej ściany, zainwestowali mnóstwo czasu i pracy, pierwszy lokal otwierali w lutym 2020 roku. – Miesiąc później przyszła pandemia, wyobrażasz sobie takiego pecha – śmieje się. – Wtedy dopiero zaczynaliśmy, więc nie należała nam się żadna tarcza, żadne wsparcie. Bo jak sprzedaliśmy nawet dziesięć pizz, to już mieliśmy zysk w porównaniu z wcześniejszym kwartałem – wyjaśnia.

Jak mówi, kolejne „kwarantanny narodowe”, począwszy od pierwszej wiosną 2020 roku, do dziś odbijają się w branży czkawką. – Gastronomia to ciężki kawałek chleba, ale wcześniej dawała naprawdę dobrze zarobić. Jak ktoś miał dwójkę dzieci, rodzinę i pracował jako kucharz, kelner czy menedżer, mógł spokojnie utrzymać dom.

Wobec nałożonych nagle i twardo obostrzeń gastronomii okazała się często bezradna, jako jedna z pierwszych przestała dawać pewność zatrudnienia. „Pracownicy po lockdownie w 2020 roku stracili zaufanie do branży, która dotychczas wydawała się łatwo dostępną, pewną i przynoszącą konkurencyjne wynagrodzenie”, zauważa Dorota Żukowska w raporcie „Rynek gastronomiczny w Polsce 2022”. – Z dnia na dzień i przez czynniki od nich zupełnie niezależne ludzie tracili pracę, zostawali z rachunkami do opłacenia, mieszkaniem, życiem. I jakoś musieli sobie poradzić – przypomina Maliszewski.

Marcin Kuc: – Bardzo dużo osób przebranżowiło się na przykład na testerów oprogramowania, bo wejście do tego sektora jest łatwe, praca też jest lżejsza niż w restauracji. I już do gastronomii nie wrócili.

Włoski Strajk to potwierdza, w jego lokalach część załogi stanowi mocny trzon, pracują razem już trzeci rok. Wielu jednak rotuje, przychodzą na chwilę, zaraz przenoszą się do innego lokalu. – Bardzo zmieniła się po pandemii gastronomia, zwłaszcza po stronie pracownika. Mało kto dzisiaj przywiązuje się do miejsca, pracy, klimatu lokalu, wiele osób idzie tam, gdzie dają dwa złote więcej za godzinę – przyznaje Maliszewski. Koszt pracodawcy zwiększają również pozostałe oczekiwania. – Ludzie chcą mieć opłacone składki i ZUS, umowę o pracę i płatne urlopy. I mnie też zależy na tym, by im to zapewnić, bo to mi buduje zespół, który po prostu dobrze działa – zapewnia, choć zaraz się denerwuje: – Tylko dlaczego coraz trudniej jest nam im to dać?

Marcin Przybysz, szef kuchni z 20-letnim stażem, ma z kolei w sobie dużo spokoju. Jak uważa, „do obostrzeń” i „nowej rzeczywistości”, której nikt się przecież nie spodziewał, „dało się całkiem dobrze dostosować”. Choć przyznaje zarazem, szczęście mu dopisało: po latach pracy, także za granicą, wrócił do polski z pomysłem na Epokę – i ma szansę ten pomysł realizować. – Ten lokal to zasługa inwestora, więc oczywiście każdą wydawaną tu złotówkę oglądam dwa razy i liczę jak swoją. Ale rzeczywiście, tworzyłem to miejsce od zera, to moje kolejne wymarzone dziecko.

Restaurację przy stołecznym pl. Piłsudskiego Marcin Przybysz otworzył pod koniec 2019 roku, kilka miesięcy później do Polski zawitała pandemia. Nie zachwiała jednak jego planami. – Przez 20 lat pracy nauczyłem się, że w gastronomii nie ma tygodnia bez pożaru czy innego problemu. Do koronawirusa i lockdownów podszedłem tak samo: dostosować się do rzeczywistości, nie narzekać, nie demotywować ludzi do pracy. Bo tak naprawdę, co to da?

Zdaniem szefa Epoki kryzys można przezwyciężyć, „mnóstwo zależy od modelu biznesowego, kreatywności i elastyczności”. – Wiele osób wobec lockdownów zaczęło narzekać i rozłożyło ręce. A przecież było mnóstwo sposobów: dowozy, warsztaty kulinarne, dostarczanie gotowych dań do ogrzania w domu – wyliza, jednocześnie zauważając: – Dla niektórych wręcz okazało się, że to znacznie lepszy model biznesowy i właśnie w takiej działalności pozostali.

Na ile jednak wystarczy kreatywności, gdy opłaty idą kilkakrotnie w górę? W końcu, jak przyznaje, faktury za prąd w jego restauracji opiewają już na 20 tys. zł; za pieniądze, które musi dołożyć do rachunków, mógłby zatrudnić dwóch pracowników, odciążyć siebie i resztę zespołu. – To mnie nie cieszy, nie cieszyłoby nikogo. Ale rozumiem, że nie mam wpływu na siłę wyższą, nic nie mogę zrobić. A skoro nie mogę, to się dostosowuję – tłumaczy.

Zanim zamknijemy temat, po chwili namysłu dodaje: – Chociaż nie, mógłbym jednak powiedzieć, że paradoksalnie się cieszę. Bo nie latają mi rakiety nad głową.

Kosmos, szok, bez sensu!

To, co się dzieje w branży, tak naprawdę mało ma wspólnego z wojną w Ukrainie – uważa Marcin Kuc. Hubert Górski przeanalizował notowania z ostatnich miesięcy na giełdach energii i paliw, ceny globalnie i w przeliczeniu po aktualnym kursie. – Akurat wczoraj baryłka ropy jest najtańsza od lutego.



Zdaniem Marcina Kuca, kucharza i dziennikarza kulinarnego, część przyciśniętych problemami restauratorów może obniżyć jakość. – Zwłaszcza lokale serwujące mięso będą musiały albo dowlżyć zaporowe ceny, albo przeprosić się z podrobami – przewiduje

Czy to się przekłada na ceny na stacjach? No nie – to pierwsze, co wyszło mu z tych analiz. – Przetrwaliśmy covid, przetrwaliśmy strach po wybuchu wojny w Ukrainie, ludzie bali się, co będzie dalej, to było widoczne po obrotach zwłaszcza w pierwszych tygodniach – wylicza z kolei Marcin Maliszewski. – W międzyczasie osłabła złotówka, co na nas bardzo się odbija, bo większość towaru kupujemy w euro, bezpośrednio we Włoszech. A teraz jeszcze ceny prądu i gazu... przecież to jest spekulacja!

Kuc podziela to zdanie. – Problemem są przede wszystkim marże, które nałożyły koncerny państwowe – to jego najprostsza diagnoza obecnej sytuacji. Prognoza również nie napawa nadzieją. – Ceny paliw, stopy procentowe, inflacja będą sztucznie pompowane, dopóki tuż przed wyborami rząd nie powie: o, naprawiliśmy. I ludzie to lkną – przewiduje. – Bo też i taka płynnie propaganda z telewizora: wszyscy myślą, że rząd pomaga przedsiębiorcom, a tak naprawdę dojeżdża ich kolejnymi podatkami. Nie mogę zrozumieć: dlaczego wciąż traktuje nas jak wrogów?

Jednym z tych „wrogów” był Paweł Janowski, właściciel piekarni z Mszczonowa. – Pół warszawskiej gastronomii brało od niego pieczywo. Ale dostał taką podwyżkę gazu i prądu, że serce mu nie wytrzymało. Z postawnego piekarza zrobił się chucherkiem, aż w końcu całkiem znikł, zmarł na zawał – opowiada Marcin Kuc. Jego zdaniem, im więcej takich tragedii, tym bardziej prawdopodobne stają się czarne scenariusze. – Jedni zaczną oszukiwać, zmniejszać porcje albo korzystać z gorszych produktów, zwłaszcza lokale serwujące mięso będą musiały albo dowlżyć zaporowe ceny, albo przeprosić się z podrobami – objaśnia pierwszy z nich. Kolejnym miałaby być rewolucja, „w końcu ludzie wyjdą na ulicę”.

Przed kolejną zmianą cen w menu wzbraniają się szefowie Włoskiego Strajku. – Już trzykrotnie podnosiliśmy ceny. I bronimy się, by nie robić tego po raz czwarty. Bo chyba nie dojdziemy do tego, że pizza będzie kosztować 60 zł? – mówi Marcin Maliszewski. Hubert Górski z kolei dodaje, że podwyżki pozwoliły im jedynie wyrównać obroty. – Łącznie trzeba u nas zapłacić o 30 proc. więcej niż w zeszłym roku. Tylko że nic

z tego nie trafia do naszej kieszeni, wszystko idzie do państwa. A gości jest o 30 proc. mniej.

Do podwyżek, paradoksalnie, zmusiła ich w szczególności tarcza antyinflacyjna. A to dlatego, że przejściowo obniżono do zera VAT na żywność. – Dostawcy przed wejściem w życie tej tarczy podnieśli ceny – wspomina Górski.

– Kupujemy towar, który ma zerowy VAT, a wystawiamy rachunek za usługę gastronomiczną już z VAT-em. To jest kosmos, szok, jakby mi ktoś powiedział o takim pomysle, zapytałbym: człowieku, co ty mówisz, przecież to nie ma żadnego sensu! – dodaje Maliszewski.

– W praktyce zamiast otrzymać jakiegokolwiek wsparcie, jesteśmy podwójnie owatowani – dopowiada Górski.

Już jedzą byle co

Buntować się? Jak? Czy Strajk Kobiet coś dał? – lekko irytuje się Marcin Przybysz. Spokojnie jednak tłumaczy: kryzys dotyka wszystkich, nie tylko gastronomii. – Ale czy to oznacza, że nagle ludzie mają się wyprowadzać z domów, bo prąd jest drogi? Albo firmy produkcyjne, co one mają zrobić, kiedy sto procent sprzętu u nich chodzą właśnie na prąd? – szef Epoki stawia kolejne pytania. – Fajnie byłoby żyć w świecie idealnym. Ale nasz świat taki nie jest i nie mogę nic z tym zrobić – przyznaje. I dalej: – Przecież nie wróciłem do kraju po to, żeby rozkładać ręce i narzekać. Wręcz przeciwnie, staram się działać, latać, składać.

To dlatego, uważa, Epoki nie topią kolejne gospodarcze tsunami. – Kryzys nie podniósł u nas cen, wręcz, choć utrzymaliśmy standard produkcji, menu degustacyjne kosztuje u nas od kilku miesięcy 490 zł, wcześniej było o 50 zł droższe. A obroty mimo podwyżek, inflacji i tak w tym czasie nam się zwiększyły. Bo liczba gości wzrosła trzykrotnie, to jest prosta matematyka – śmieje się Marcin Przybysz, zanim zdradzi, gdzie postanowił

szukać oszczędności. – Zainstalowaliśmy czujniki światła, skróciliśmy czas redukcji soku na gazie, zrezygnowaliśmy ze świątecznego oświetlenia, które pożarłoby olbrzymią ilość prądu – wylicza. I podkreśla zarazem: – To są może drobne sprawy, ale tak właśnie to działa, grosz do grosza. A jeśli ktoś jest łebski, powinien przetrwać nawet kryzys, z którym się obecnie borykamy. Tylko trzeba mieć pomysł, chcieć i umieć kombinować.

Nie jest to jednak recepta uniwersalna, co Przybysz sam przyznaje. – To nie wszędzie się sprawdzi, każdy ma swój model biznesowy, niektóre restauracje mają tak niską marżę, że trudno byłoby im jeszcze bardziej obniżyć ceny – zaznacza. Marcin Kuc jeszcze mocniej zwraca na to uwagę: – Co innego, gdy zarabia się 2 tys. zł od gościa, a co innego, gdy tylko 40 zł.

Marcin Maliszewski i Hubert Górski na podstawie doświadczenia własnego i znajomych restauratorów oceniają: do knajp, które „idą średnio”, trzeba obecnie dokładać. W dobrze prosperujących przy „podwójnym owatowaniu”, inflacji i szalejących cenach mediów „wychodzi się co najwyżej na zero”. – Zastanawialiśmy się, analizowaliśmy, czy może jednak to my nie nadajemy się do tego biznesu – przyznaje Górski. Ale liczby nie kłamią: goście są, marka jest znana, plasuje się w czołówce na kulinarnym mapie Warszawy. – A jednak codziennie kombinujemy, nie śpimy po nocach, liczymy i zastanawiamy się, jak pospinać to w jedną całość – mówi Maliszewski i wzdycha ciężko kolejny już raz.

Oni na krok rządu wstecz nie liczą (choć rozważają walkę o odszkodowanie), na powszechny sprzeciw tym bardziej. Ludzie z branży gastronomicznej mają świadomość, że w kryzysie zaciska się pasa, a rezygnacja z jedzenia w restauracjach pozwala na spore oszczędności. – Ja też, jak kilkanaście lat temu mieszkalem w Anglii, żywiłem się wczorajszymi sałatkami za 10 pensów. I pewnie, sporo da się zaoszczędzić na jedzeniu. Ale do tego najpierw trzeba umieć gotować – śmieje się Marcin Kuc. Całkiem poważnie natomiast zauważa: – Restauracje nie tylko dają nam jeść, wyręczają w gotowaniu i sprzątaniu, pełnią też ważną funkcję społeczną. Rzadko przecież jesz kolację czy lunch samemu, zazwyczaj robi się to z kimś: przyjacielem, rodziną, bliską osobą, współpracownikiem z pracy. W takich miejscach zacieśniają się ważne więzi.

Potwierdza to raport „Rynek gastronomiczny w Polsce 2022”, ponad połowa Polaków w wieku 15–75 lat korzysta z barów i restauracji, a „głównym powodem wizyt w lokalach gastronomicznych jest aspekt społeczny – spotkania z innymi ludźmi”. „Doświadczenie przebywania w lokalu, samego posiłku, ale także wszystkiego, co temu wydarzeniu towarzyszy, jest nie do odwzorowania w warunkach zamówień dań do domu”.

Marcin Maliszewski potwierdza – oba ich lokale „żyją”. – Zawiera się tu i przenosi mnóstwo znajomości, latem mamy ogródek na 60 miejsc, dookoła są leżaki rozstawione. Często goście dzwonią i pytają, czy będziemy w lokalu, bo wpadną zjeść i przy okazji chcieliby pogadać – opowiada.

Tyle że jak znów czarno prorokuje Marcin Kuc, lada moment może się okazać, że taki wypadek „to cholernie droga zabawa”. – Już teraz widać, że ludzie jedzą na mieście byle co. Nawet nie kebab za 15 złotych, a hot doga za trzy – uważa. I kolejny scenariusz: pogłębią się różnice między elitą a dołami: – Zawsze po takich kryzysach następuje polaryzacja. Dla jednych porsche cayenne, dla drugich zatłoczony autobus.

Hubert Górski zwraca natomiast uwagę, że gastronomia żywi też inne branże. – Chociażby turystyczną. Co stanie się z miastami w dużej mierze opartymi na turystyce, kiedy zabraknie dobrych miejsc do jedzenia? – zastanawia się głośno. Upadek restauracji to też utrata zarobku dla dostawców.

Władzo, nie przeszkadzaj

Marcin Przybysz w kryzysie widzi szansę. Przede wszystkim na to, że trudne czasy uporządkują branżę. – Na Zachodzie standardem jest, że szef kuchni jest współwłaścicielem. A w Polsce jest tendencja do otwierania miejsc nieprzemysłanych, na jedno kopyto, byleby był mielony i schabowy, bo to najbardziej inwestorowi smakuje – uważa. I dodaje: – Nie rozumiem, czemu wszyscy myślą, że gastronomia daje łatwe pieniądze. Wręcz przeciwnie, są one jednymi z najciężiej zarabianych. Jego zdaniem z zawieruchy wyjdziemy silniejsi, bardziej świadomi i zahartowani.



Marcin Przybysz, właściciel restauracji w centrum stolicy, przekonuje, że kryzys może być szansą: – Okej, jest trudniej. Ale to może nas pobudzać do większej kreatywności

– Może zamiast kupić 10 dag szynki, a później 5 wyrzucić, zaczniemy brać tyle, ile nam potrzeba? Ja już zmieniłem swoje nawyki, wcześniej wyrzucałem w domu dużo żywności, teraz ograniczyłem to do minimum – zdradza Przybysz. Jak przyznaje, „wyjście ze strefy komfortu” dla wielu może być „trudne, wręcz bolesne”. – Ale nie oszukujmy się, ostatnie lata to była szaleńcza pogoń nie wiadomo za czym. I bez oglądania się, do czego doprowadziło to planetę i przyrodę. Teraz coraz więcej ludzi mówi: halo, musimy przemyśleć nasz styl życia, zatrzymać się. I może rzeczywiście przyszedł już na to czas.

Co do tego nie ma jednak w branży jednomyślności. Jest za to coraz więcej frustracji. – Czy nie czuję się zmęczony, że ciągle muszę liczyć, kombinować, wszystko sprawdzać? – Hubert Górski powtarza głośno swoje pytanie. – Nie stać nas na to, żeby tak się czuć. Mamy 30 ludzi i ich rodziny do wykarmienia. Jeśli nie damy im pracy, zostaną sami z rachunkami i życiem do opłacenia – tłumaczy.

Marcin Maliszewski wspomina z kolei o znajomych restauratorach. – Mają pomysł na biznes, dają z siebie wszystko – i to działa, są pełne sale. Nawet teraz, gdy inflacja szaleje – opowiada. – Jak się patrzy na to z boku, można pomyśleć: marzenie! Ale wystarczy porozmawiać 10–15 minut z każdym po kolei, żeby poznać listę patologii, których na co dzień nasza branża doświadcza. To nas najbardziej denerwuje: że wielu z nas robi wszystko dobrze, a ktoś nagle przychodzi i ot tak wszystko rujnuje.

Wiele restauracji przegrywa tę potyczkę, w kuluarach już wiadomo, kto od stycznia zwija się z interesem. – Wiemy sami i od pracowników, co dzieje się w branży: tu się lokal zamknął, tam szef nie wypłacił pieniędzy, gdzieś indziej w ogóle zniknął, próbuje się ukryć przed rosnącymi zaległościami – opowiada Maliszewski. W końcu przyznaje, choć wcześniej unikał takiego rozważania: nie wyobraża sobie, że im także przyjdzie

stanać pod ścianą. – Ktoś by powiedział: nie sztuką jest założyć biznes, sztuką jest w odpowiednim momencie z niego zrezygnować – ten cytat zapowiada najtrudniejszą część rozmowy. – Jeśli nic się nie zmieni, rząd nie przestanie nam dawać, nawet dobrze prosperujące biznesy będą się musiały przedrzeć czy później pozamykać.

Kolejne tarcze nie rozwiązują problemu. Jak wynika z raportu „HoReCa 2022: Branża gastronomiczna w Polsce dwa lata po wybuchu pandemii”, do maja 2022 roku niemal co piąty lokal z branży gastronomicznej i eventowej został zlikwidowany albo zawiesił działalność. Inflacja, niski kurs złotówki oraz rosnące ceny prądu i gazu stawiają przed restauratorami kolejne wyzwania – co wykazała analiza przygotowana przez Dun & Bradstreet dla „Rzeczpospolitej”: od początku roku działalność zawiesiło prawie 4 tys. obiektów gastronomicznych (o 60 proc. więcej niż w 2021 roku).

Dofinansowanie, kolejna tarcza nie wydają się jednak skutecznym rozwiązaniem. – Pewnie, to by ulżyło wielu ludziom, pomoc państwa w ciężkich chwilach jest bardzo przydatna. Jednak nie można sięgać po nią bezwarunkowo i zawsze, nie może kończyć się na wyręczaniu. A u nas, mam wrażenie, jest to w wielu przypadkach wręcz absurdalne – uważa Marcin Przybysz. Dlatego, co podkreśla ponownie, raczej koncentruje się na własnym działaniu. – Okej, jest trudniej. Ale to może nas pobudzać do większej kreatywności. Inni przedstawiciele gastronomii nie są jednak o tym przekonani. – Nikt, kto nie prowadził własnego biznesu, nie zrozumie problemów, z którymi teraz się borykamy – Hubert Górski chce, żeby to wybrzmiało. Także to, że rozwiązanie wcale nie jest skomplikowane: – Mnie płacą za to, żebym robił zaj...a pizzę, a my płacimy rządowi, żeby dobrze nami rządził. Niech więc po prostu to robi. Przede wszystkim niech nam, przedsiębiorcom, nie przeszkadza.

/©©

Aneta Wawrzyńczyk



W piątek zapraszają:

Michał Płociński i Hubert Salik

Słuchaj, aby wiedzieć więcej

podcasty rp.pl



Profesjonalizm wymaga ciągłego doskonalenia

PRENUMERATA 2023

JUŻ W SPRZEDAŻY



PIOTR ZAREMBA

Wybory ideowe, światopoglądowe, cywilizacyjne są istotniejsze niż ekonomiczne, które bywają nieoczywiste, poddające się kompromisom. Muszą jednak istnieć granice ekonomicznej ignorancji, których politycy nie powinni przekraczać.

PUSTE SZUFLADY Z POMYSŁAMI

Prezes Narodowego Banku Polskiego Adam Glapiński obwieścił Polakom, żeby nie przejmowali się gospodarką. Nie jest źle, a jeśli ktoś sądzi inaczej, niech się uspokoi, głaszcząc psa lub kota.

Te zdania były częścią większej całości. Prezes polemizował z medialnymi informacjami o drożyznie. Powoływał się na własne doświadczenia z targu. Niemniej zgodnie z logiką medialnego szumu ten fragmencik stał się oddzielną, żywo komentowaną całością.

Czy prezes NBP istotnie wierzy w to, że Polaków bez wątplenia zmagających się z wysokimi cenami uspokaja tego typu dowcipy? Na miejscu PR-owców obozu rządzącego byłbym przerażony jego strumieniami świadomości idącymi na konto tegoż obozu. To gorzej niż zbrodnia, to błąd. Glapiński może być dla PiS gwoździem do trumny. Nie tym nawet, co robi, ale tym, co mówi. Taka jest logika medialnej demokracji.

Pustka programowa przeciw dowcipom

Dużo mniej komentarzy w mediach wywołały inne słowa. Oto Małgorzata Kidawa-Błońska, znacząca polityczka Platformy Obywatelskiej, przez chwilę jej kandydatka na prezydenta, została spytana w radiowej rozmowie przez Bogdana Rymonowskiego, kiedy jej ugrupowanie przedstawi swój program antyinflacyjny. – Kiedy będziemy rządzić – odpowiedziała w pierwszym odruchu. Potem próbowała złagodzić jednoznaczne wrażenie, mówiąc, że o tym, jak zwalczać inflację, PO mówi nieustannie.

Prawdziwe było to pierwsze zdanie. Co do drugiego, antyinflacyjnym programem Donalda Tuska jest głównie wprowadzenie Glapińskiego z jego gabinetu. Poza tym politycy PO krytykują prezesa NBP, że źle prognozuje i za późno zabrał się za podnoszenie stóp procentowych, ale co dokładnie trzeba by zrobić dalej, sami nie mówią. Związani z nimi ekonomiści (desygnowani przez Senat) lansują w Radzie Polityki Pieniężnej jeszcze twardszą politykę monetarną (czyli wyższe stopy). Za to Platforma lansuje przy okazji każdego sporu wyższe wydatki.



Zaprzysiężenie **Adama Glapińskiego** na drugą kadencję na stanowisku prezesa Narodowego Banku Polskiego, Warszawa, 22 czerwca 2022 r.

Czasami ma to postać dodatkowej porcji benzyny dolanej do ognia – jak wtedy, gdy jej odpowiedzią na inflację miały być podwyżki płac dla budżetówki.

Skądinąd sama inflacja jest przedstawiana jako apokalipsa, produkowana jedynie przez nieudolność NBP i rządu. Nie ma w tej opowieści ani skutków pandemii, ani polityki podbijania cen paliw przez Rosję, ani tak specyficznego czynnika jak choćby napływ do Polski masy dodatkowych konsumentów, ukraińskich uchodźców, podbijających popyt.

Rozbudzanie lęków wśród wyborców jest niby wilczyim prawem opozycji. Ale gdy wiąże się to z pustką w sferze własnych recept, trudniej się na to godzić. Wygląda na to, że sygnały konieczności prowadzenia bardziej „balcerowiczowskiej” polityki są odruchem jądra tego obozu, ale nie chce on zrezygnować z socjalnej i ekonomicznej demagogii. Rząd odpowiada z kolei sugestią, że nie decyduje się na utwardzanie polityki monetarnej, bo chce utrzymać choć minimalny wzrost gospodarczy i poziom zatrudnienia. Czasem ciekawe uwagi padają ze strony Lewicy, jak wtedy gdy Adrian Zandberg wspominał o zgubnej roli monopolizacji różnych polskich rynków. Ale to się słabo przebija, a ludzi Platformy nie interesuje.

Kluczowe decyzje polityczne

Spory toczą się tak naprawdę przeważnie na poziomie technicznym. Czasem dotyczą spraw, w których opozycja ma rację, choć skuteczniejsze są tu w swoistej kontroli media. Dobrym przykładem jest

ewentualne przywrócenie VAT, wymuszone podobno przez Komisję Europejską. Okazuje się, że niekoniecznie musi wrócić do poziomu 23 procent. Czy rząd został przyłapany na błędzie, czy próbował wybrnąć ze sprzeczności – niedomykający się budżet kontra konieczność stosowania różnych recept antyinflacyjnych?

Wojny o ekonomię kończą się najczęściej wojnami o politykę. Dobrego przykładu dostarcza tu ustawiczna szamotanina wokół pieniędzy z Krajowego Planu Odbudowy. Opozycja nieustannie o nich przypomina jako o kluczu do dobrobytu Polski. Twierdzenie, że pomogą one w walce z inflacją, to czyste szamaństwo. Ale niewątpliwie mogą one być istotne w perspektywie domykania budżetu i rozmaitych przedsięwzięć modernizacyjnych – choćby ogłoszonego właśnie przez rząd programu rozwoju dróg krajowych. Kluczem są jednak decyzje polityczne dotyczące tak zwanych kamieni milowych, szczególnie tych związanych z sądownictwem. Poparcia odmawia Solidarna Polska, otwarte jest pytanie, jak kształt kolejnych ustaw oceni sama Komisja Europejska, wyraźnie szukająca bata na Polskę. Ale to także dylemat dla opozycji.

Zwłaszcza liderzy PSL i Lewicy deklarują, że poprą „sensowne rozwiązania” wychodzące naprzeciw oczekiwaniom unijnych urzędników. Ale na przykład Waldeemar Kuczyński, guru opozycji totalnej, przestrzega na swoim blogu, aby opozycja w uzyskaniu KPO nie pomała. Bo Kaczyński dostanie te pieniądze i wygra kolejne wybory. Jest w tym logika, choć jest to logika dwóch „d”: demagogii i destrukcji. Rząd skądinąd ma kłopot w sformułowaniu sensownych przepisów prawnych dających nam KPO. Ale opozycja może łatwo ulec logice polaryzacji. Nie mamy tu jakiegokolwiek sporu merytorycznego, a polityczną grę.



Igrzyska zamiast chleba

Wypowiedź Glapińskiego o glaskaniu psa i kota, choć powoływał się na ceny chleba, można odczytywać w ten sposób: zajmujemy się mniej gospodarką i zajmujemy nią mniej elektorat. Skądinąd obóz Kaczyńskiego ma solidne powody, aby tak rozumować. Jego duża zasługa jest uszczelnienie systemu podatkowego. Jeszcze dziś Morawiecki powołuje się na to, apelując, by nie bać się wydatków. Ale gołym okiem widać, że czas wielkich transferów socjalnych się kończy.

W tej sytuacji rządzącym pozostają igrzyska. I zdaje się, że są one szykowane – w postaci tak zwanej komisji weryfikacyjnej. Ma nas czekać dochodzenie, na ile Donald Tusk i inni politycy opozycji szkodziли bezpieczeństwu państwa. Już nawet nie tylko energetycznemu, skoro premier Morawiecki opowiada o redukowaniu sił zbrojnych na wschodniej granicy za czasów Platformy. Opozycyjne media alarmują, że chce się pozbawić lidera Platformy praw politycznych, bo komisja ma mieć takie uprawnienia.

Nie twierdzą, że zamiar fundowania w kampanii wielkiego widowiska to jedyny motyw organizowania tej komisji. To przecież odpowiedź na oskarżenia, jakie „Newsweek” pospołu z Tuskiem kierowali pod adresem rządzących, o rzekome linki prowadzące do Rosji. Te oskarżenia wciąż zresztą wracają, ostatnio za sprawą domniemanego rosyjskiego szpiega, który zasiadał w komisji likwidującej WSI. Ale wylania się z tego wizja zdominowania kampanii przez polityczne gry. Używając metafory Marka Migalskiego z czasów, kiedy ten politolog miał coś istotnego do powiedzenia o polityce, Polacy mają głosować bardziej różniami (lub może bardziej pistoletami) niż portfelami.

Czy taki zamiar wypali? Trudno nie zauważyć, że na jego zrealizowanie jest niezwykle mało czasu. Wcześniej tego typu komisje, łącznie z poprzednią „weryfikacyjną” badającą patologię reprivatyzacji, pracowały wiele miesięcy. Na dokładkę, skoro rzecz ma dotyczyć newralgicznych tematów związanych z bezpieczeństwem, to powinna ona pracować w przynajmniej częściowym utajnieniu. Wreszcie zaś trudno nie podejrzewać, że temat wzajemnych oskarżeń o prorosyjskość już dziś Polakom się przejada.

Polityka oparta na wystrzałach, fajerwerkach z internetu ma tę wadę, że łatwo opinię publiczną znudzić. Trzeba jej zapewniać wciąż coś nowego. Wtedy argument: wy tu się kłóćcie, a Polacy coraz bardziej biedują, może przemówić podwójnie. Nawet jeśli dziś powszechnym narzekaniem na drożyznę towarzyszą tłumy zakupowiczów w sklepach w ostatnią niedzielę handlową.

Jeśli tematy ekonomiczne będą w tej kampanii dominować, to w postaci kontry na czystą politykę. Już dziś widać, że nie będą to starcia odmiennych wizji społeczno-ekonomicznych. Hasło Billa Clintona „Gospodarka, głupcze!”, które w Polsce nobliwa Unia Wolności tłumaczyła w latach 90. jako „po pierwsze gospodarka”, będzie jednym wielkim ciągiem sztuczek i manipulacji.

Balcerowicz nie wróci

Po pierwsze dlatego, że scena przesunęła się w lewo. Możliwe, że ekonomistów związanych z PO ciągnie w kierunku Balcerowiczowskich kuracji. Ale paniczny strach przed PiS z jego

obietnicami i tym, jak potrafił rozbudzić godnościowe odruchy mniej zamożnych, nie pozwoli o tym otwarcie mówić w kampanii. Możliwe, że nie pozwoli też modyfikować tej polityki po wyborach – główne transfery zostaną zapewne zachowane.

Opozycja miałaby szansę zaoferować pewne korekty. Większe inwestycje w edukację, służbę zdrowia czy infrastrukturę w miejsce mechanicznego rozdawnictwa. Tyle że nie wiadomo, czy będą na to pieniądze, nawet jeśli Unia otworzy hojniej wspólną kasę dla Polski. No i lęk przed odbieraniem Polakom czegośkolwiek może być silniejszy niż presja na najlepsze choćby pomysły. Nawet jeśli ci Polacy nie okażą wdzięczności Kaczyńskiemu, ich łaska może na pstrym koniu jeździć także w stosunku do kolejnej ekipy rządowej.

Ekipy, która może być mniej jednorodna niż obecna władza. Czytam, że Lewica obiecała młodszemu generacjom hojny program wspierania budowy mieszkań. Jak wiadomo, PiS to się nie udało pomimo szczyrych chęci. Ale pomijając to, że te zapowiedzi pełne są dziur i niewiadomych, jest to oferta tylko jednego z ewentualnych koalicjantów.

W tej sytuacji z największą pasją ludzie Lewicy mówią dziś o wyprowadzaniu religii ze szkół, wypowiedzianiu konkordatu czy sądowym karaniu mowy nienawiści. W ideologii robić najłatwiej, najłatwiej też pozyskiwać do tego sojuszników. Wiedzą to zresztą i Kaczyński, i Tusk. Oni także, choć czasem pokłócą się o inflację, o tym gardlują najchętniej.

O przyszłości i ignorancji

Jest oczywiście inna okoliczność, która trochę polskich polityków usprawiedliwia. Ekonomia nie jest nauką do końca ścisłą, a liczba niewiadomych i zmiennych leżących poza Polską tylko się powiększa. Wszyscy po trosze improwizują. Trudniej formułuje się w takich warunkach długofalowe, wieloletnie wizje. Ale ciężiej też przygotowuje się środki doraźne. Bo nie wiadomo, czemu trzeba będzie stawiać czoła za dwa miesiące.

Rozumiem to i szukam tu usprawiedliwień. Poniekąd dla całej polskiej sceny politycznej, choć jest pytanie, na ile w takich warunkach usprawiedliwiony jest skrajny radykalizm diagnoz opozycji. Niemniej zastanawiam się nad takim oto scenariuszem, że inflacja zmienia się naprawdę w stagflację. Że przychodzi się mierzyć z recesją będącą następstwem wysokich cen. Że będą rosnąć i one, i stopa bezrobocia, dzisiaj wciąż stosunkowo niska (na poziomie 3 proc.) – pisze o tym niebezpieczeństwie w „Plusie Minusie” Piotr Arak.

Nie mam dowodów, mam jedynie podejrzenia podyktowane obserwacją polskich polityków, ich myślenia o gospodarce i sferze społecznej. Podejrzewam, że szuflady i obecnie rządzących, i opozycji okazały się puste. Te opozycyjne są szczególnie ważne, gdy się myśli o hipotetycznej zmianie u steru władzy. Tusk, jeśli go komisja weryfikacyjna nie skrzywdzi, może za kilka miesięcy zdawać egzamin, który dziś dotyka Morawieckiego i Kaczyńskiego.

Posłanka Joanna Scheuring-Wielgus, kolejno z Nowoczesnej, Wiosny, a dziś Lewicy, przyznała się niedawno w Radiu RMF u Roberta Mazurka do kompletnej ekonomicznej ignorancji. Nie tylko nie wie, co zrobić z podatkami, ale nie zna podatkowych stawek obowiązujących w dzisiejszej Polsce. Bo jej to „nie interesuje”. Mam wrażenie, że w demokracjach typu brytyjskiej czy amerykańskiej taka deklaracja znaczącego czy nawet kompletnie nieważnego parlamentarzysty byłaby niemożliwa. Wszak uczestniczy on w decyzjach dotyczących finansów.

Ale jest to tylko symptom, pokłosie szerszej choroby. Uznaję wielką wagę wyborów ideowych, światopoglądowych, cywilizacyjnych. W perspektywie wieloletniej są one może istotniejsze niż te dotyczące ekonomii i finansów. Wybory ekonomiczne z natury rzeczy bywają nieoczywiste, eklektyczne, poddające się kompromisom.

Ale zarazem w kraju, gdzie możliwa jest niewiedza posłanki Scheuring-Wielgus, także partyjne przywództwo czy kandydaci na ministrów mogą przekraczać granice ignorancji. W obliczu potężnego, światowego kryzysu uderzającego w Polskę nie byłaby to dobra wiadomość.

PRAWDA CZY FAŁSZ

KAMIL KOŁSUT Z KATARU

Mundial nad Zatoką Perską wymyślił emir, ale jego klimat tworzą ludzie, którzy go budowali. Mundialowy Katar to kolaż wrażeń, które niełatwo uporządkować, tworząc spójny obraz. Z tyłu głowy wciąż kołaczą się pytania: co widzieliśmy naprawdę, a co było wielką mistyfikacją.

Rahul jest z Nepalu. Każdego dnia z chłopięcym uśmiechem dźwiga walizki gości hotelu i pyta o mundial. Mecze widzi tylko na dużym ekranie w kafejce. Nie pójdzie na stadion, bo bilety drogie, a on część wypłaty wysłał mamie. Dopiero po kilkunastu dniach pokona treść i zapyta, czy nie ma dla niego pracy w Polsce, bo choć w Katarze jest dobrze, to on marzy o Europie.

Wasimul spaceruje pod stadionem Khalifa. Wie wszystko, zna sytuację brytyjskiej rodziny królewskiej i układ sił w niemieckim parlamencie. Pochodzi z Malediwów, mieszka w Dausze od pięciu lat. Zarobi tutaj więcej niż w domu, ale krępują go lokalne obyczaje, chciałby więcej wolności. Oddałby wiele, gdyby udało mu się znaleźć pracę w Warszawie.

Eashwari mieszka z mężem, który pracuje w ochronie. Wieczorami przychodzą do strefy kibica przy parku Al Bidda, żeby grać na bębnach i wspierać gospodarzy, bo należą do klubu kibica indyjskiego Kochi. Ishan działa na bulwarze Lusail – ma na głowie olbrzymi głośnik, zachęca otoczenie do zabawy. Mówi, że za darmo, z wdzięczności do Kataru, tworzy atmosferę mundialu.

To jego turniej i nie tylko jego – także hinduskiego kierowcy autobusu śpiewa-

jącego „Argentyna, Argentyna”, bengalskiego pracownika sklepu, który w pokoju niczym relikwii chowa koszulkę Messiego, Tunezyjki znającej dwa słowa po polsku i wspierającej Maroko czy Ghańczyka, który hasło „Metro w tamtą stronę” wyśpiewuje po angielsku na kilkanaście różnych sposobów.

Zarażają uśmiechem. Bez nich nie byłoby tutaj żadnego mundialu. Wskazują drogę, wożą gości taksówkami, przygotowują jedzenie, sprzątają pokoje – codziennie. Patrzy na nich z obrazów surowe oblicze emira, ale to oni są gospodarzami. Turniej w Katarze nie należy do Katarczyków. To mundial reszty świata.

Bóg ich nie zobaczy

Asia Town, 20 km od centrum Dauhy. Nie ma tu światła zbudowanego niczym z klocków Lego miasteczka Lusail, jest krajobraz industrialny: auta pokryte piaskiem, hale fabryczne, mur. Są też emir Tamim i jego ojciec Hamad – witają z obrazów klientów centrum handlowego, gdzie kupisz tani telefon, odwiedź się golibrodę i zjesz obiad za kilkanaście riali. Katarczyków tu nie ma.

Nie ma także kobiet. Wkraczamy w świat, gdzie z reklamówkami brną przez tłum mięśnie Kataru – imigranci z Nepalu, Indii, Bangladeszu, Sri Lanki. To ich krew płynie w żyłach kraju. Katarczyków w 3-mln populacji jest nieco ponad 300 tys., reszta to imigranci. Żyją w swoim świecie, z dala od miasta, gdzie mile widziani są wyłącznie w godzinach pracy.

Panuje tu ruch dwukierunkowy: do centrum handlowego i w kierunku kwater. Centrum jest otwarte, a w nim ściana wdzięczności, na której imigranci wypisują życzenia dla emira. Noclegowni broni już wysoki mur strzeżony przez ochroniarzy i kamery. Każdy mieszkaniec organizuje tam swoje życie na 5 mkw.

To po prostu getto, zwane „strefą industrialną”. Tu imigranci śpią, robią zakupy taniej niż gdziekolwiek, idą do kina ze szlagierami Bollywoodu, wreszcie wsiadają w autobus, który powiezie ich w kierunku pracy za tysiąc riali miesięcznie. Większość wysyłają rodzinie, jeśli już spłacili haracz dla pośrednika, bo trzeba przecież wyremontować dom i posłać do szkoły dziecko, którego nie widzieli od lat.

To ich rękami Katarczycy budują od dwóch dekad hotele, autostrady, galerie handlowe. Nie byłoby bez nich mundialu, więc na murze Leo Messi, Cristiano Ronaldo oraz Neymar wypinają pierś

i prężą mięśnie przy hasle: „Dziękujemy ci za dostarczenie najlepszych mistrzostw świata w historii”. To do emira.

Mają swoje kina i restauracje, aby nie wprasali się do katarskich. Jeszcze kilka lat temu w piątki – wolne od pracy – nie mogli wchodzić do galerii w centrum miasta, Katarczycy wymyślili sobie wówczas „dzień dla rodziny”. Dziś już go nie ma, ale robotnicy wciąż nie pchają się do centrum Dauhy – są wykluczeni finansowo i komunikacyjnie. Metro do Asia Town nie dojeżdża, są dwa autobusy.

Dostali na czas mundialu własną strefę kibica – na stadionie do krykieta, gdzie grają lokalne drużyny. Wypełniają go ci, którzy wznosili stadiony, a teraz nie stać ich na zakup biletu. Nie ma tu zagranicznych kibiców, zamiast hasła „Tylko Visa” słyszymy, że płacić można wyłącznie gotówką. Dziennikarzy rozpoznać łatwo – wyróżniają się akredytacją na szyi i kolorem skóry.

Harshad jest kierowcą autobusu. Mieszka 10 km od Asia Town, ale przyjechał, bo telewizor ma na kwaterze małe, a mecze zawsze lepiej przeżywać w grupie. Mówi, że jest szczęśliwy, bo praca dobra i płaca więcej niż w Indiach. Shamim, robotnik, podtrzymuje tę narrację. Kwame jest z Ghany, też pracuje na budowie. Ma gdzie spać i co jeść, a pieniądze jeszcze



MARTIN DIVISEK/VEA/FAP

dował, ale teraz może kupić na wynos latte macchiato w sieciowej kawiarni za 30 riali. To jego dzienny uropek.

Widzimy w Katarze systemowy rasizm. Ochroniarze to przecież niemal wyłącznie czarnoskórzy Afrykanie, Azjaci to obsługa hotelowa, pracują też w knajpach. Jesteśmy w kraju, gdzie biedni zawsze pozostaną biedni – transfer z klasy niższej do wyższej nie istnieje, amerykański sen to ułuda – a bogaci pomnożą majątki ich pracą.

Położony nad Zatoką Perską West Bay to las wieżowców, pięciogwiazdkowych hoteli. Zakupom ma służyć deptak Lusail, gdzie Katarczycy wymarzyli sobie Pola Elizejskie. To baśniowa sceneria posklejana z tysiącami innych światów. Miejscomi zrobili sobie w Dausze dzielnicę przypominającą plac Vendome, mają w planach replikę Beverly Hills.

Centrum handlowe położone w cieniu hotelu Torch, przypominającego kształtem pochodnię z ogniem olimpijskim, ma nie tylko lodowisko, ale także kanały udające Wenecję. Możemy wsiąść do gondoli i ruszyć na rejs wodną arterią, gdzie sklep Gucciego sąsiaduje z Versace, a krajobraz luksusu psują jedynie bary szybkiej obsługi z udkiem kurczaka i frytkami za 20 riali.

Souq Wakif, skapany w parze z fajek wodnych i zapachu grillowanego jedzenia, wieczorami tak wypełnia się ludźmi, że trudno wcisnąć szpilkę – dosłownie, policjanci w pewnym momencie odgradzają targowisko metalowymi bramkami: możesz tylko wyjść, wejścia nie ma, bo teren przepełniony. Kartą przetargową, jak wszędzie, pozostaje akredytacja dziennikarska.

Katarczycy zakazali wnoszenia na trybuny transparentów wspierających rosnącą irańską rewolucję, wyrzucili ze stadionów tęczowe flagi. Koncesjonują wolność, ale jednocześnie mediom przychylają nieba: darmowa komunikacja miejska oraz opieka medyczna, spływ kajakowy, wycieczka na pustynię, surfowanie po piasku, grill, oglądanie meczów na telebimie w beduińskim namiocie.

Snują opowieści o narodzie patrzącym przed siebie, ale zanurzonym w przeszłości. Kultuwującym tradycję, oddychającym rzeźkim powietrzem pustyni, uprawiającym caravaning na bezdrożach. To raczej mit, że już im nie zależy, że dzięki bogactwie z ropy i gazu nie dbają, jak postrzega się ich poza krajem. Pokazują się światu takimi, jakimi chcą być widziani.

Gdy piątek jest niedzielą

Pięć razy dziennie niesie się po Dausze śpiew muezzina, ale do Church City nie dociera. Jesteśmy na przedmieściach, daleko od światła Lusail, na betonowym placu wciśniętym między dwie nitki autostrady. Odświętnie ubrani ludzie zmierzają w kierunku odrapanego budynku z kontrolą bezpieczeństwa.

Wyblakła tablica, pęka wysuszona słońcem farba. Bezimienny „kompleks religijny”. Widzimy plan placu podzielonego na sześć części, od góry, od lewej strony: Centrum Anglikańskie, Chrześcijański Kościół Międzywyznaniowy, kościół rzymskokatolicki oraz kościoły ortodoksyjne: grecki, syryjski, koptyjski. Ma być jeszcze etiopski, ale na razie z fundamentów strzelają w niebo pręty zbrojenio-
wne.

Katar nie jest islamską teokracją na wzór Iranu, chrześcijanom emir pozwolił na pokojowe współistnienie – zorganizował im na przedmieściach Dauhy miejsce,

gdzie mogą legalnie praktykować wiarę. Nie ma tu oczywiście strzelistych wież ani krzyży. Nawet słowo „kościół” pojawia się dopiero po przekroczeniu bramy.

To miejsce, gdzie piątek – dzień wolny od pracy – jest niedzielą. Msze i spotkania modlitewne zaczynają się o 5.30. Kompleks odwiedza w ciągu dnia kilkadziesiąt tysięcy wiernych, precyzyjnie szacować trudno. Pytając o liczby, słyszymy za każdym razem, że choć pandemia odbiła się na frekwencji, to wciąż gości bywa zbyt wielu, a niewielkie salki pękają w szwach.

Pierwsza katolicka msza w Dausze odbyła się w 2008 r. Stał wówczas w centrum placu tylko budynek, nie było dróg ani olbrzymiego parkingu, na przedmieściach pojawili się za to tłumnie dyplomaci i liderzy religijni, a kompleks oficjalnie otworzył ówczesny zastępca premiera katarskiego rządu Abdullah bin Hamad Al Attiyah.

To mikrokosmos imigrantów: blisko sto narodowości, kilkadziesiąt zgromadzeń, msze w ponad 30 językach. Tutaj się żenia i żegnają zmarłych, administrujący Kompleksem Anglikańskim Stanley z dumą pokazuje chrzcielnicę. – Jesteśmy wdzięczni emirowi, że pozwala nam praktykować naszą wiarę. Niech Bóg ma go w opiece – podkreśla.

Szacuje się, że niespełna połowa z 3-mln populacji Kataru to muzułmanie. Religie inne niż islam, aby mogły oficjalnie funkcjonować, musi zarejestrować Ministerstwo Spraw Zagranicznych. Udało się ośmiu wyznaniom chrześcijańskim. Nie ma w Katarze chramów, buddyjskich świątyni ani synagog. Praktykowanie innych religii jest nielegalne.

Stanley jest wdzięczny i się chwali: Centrum Anglikańskie to ponad 60 kongregacji, jednocześnie w budynku może odbywać się 30 mszy oraz spotkań modlitewnych w 35 językach. Co tydzień odwiedza ich nawet 40 tys. wiernych. Pokazuje z dumą salę z flagami uczestników mundialu, ozdobami świątecznymi, strzeżoną przez papierowe anioły stajenkę ze żłobkiem – jeszcze pustym.

– Dobrze bracie cię widzieć, cieszymy się, że jesteś z nami – słyszymy od nigeryjskiego pastora. Filipiński ministrant z radością przyznaje: „Z waszego kraju pochodzi nasz papież!”, a opiekun kościoła syromalabarskiego serdecznie zaprasza do środka: – Msze i spotkania odbywają się u nas w kilkunastu językach, angielskiego akurat nie ma, ale poczyj chociaż atmosferę i gościnność naszego domu.

Miasto tysiąca baniek

Mundial gości monarchia z wolnością starannie wydzielaną. Piwo zniknęło ze stadionów, ale o procenty w Dausze nietrudno. Granice są dwie: dokument oraz cena. Wystarczy zjechać dwa piętra w dół hotelową windą – albo przeciwnie, 50 w górę – skan paszportu i wita nas Zachód z głośną muzyką oraz lepiącą się od rozlanego alkoholu podłogą.

Mijamy wystrojonych w koszule i markowe dresy Saudyjczyków, którzy wymachują paszportami zdobionymi zdjęciami w keffijach, które za chwilę schowają do kieszeni i zamówią pół pinty piwa za 50 riali, choć przyjechali na mundial z kraju jeszcze bardziej restrykcyjnego niż katarski, ale przecież na szczycie luksusowego hotelu, pod osłoną nocy drobnych grzechów nie widać.

Nie możesz wyjść pod wpływem alkoholu na ulicę, lecz nikt nie zabroni ci przydzwonić głową o bar za zamkniętymi drzwiami. Ulice też, pewnie na chwilę,

stają się przestrzenią ostrożnej wolności. Reporterzy francuskiej gazety „L'Equipe” spotkali nawet kobietę rozporządzającą swoimi wdziękami za 500 riali – pracuje w hotelu jako sprzątaczką – choć prostytutka jest zagrożona w Katarze karą więzienia.

Hotele to terytorium neutralne. To one ucieleśniają słowa dyrektora komitetu organizacyjnego mundialu Nassera Al-Khatera, który jeszcze kilka miesięcy temu – na długo przed wykopaniem piwa ze stadionów – wyjaśniał, że spożywanie alkoholu nie jest częścią katarskiej kultury, ale gościnność już tak.

Katar nie jest tak liberalny jak Dubaj ani tak konserwatywny jak Arabia Saudyjska. Śpiew muezzina i śnieżnobiałe galabije współistnieją tu z klubową muzyką i skromnymi strojami kobiet – zwłaszcza nocą, która bywa jednak krótka, bo bary oraz kluby oficjalnie żyją tylko do trzeciej nad ranem, a drzwi wejściowe ochroniarze przyskają już godzinę wcześniej.

Słyszymy, że to miasto tysięcy baniek. Mieszkają w nich Katarczycy, którzy rzadko wychodzą do świata. Widzimy głównie, jak się przeciskają: w czwartkowy wieczór uliczkami śródmiejskiej dzielnicy Msherieb albo na stadionie podczas meczu ich drużyny – w trakcie drugiej połowy, schodami w dół do wyjścia, aby się wyspać przed zaplanowanym na kolejny poranek wyścigiem wielbłądów.

Wielka mistyfikacja

Katar podczas mundialu to kolaż wrażeń, które niełatwo uporządkować, tworząc spójny obraz. Z tyłu głowy kołaczą się pytania: co jest prawdą, a co wielką mistyfikacją, jak opłacone przez organizatorów mundialu grupy zagranicznych kibiców.

Widzieliśmy przecież szaleństwo fanów wspierających Meksyk, Brazylię, Argentynę. Herszt brazylijskich ultrasów, któremu Katarczycy opłacili przelot i hotel, opowiadał, jak wędruje po stadionach, mobilizując do dopingowania kibiców z innych krajów, ale jednocześnie z zachwytem opowiada o fanatyzmie Marokańczyków.

Widzimy dopieszczony stadion oraz ukrytą za ogrodzeniem grupę robotników pochylających się nad pękniętą rurą. Spacerujemy po West Bayu jak po Nowym Jorku i kontemplujemy futurystyczne Lusail, mając jednocześnie w pamięci księżycowy krajobraz Asia Town i przejmujące raporty organizacji zajmujących się prawami człowieka. Pielęgnowujemy w pamięci historię wyzysku, śmierci robotników, prześladowań osób LBGTQ+ czy pracujących jako pomoce domowe kobiet narażonych na deportację za stosunki pozamałżeńskie, choć wiele z nich padało raczej ofiarami gwałtów.

Może to wszystko jest na chwilę i na pokaz, a po mundialu zniknie jak fatamorgana. Znów będzie w Dausze słychać tylko młoty oraz dźwięgi pracujące w 50-stopniowym upale oraz lament ścigających marzenia robotników, którzy strajkują, bo pośrednik znów nie wypłacił głodowej pensji, a jego prowizja sama się nie spłaci.

Pytamy, obserwujemy oraz dotykamy tej rzeczywistości często z niedowierzaniem, próbując rozsunąć kurtynę i przebić mundialową bańkę w poszukiwaniu odpowiedzi, gdzie Katar zmienił się naprawdę, a gdzie tylko udaje, ale i tak wyjedziemy z kołaczącym się w głowie pytaniem, ile zobaczyliśmy podczas mundialu prawdy, a ile wielkiej mistyfikacji z baśni tysiąca i jednej nocy.

Koncesjonowana wolność

WDausze bogactwo sąsiaduje z biedą bliżej niż gdziekolwiek indziej. Robotnik z Asia Town zanim wróci do swojego getta, zje jeszcze kanapkę na trawie, w cieniu drapacza chmur, który może kiedyś bu-

NATALIA MILLER

Związek małżeński coraz częściej przypomina spółkę, w ramach której każdy z partnerów przez pewien czas doświadcza poszukiwanej satysfakcji. Ślubów jest coraz mniej, rozwodów coraz więcej. A te ostatnie to jedno z najbardziej traumatycznych przeżyć w ludzkim życiu.

I NIE OPUSZCZĘ CIĘ, DOPÓKI NIE ODEJDĘ

Institucja małżeństwa ma ponad 4,3 tysiąca lat. Pierwsze udokumentowane ceremonie małżeńskie odbyły się w Mezopotamii, około 2350 r. p.n.e. Według teorii przywiązania Johna Bowlby'ego w człowieku istnieje pewna zdolność do tworzenia bliskich więzi emocjonalnych z wybranymi osobami. Od pradawnych czasów aktywność ludzka opierała się właśnie na działaniach podejmowanych razem z innymi. W końcu najważniejszym celem człowieka pierwotnego było przeżycie i spłodzenie potomstwa.

W polskim społeczeństwie przez wiele pokoleń zasady współżycia były ściśle określone i zdeterminowane przez tradycję, dotyczyło to też ról małżeńskich. Nadzrędnym celem związku małżeńskiego było utrzymanie trwałości rodziny. Ale przemiany społeczne, polityczne i ekonomiczne ostatnich lat doprowadziły do zmian w tym podejściu. Jak przekonywał socjolog Ulrich Beck, rodzina nie traci na znaczeniu w kształtowaniu się tożsamości, ale zmienia się jej rola wobec centrum organizowania biografii, którym staje się „Ja”, czyli jednostka sama dla siebie. Owa jednostka musi nauczyć się pojmować samą siebie „jako biuro planistyczne własnej biografii, własnych umiejętności, orientacji, kontaktów partnerskich”. Dzisiejszy związek małżeński ma często charakter spółki, w ramach której każdy z partnerów

przez pewien czas doświadcza poszukiwanej satysfakcji. Nierzadko w małżeństwie ważniejsza jest przyjemność danej jednostki, a nie zadania wobec rodziny. Zygmunt Bauman w swojej koncepcji związanej z kruchością więzi sentymentalnych zawarł przekonanie, że dzisiejsza kultura wyróżnia się „płynną miłością własną” jednostek.

Jak zatem wygląda rynek małżeński w Polsce? Czy naprawdę liczy się miłość, a może wspólny kredyt? Czy wysoka inflacja łączy zważnionych małżonków?

A po co mi ten ślub?

Ślubuję Ci miłość, wierność i uczciwość małżeńską (...)” – to fragment przysięgi, którą składa coraz mniejsza liczba małżeństw. Rekord pobito w Polsce w 1976 r. – związek zawarło 330 tys. par. Wtedy na ślubnym kobiercu stały roczniki wyżu demograficznego z pierwszej połowy lat 50. Na przełomie lat 80. i 90. rocznie zawierano ok. 250 tys. małżeństw. Później ich liczba stopniowo spadała. Wzrost zanotowano w 2008 r., kiedy odbyło się 258 tys. ślubów. Od tego

czasu zainteresowanie sformalizowaniem związku systematycznie maleje. Z danych GUS wynika, że w 2020 r. zawarto 145 tys. małżeństw, czyli o ponad 38 tys. mniej niż rok wcześniej. Równocześnie systematycznie rośnie odsetek urodzeń pozamałżeńskich. Na początku lat 90. było to ok. 6-7 proc., w 2000 r. – ok. 12 proc., obecnie co czwarte dziecko rodzi się w niesformalizowanym związku.

W stolicy jest podobnie. Z danych, które „Plus Minus” otrzymał z warszawskiego ratusza, wynika, że w 2020 r. zawarto 4792 małżeństwa, w 2021 r. – 4999, a w I półroczu 2022 r. – 2027 związków. – Przed pandemią śluby w Polsce kwitły, branża była stabilna. Zamrożenie możliwości organizacji wesel oraz obawy narzeczonych doprowadziły do przebranzowienia części doświadczonych i cenionych usługodawców, którzy brali udział w oparwie wesel. O ile na początku bieżącego roku zainteresowanie wróciło już prawie do normy, o tyle po wybuchu wojny w Ukrainie bardzo spadło. Obecnie popularność ślubów wśród klientów z Polski wróciła już do stanu sprzed pandemii – opowiada Małgorzata Kochanek, prezes Zarządu Polskiego Stowarzyszenia Konsultantów Ślubnych.

W Europie najczęściej żenią się Węgrzy – 6,9 małżeństwa na 1 tys. mieszkańców w 2020 r. (dane Eurostatu),



GŁÓWNA PRZYCZYNA ROZWODÓW W POLSCE JEST NIEZGODNOŚĆ CHARAKTERÓW OBOJGA MAŁŻONKÓW. KOLEJNE TO: NIEDOCHOWANIE WIERNOŚCI MAŁŻEŃSKIEJ, NADUŻYWANIE ALKOHOLU, NIEPOROZUMIENIA NA TLE FINANSOWYM

Polski, która na co dzień pracuje z młodzieżą akademicką. Chciałaby się zaszczepić, ale mąż jest fanatycznym przeciwnikiem szczepień. – Bardzo dużo rozmawialiśmy. Mąż nie wyraża zgody na moje szczepienie. A ja nie mam odwagi mu się sprzeciwić czy zrobić po kryjomu – opowiada.

Rozwód szkodzi zdrowiu

Zdecydowana większość dorosłych Polaków, bo aż 67 proc., ma w swoim otoczeniu przynajmniej jedną osobę, która jest rozwiedziona – wynika z badania CBOS pt. „Rozwody w osobistych doświadczeniach Polaków”. Znajomość takich osób jest tym częstsza, im wyższy poziom wykształcenia badanych, większe miasto zamieszkania i rzadsze uczestnictwo w praktykach religijnych.

Relatywnie częściej niż inni znajomość osób rozwiedzionych deklarują osoby o najwyższych dochodach, w wieku 35–44 lat, a w grupach społeczno-zawodowych – kadra kierownicza oraz specjaliści wyższego i średniego szczebla.

Z danych udostępnionych przez 47 sądów okręgowych wynika, że w I półroczu 2022 r. o 0,2 proc. spadła liczba pozwów rozwodowych. Do sądów wpłynęło ich ponad 38,7 tys. Z danych Sądu Okręgowego w Warszawie wynika, że w I połowie 2022 r. wpłynęło 2125 pozwów o rozwód. Z kolei w 2021 r. było ich 4290, a w 2020 r. 4033. Przed pandemią w 2019 r. rozwodzono się częściej – 5310 pozwów. Warszawiacy wciąż chętniej wybierają chętniej życie razem niż osobno. Można więc założyć, że nie czeka nas plaga rozwodów po pandemii, jak zapowiadali niektórzy.

– Patrząc na dane statystyczne z wcześniejszych lat, widzimy, że rozwodów przybywa. Jeszcze 20–25 lat temu pary bardzo ostrożnie podejmowały tego typu decyzje. Nawet małżeństwa nieudane lub źle dobrane z przyczyn czysto społecznych i ekonomicznych były utrzymywane często przez całe życie – tłumaczy Violetta Rymaszewicz, autorka książki pt. „Ile kosztuje żona? Mroczne sekrety rynku małżeńskiego”.

Rymaszewicz zaznacza, że w Polsce coraz częściej pozew o rozwód składają kobiety. – To jest ogólnoeuropejski trend. Samodzielność zawodowa kobiet rośnie i kiedy nie znajdują spełnienia w małżeństwie, po prostu decydują się na zakończenie relacji. W Polsce w sposób systemowy próbuje się powstrzymać kobiety od rozwodów m.in. poprzez utrudnianie spraw rozwodowych, przeciąganie procesów o podział majątków, które w skrajnych przypadkach mogą trwać nawet osiem–dziewięć lat. W tym przypadku kobiety przez wiele lat zostają pozbawione dostępu do wspólnych pieniędzy – opisuje pisarka.

„W 2019 r. alimentciarze nie zapłacili swoim dzieciom w sumie 12,3 mld zł. Bywa, że zadłużenie wobec dzieci jest ogromne. Wątpliwy bohater – rekordzista z woj. małopolskiego – ma dług alimentacyjny wartości 800 tys. zł. Czasem nawet już kilkutyśne zaległości alimentacyjne skazują samotną mamę i jej dziecko na ruinę finansową” – można przeczytać w książce Rymaszewicz.

Rozwód zajmuje drugie miejsce na liście najdotkliwszych wydarzeń, które mogą spotkać człowieka. Psychologowie często porównują rozstanie do śmierci bliskiej osoby. Odczuwa się wówczas podobne emocje, często nie może się pozbyć po takim doświadczeniu. Pojawia się bardzo istotne poczucie straty, zagrożenia i poczucie niepewności. – Bardzo często rozwód jest

Łotysze – 5,6, Litwini – 5,5. Najrzadziej związki małżeńskie są zawierane we Włoszech – 1,6; w Portugalii – 1,8; w Hiszpanii i Irlandii – 1,9. Polska z 3,8 małżeństwa na 1 tys. mieszkańców nie wypada na tym tle źle.

– Dane statystyczne nigdy nie dają pełnego obrazu. Są w pewien sposób ślepe na cały kontekst związku, bo rejestrują tylko to, czy ktoś jest w małżeństwie lub nie. Dużo jednak zmieniło się w naszym jakościowym myśleniu o relacjach, intymności i związkach – tłumaczy profesor Uniwersytetu SWPS dr hab. Paula Pustulka. Socjolożka na co dzień zajmuje się interdyscyplinarnymi studiami nad młodymi ludźmi oraz zmianami pokoleniowymi. – W ramach badań dużo rozmawiam z ludźmi w wieku 18–30 lat i obserwuję, że małżeństwo to instytucja, która raczej słabo istnieje w mentalności najmłodszych pokoleń. Najczęściej wynika to z tego, że młode osoby dzisiaj dorastają w rodzinach, gdzie małżeństwa ich rodziców, dziadków czy innych krewnych albo nie przetrwały, albo nie są uważane za jakieś szczególnie udane. Jeżeli dorastamy w otoczeniu par, które w naszym przekonaniu nie spełniają naszego wyobrażenia udanego związku, to nie chcemy wchodzić w podobne relacje i jesteśmy ostrożniejsi względem ślubów – podkreśla w rozmowie z „Plusem Minusem”.

Dodaje, że „małżeństwo jako aspiracja społeczna bardzo się zdewaluowało i zaczęło znikać z wyobrażenia tego, co dla najmłodszych pokoleń jest ważne”. – Szczególnie mając dwadzieścia kilka lat, ludzie myślą raczej o swoim rozwoju edukacyjno-zawodowym i rozrywce. Nie ma też już takiej presji społecznej, by kobieta, która nie wyszła za mąż, a ma 25 lat, uważana była za starą pannę. Młode kobiety stały się bardziej świadome i dużo później, jeśli w ogóle, decydują się na dzieci. Co za tym idzie, inna jest też dynamika rynku matrymonialnego – mówi socjolożka.

Przeżyć pierwsze dziesięć lat

Zycie małżeńskie przez wiele osób uważane jest za sztukę kompromisów. Codziennie często weryfikuje jakość naszych relacji. Można się było o tym przekonać podczas pandemii, gdy wielu było zamkniętych całe dni razem w domach. Często na zbyt

małej przestrzeni trzeba było pracować i uczyć się zdalnie.

– Do tej pory spędzałam z moim mężem tylko kilka godzin dziennie, zwykle po prostu się mijaliśmy. W pandemii byliśmy wręcz skazani na siebie praktycznie non stop. Łatwo się wtedy irytowałam, a atmosfera związana ze wzrostem zakażeń czy kolejnymi lockdownami nam nie pomagała. Do tego zbyt częste oglądanie telewizji, siedzenie w telefonie, bałagan w mieszkaniu, za dużo jedzenia i takie ogólne rozleniwienie. W pewnym momencie musieliśmy odbyć poważną rozmowę interwencyjną i wdrożyć plan powrotu do normalności – opowiada 42-letnia Marta, mama dwójki dzieci.

Marta z mężem Michałem w porę zareagowali. Ale wielu małżonków podczas pandemii zobaczyło, że do siebie nie pasują i mają zupełnie inne priorytety życiowe. Skoncentrowani na sobie woleli się rozstać, niż zawalczyć o związek.

W Polsce średnio na trzy zawierane związki małżeńskie przypada jeden rozwód. Prof. Ewa Budzyńska, socjolożka rodziny z Uniwersytetu Śląskiego, w artykule „Jak często rozwodzą się Polacy?” stwierdziła, że najczęściej rozwodzą się małżeństwa pomiędzy piątym a dziewiątym rokiem ich trwania. – Dziś o zawarciu małżeństwa decydują emocje. Jednak taka namiętna miłość wystarcza tylko na kilka pierwszych lat życia. Kiedy emocje opadną, może się okazać, że małżonkowie nie mają o czym rozmawiać i nic w zasadzie ich nie łączy. A od tego już tylko krok do rozwodu – podkreśla w artykule.

Jak podaje GUS, w ostatnich latach główną deklarowaną przyczyną rozwodów w Polsce była niezgodność charakterów obojga małżonków. Kolejne to: niedochowanie wierności małżeńskiej, nadużywanie alkoholu, nieporozumienia na tle finansowym, negatywny stosunek do członków rodziny współmałżonka oraz konflikty z tym związane. – Kiedyś ludzie kłócili się o wakacje, o udzielenie sakramentów, o wybór dyscypliny sportu. W czasach Covid-19 kłótnie dotyczą szczepień – mówi włoska adwokatka Carmen Posillipo, specjalistka od prawa rodzinnego, która uważa, że coraz częściej różnica zdań na temat szczepień przeciwko Covid-19 stanowi przyczynę konfliktów, a nawet separacji w tym kraju.

W naszym kraju nie ma oficjalnych danych na ten temat. Poznałam jednak historię Anity z centralnej

sytuacją, która zmienia życie z punktu widzenia jakości finansowej, poczucia bezpieczeństwa, ale również przynosi obawy, że któryś z partnerów zaraz sobie kogoś znajdzie. To wszystko wymaga przeanalizowania i przemyslenia w ośrodkowym układzie nerwowym. Oczywiście, wszystko zależy od tego, jak duża będzie ta strata i jak bodziec awersyjny do roszczeń wobec partnera będzie wpływał na nasze zdrowie – komentuje farmakolog kliniczny dr hab. Jarosław Woron.

– Rozwód przede wszystkim może powodować lęk, bezsenność, depresję czy dystymię (przewlekłe obniżenie nastroju – red.). Rozstanie tworzy skokową zmianę, która w przypadku partnera cierpiącego na inne choroby może powodować tzw. tło afektywne. Wtedy dopada nas ból, a u kobiet mogą zaostrzyć się psychiczne objawy okresu przekwitania – tłumaczy farmakolog.

Woron dodaje, że w momencie trudnego i nieprzyjemnego przeżycia, jakim jest rozwód, wzrasta ryzyko nadużywania różnych substancji psychotropowych. Jest to spowodowane uczuciem szybkiego ukojenia, które doświadcza po ich zażyciu cierpiący partner.

Laboratorium miłości

Jednocześnie kochać i zachować rozsądek, to nie jest dane nawet Jowiszowi – pisał Owidiusz. Dlaczego między jednymi ludźmi pojawia się zakochanie, podczas gdy inni pozostają znajomymi? Na to pytanie odpowiedział Robert Sternberg, amerykański psycholog, autor „Trójkątnej koncepcji Miłości”, która zakłada, że aby istniała prawdziwa miłość pomiędzy dwiema osobami, powinny wystąpić trzy składniki: namiętność, intymność i zaangażowanie. Nie mają one jednak stałej wartości. Tworzą specyficzną konstelację, która ulega przeobrażeniu wraz z kolejnymi fazami związku. Upływający czas sprawia, że zmieniają się proporcje składników, do głosu dochodzą inne akcenty, a sama miłość przybiera różne oblicza. Wyróżnił siedem rodzajów miłości: lubienie, zaślepienie, przywiązanie, miłość romantyczną, miłość fatalną, miłość braterską oraz miłość doskonałą, gdy istnieje namiętność, intymność i zobowiązanie.

Jak określić rodzaj miłości między partnerami? Jak wysokie jest ryzyko rozwodu w danym małżeństwie? Próbował to ustalić amerykański psycholog dr John Gottman, który weryfikował zachowanie par i mechanizmy rządzące związkiem. Umieszczał pacjentów w tzw. laboratorium miłości, specjalnym pomieszczeniu w swoim instytucie w Seattle, i ich obserwował. Ryzyko rozwodu danej pary ustalał za pomocą wzorów matematycznych i obliczeń. Jak twierdził Lew Tołstoj w powieści „Anna Karenina”, wszystkie szczęśliwe rodziny są do siebie podobne, a każda nieszczęśliwa rodzina jest nieszczęśliwa na swój sposób. Gottman w swojej metodzie badawczej pokazał, że owo nieszczęście w rodzinie może mieć wiele cech wspólnych. Taką cechą może być styl i sposób komunikacji par.

Psycholog wyróżnił cztery sygnały świadczące o tym, że w relacji nie dzieje się dobrze. Nazwał je „Czterema Jeźdźcami Apokalipsy”. Pierwszy to krytycyzm i wytykanie błędów, drugim jeźdźcą jest pogarda i brak szacunku. Trzeci związany jest z defensywnością, a czwarty z wycofywaniem się. Według niego poprawne zidentyfikowanie tych problemów może być pierwszym krokiem do naprawy stosunków między partnerami. Kolejnym krokiem jest podjęcie odpowiedniej terapii.

Małżeństwo jak biznes

Obserwujemy się cztery tygodnie, kochamy się cztery miesiące, kłócimy się cztery lata, tolerujemy się czterdzieści lat, a dzieci zaczynają od początku – mawiał Hipolit Taine, XIX-wieczny filozof. Psycholożka Susan Gadoua, autorka książki pt. „Contemplating Divorce. A Step-by-Step Guide to Deciding Whether to Stay or Go”, napisała w jednej ze swoich internetowych publikacji, że miłość to luksus. Jeśli wychodzimy za mąż tylko z miłości, oznacza to, że zaspokoiiliśmy już podstawowe potrzeby, takie jak bezpieczeństwo finansowe, pożywienie, schronienie i możemy sobie wreszcie pozwolić na miłość.

Szerokie zastosowanie ekonomii m.in. w aspekcie związków małżeńskich zaproponował Gary S. Becker,

twórca „new home economics”. W 1992 r. otrzymał Nagrodę Nobla za włączenie do teorii ekonomii kwestii związanych z ludzkimi zachowaniami, którymi zajmują się takie dyscypliny naukowe, jak socjologia, demografia czy kryminologia. W ekonomicznej teorii małżeństwa Becker zastanawiał się, kiedy zawierane są małżeństwa i jak długo ludzie pozostają w związkach. Według niego partnerzy, zabiegając o swoje względy, konkurują z innymi osobami na tzw. rynku matrymonialnym. Kalkulując możliwe zyski i straty, dążą do maksymalizacji użyteczności relacji. Każda osoba usiłuje, w ramach ograniczeń nakładanych przez warunki rynkowe, znaleźć sobie najlepszego z osiągalnych partnera. Poszukiwania są tym dłuższe, im bardziej zróżnicowani są kandydaci i im bardziej ludzie są mobilni. Optymalny dobór partnera występuje w przypadku łączenia podobnych cech jak wykształcenie, inteligencja, wygląd, a także zarobki. Przykładowo mężczyźni danej rasy czy posiadający określony wzrost będą szukać partnerek o podobnych cechach, ale już mężczyźni, których płace są wysokie, będą szukać partnerek o niższych dochodach.

W tym ujęciu decyzje o ślubie to prosta kalkulacja oczekiwanych korzyści związanych z małżeństwem i tych wynikających z pozostania singlem. Zdaniem Beckera, trwając w związku, małżonkowie osiągają więcej, niż pozostając w stanie wolnym. A małżeństwo jest organizacją, która tak jak inne organizacje gospodarcze podlega prawom rynkowym. Z kolei rozwód i czas trwania małżeństwa zależą m.in. od dokonanych w nim inwestycji, mogą to być wspólne dobra czy np.

ROZWÓD ZAJMUJE DRUGIE MIEJSCE

NA LIŚCIE NAJDOTKLIWSZYCH WYDARZEŃ, KTÓRE MOGĄ SPOTKAĆ CZŁOWIEKA.

PSYCHOLOGOWIE CZĘSTO PORÓWNUJĄ ROZSTANIE DO ŚMIERCI BLISKIEJ OSOBY. POJAWIA SIĘ BARDZO ISTOTNE POCZUCIE STRATY, ZAGROŻENIA I POCZUCIE NIEPEWNOŚCI

liczba dzieci. Rozwód też miałby być wynikiem kalkulacji, czy korzyści z rozstania przewyższają straty związane z zakończeniem małżeństwa.

Socjolog Piotr Szukalski z Uniwersytetu Łódzkiego w artykule pt. „Funkcje ekonomiczne małżeństwa i rodziny” wyróżnia zalety rodziny jako przedsiębiorstwa, którymi są brak anonimowości, pełna informacja o transakcji, brak ryzyka moralnego, kontrola nad „kontrahentem”, długość trwania „kontraktu”, motywacja do wymiany, altruizmu, lojalność. Ułomnością „przedsiębiorstwa rodzinnego”, w porównaniu z firmami działającymi na rynku, są m.in. „naddobrotliwość” – rozumiana jako niewykorzystywanie dostępnych sankcji w przypadku nierzetelnego wykonywania kontraktu, wrażliwość na konflikty wewnętrzne, kryterium doboru „pracownika”, wrażliwość na długookresowe zmiany modelu demograficznego rodziny.

Rynek małżeński jest terminem socjologicznym używanym od lat 70. ubiegłego wieku. „Rynek” oznacza, że zachodzi wymiana dóbr i pieniędzy. – Instytucja małżeństwa również podlega prawom rynku. W każdym małżeństwie przedzie czy później pojawiają się kwestie finansowe, które zwykle są przyczyną konfliktów, a często jednym z ważnych elementów, dzięki którym małżeństwo się udaje lub z powodu których się rozpada. Nam wydaje się, że małżeństwo jest ukoronowaniem jakiegoś mitu o wielkiej miłości. Nic bardziej mylnego. Małżeństwo to instytucja – podkreśla w rozmowie z „Plusem Minusem” Violetta Rymaszewicz.

Według niej instytucja jest wszystko to, co jest obwarowane prawem, różnego rodzaju stereotypami i procesami społecznymi. W instytucję zamieszane są też państwo oraz religia. – W momencie, kiedy wejdziesz w instytucję małżeńską, przez złe zbudowane prawo wyjście z niej może być koszmarem. Specjalnie skonstruowane mechanizmy ekonomiczne i społeczne mają nam utrudnić wyjście z małżeństwa. Dlatego, zanim zdecydujemy się na nie, powinniśmy mniej się skupiać na emocjach, a mocniej chodzić po ziemi – zaznacza autorka książki „Ile kosztuje żona?”.

Porównując rynki małżeńskie w Polsce i innych krajach, pisarka podkreśla, że Polki zaczęły sobie uświadamiać bolesną i niewygodną prawdę, że małżeństwo nie ma nic wspólnego z disneyowską wizją miłości. To przede wszystkim ciężka praca i kompromisy. Kiedyś

Polki w Europie i Stanach Zjednoczonych uchodziły za żony idealne, które gotowe są poświęcić się dla rodziny. Dzisiaj to Polki są świadome swojej wartości i nie boją się inicjować rozwodów. Dlatego zostały zdyskwalifikowane w kategorii „najlepszych” żon w Europie, a coraz częściej mówi się o żonach idealnych z Ukrainy czy innych krajów byłego ZSRR.

Uczucie z siłowni

Pokolenie młodych ludzi, w tym szczególnie kobiety, zostało wychowane w duchu sprawczości, poczucia, że ma moc kształtowania swoich ścieżek. „Jesteś kowalem własnego losu, wybierz studia, które cię interesują, próbuj różnych prac, zmieniaj ścieżki kariery” – to często słyszały i słyszą od rodziców dzisiejsze nastolatki, 20-latki i 30-latki, bo to ich rodzice doświadczyli transformacji społecznej i mogą mieć ambiwalentny stosunek do stabilizacji jako życiowej aspiracji.

Młodzi ludzie posłuchali tych komunikatów i eksperymentują na różnych polach. Choć być może rodzicom chodziło głównie o to, by młodzi pozostali elastyczni na rynku pracy, to nie ma co się dziwić, że podobne podejście mają do życia romantycznego. – Młodzi są przyzwyczajeni do częstego zmieniania prac i takie zachowanie powielają w życiu uczuciowym. Związki krótsze, testujące, charakteryzują pokolenie 18–30 lat. Po trzydziestu

ce, która jest pewnego rodzaju punktem zwrotnym, związki stają się dużo poważniejsze. Jest takie przekonanie, że do trzeciej dekady życia można bumelować i rumakować, a potem przychodzi jednak czas na jakąś stabilizację, jeśli nie we wszystkich obszarach życia, to przynajmniej w wybranych, zwłaszcza jeśli młode osoby decydują się na posiadanie potomstwa. Jednak często efektem wieloletniego eksperymentowania są małżeństwa rozedrgane i podatne na szybkie rozwiązanie – opisuje prof. Paula Pustulka. Socjolożka tłumaczy, że dla osób po trzydziestce owo eksperymentowanie może trwać nawet 20 lat, jeśli weźmiemy pod uwagę pierwsze randki w wieku nastoletnim.

Przed pandemią w 2019 r. ponad 3,5 mln Polaków za pośrednictwem serwisów i aplikacji randkowych szukało miłości w internecie. Ale niekoniecznie tam ją znajdują. – Nie powtarzałabym stereotypu, że młodzi ludzie funkcjonują tylko w swoich komórkach i w internecie. Nasze badania pokazują, że bardzo dużo osób poznaje się na imprezach, w barach czy klubach. Wiele historii związków zaczęło się od wspólnej pasji, np. sportowej. Okazuje się, że siłownia, która zupełnie nie kojarzy się z miejscem romantycznym, jest dla wielu młodych osób doskonałym miejscem do poznania przyszłych partnerów. Pojawiły się też nowe pasje, np. związane z gram komputerowymi, społecznościami internetowymi czy z innymi ważnymi dla młodych sprawami, jak aktywizm klimatyczny, prawa mniejszości, zapobieganie dyskryminacji. W pewnym sensie jest to wzór zachowania poprzednich pokoleń w pewnego rodzaju nowym wydaniu – zaznacza badaczka.

Przemiany społeczne i pokoleniowe stawiają nas przed zupełnie nowymi pytaniami. Czy dzisiaj bardziej boimy się samotności, czy relacji? Czy jesteśmy gotowi zaryzykować i wziąć odpowiedzialność za drugiego człowieka kosztem wygody własnej? Rodzaj i forma związku wydają się mieć mniejsze znaczenie i schodzą dzisiaj na dalszy plan. Liczy się: bliskość, zaufanie, wspólne zainteresowania, przyjemność ze spędzania razem czasu, a czasami po prostu bilans zysków i strat.

/©©

Natalia Miller jest lingwistką, specjalistką ds. komunikacji oraz ekspertem ochrony zdrowia

TOMASZ KRZYŻAK, PIOTR LITKA

Za sprawą kard. Stefana Wyszyńskiego ksiądz skazany za seksualne wykorzystanie siedmioletniej dziewczynki wrócił do pracy kapłańskiej. Czy ryzyko, jakie podjął prymas, się opłaciło?

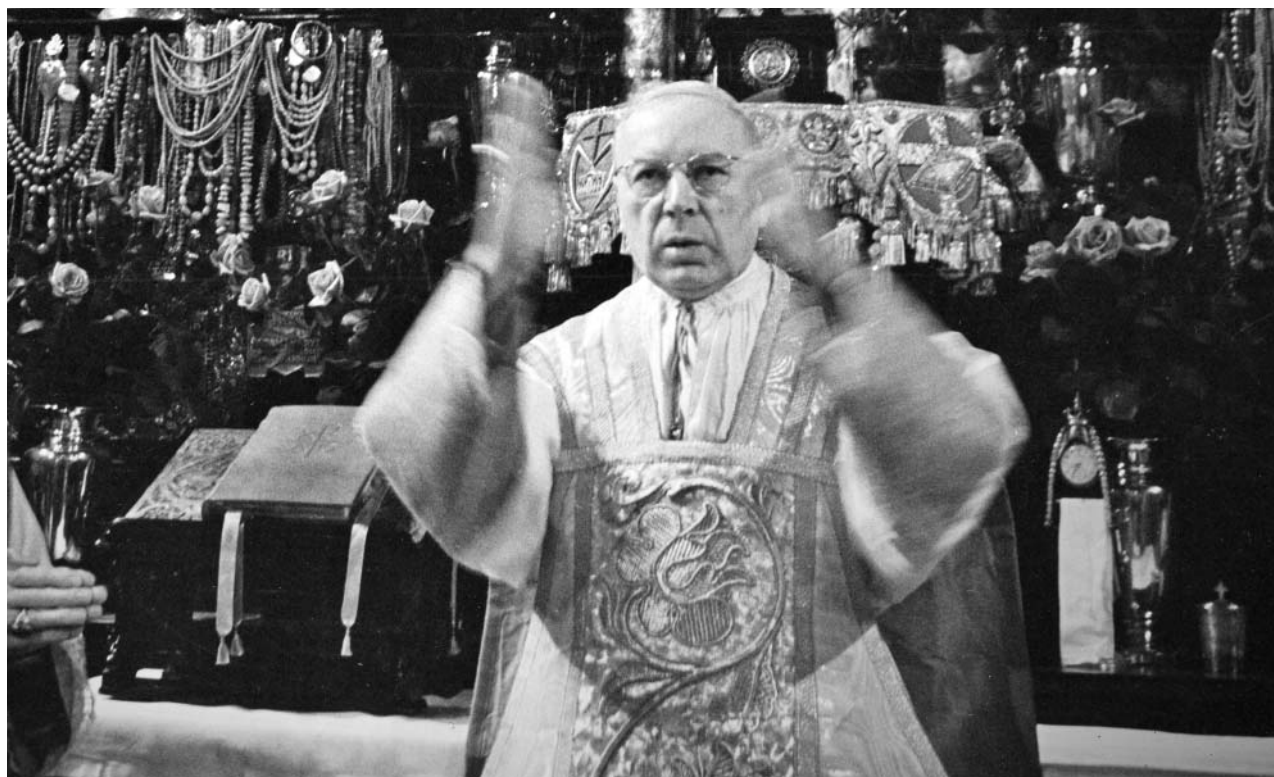
PRYMASOWSKIE MIŁOSIERDZIE

Nie da się zaprzeczyć, że w przeszłości niektórzy odpowiedzialni, z powodu beztrojski, niedowierzania, braku przygotowania, braku doświadczenia (...) lub lekko-myślności ludzkiej i duchowej, traktowali wiele przypadków bez należytej powagi i gotowości reagowania. To nie może się powtórzyć. Taka jest decyzja i postanowienie Kościoła – mówił w grudniu 2018 r. w przemówieniu do Kurii Rzymskiej papież Franciszek.

W dwóch artykułach, które opublikowaliśmy na łamach „Plusa Minusa” (26–27 listopada) oraz „Rzeczpospolitej” (2 grudnia), opowiedzieliśmy historię ks. Eugeniusza Surgenta (skrzywdził co najmniej 20 chłopców, choć skazano go za seksualne wykorzystanie sześciu), którego mimo wyroku i pobytu w więzieniu przenoszono z diecezji do diecezji, oraz ks. Józefa Loranca, który wykorzystał seksualnie kilkoro dzieci i po wyjściu z więzienia dalej pracował w archidiecezji krakowskiej. Oba przypadki miały miejsce w latach 70. XX w., w czasie gdy archidiecezją zarządzał kard. Karol Wojtyła. Pokazaliśmy sposób jego postępowania w odniesieniu do tych dwóch księży.

Do obu przypadków staraliśmy się podejść w sposób, o którym mówił Franciszek. Braliśmy zatem pod uwagę ówczesny stan wiedzy na temat wykorzystywania seksualnego, obowiązujące wtedy prawo – zarówno kanoniczne, jak i państwowe. Uwzględniliśmy sytuację społeczno-polityczną w PRL, która również miała wpływ na decyzje hierarchów. Z takim samym założeniem przystępujemy do opisanie kolejnej trudnej dla Kościoła w Polsce historii. Dotyka ona archidiecezji gnieźnieńskiej – najstarszej jednostki administracyjnej Kościoła w Polsce, której metropolici noszą tytuł prymasa.

Od kilku lat Konferencja Episkopatu Polski zbiera i publikuje w specjalnych raportach dane o zgłoszonych do instytucji kościelnych przypadkach wykorzystania seksualnego. Dotąd opublikowano trzy takie raporty. Wynika z nich, że najdawniejsza zgłoszona krzywda miała miejsce w roku 1950. Ta, o której opowiadamy – w roku 1958. Prymasem Polski, metropolitą gnieźnieńskim i warszawskim (obie archidiecezje do 1992 r. łączyła unia personalna – aut.) był wtedy kard. Stefan Wyszyński, którego w 2021 r. Kościół włączył do grona błogosławionych. Lata 50. to czas zaciętej walki komunistów z



PRYMAS WYSZYŃSKI W 1960 R. ZANOTOWAŁ:

„KSIĄDZ RYSZKA EUGENIUSZ – PO WYJŚCIU Z WIĘZIENIA, SKRUSZONY, POCZUWAJĄCY SIĘ DO WINY, PROSI O PRZEBACZENIE. WYSYŁAM GO NA JASNĄ GÓRĘ”

Kościółem. Pokazowe procesy duchownych były wówczas niemal na porządku dziennym. Po słynnym liście polskich biskupów do władz „Non possumus”, w którym wyrazili zdecydowany sprzeciw wobec działań rządu, prymasa Wyszyńskiego zatrzymano. Trzy lata spędził w internowaniu. I choć po uwolnieniu – w październiku 1956 r. – udało mu się w dość krótkim czasie zawrzeć z władzami PRL korzystne dla Kościoła porozumienie, które przywracało naukę religii w szkołach oraz uchylało dekret o obsadzaniu stanowisk kościelnych, a sami komuniści potrzebowali Kościoła do uspokojenia nastrojów społecznych, to prześladowania nie ustawały.

Stąd też z rezerwą podchodzono w Kościele do wszelkich oskarżeń pod adresem duchownych – także tych dotyczących sfery obyczajowej. Nie bez znaczenia było także to, że księdza uważano w tamtych czasach za człowieka należą-

cego do innego – sakralnego – świata. Owa nadprzyrodzoność sprawiała, że społeczeństwo wiele księżom wybaczało.

O prawach dzieci w tamtych czasach nikt nic nie mówił. Dziecko właściwie nie miało podmiotowości, prawa do własnego zdania, akceptowano kary cielesne – stosowane nie tylko przez rodziców czy opiekunów, ale także na masową skalę w szkołach. Z uczuciami najmłodszych w zasadzie się nie liczone. Te postawy widać także w opowiadanej tu historii.

Urodzony w 1926 r. Eugeniusz Ryszka do seminarium duchownego archidiecezji gnieźnieńskiej wstąpił w roku 1949. Sześć lat później w tamtejszej katedrze przyjął święcenia

kapłańskie. Udzielał ich – w zastępstwie więzionego wówczas kard. Wyszyńskiego – biskup chełmiński Kazimierz Kowalski.

Po pracy w kilku placówkach, od 1 lipca 1958 r. ksiądz służył w parafii Najświętszego Serca Pana Jezusa w Bydgoszczy i mieszkał na plebanii przy placu Piastowskim. Pod koniec miesiąca – 31 lipca – na plebanię przyszły dwie siedmioletki Ewa i Ela. Chciały pożyczyć książkę. Trafiły na ks. Ryszkę, który, obiecując opowiedzenie im bajek, zabrał je do swojego mieszkania. Ela usiadła na kanapie. Ewę duchowny wziął na kolana.

Z meldunku o rozpoczęciu śledztwa: „W czasie opowiadania bajki ks. Ryszko wyjął członek i posadził na nim Ewę. Dziewczynka to zauważyła i usiłowała zejść z kolan księdza, lecz ten jej nie puszczając aż do czasu gdy nastąpił u niego wytrysk. Z poplamioną sukienką i majtkami Ewa poszła do domu. Następnego dnia dziewczynki odniosły ks. Ryszkę pożyczoną książkę. W dniu tym ks. Ryszko prawie w podobny sposób postąpił z Ewą B.”. Z aktu oskarżenia: „Po przyjęciu do domu Ewa B. rozgłosiła wśród dzieci, że była u ks. Ryszki, który ją »osmarkał«”.

Wieczorem – 1 sierpnia – opiekunka Ewy (matka wychowywała ją samotnie i całe dnie spędzała w pracy, za opiekę płać 600 zł miesięcznie) dowiedziała się od swojego wnuczka o tym, co się stało. Obejrzała bieliznę oraz sukienkę dziewczynki i odkryła na nich „sztywne plamy”. Dziecko opowiedziało o wydarzeniach z mieszkania duchownego. Matkę dziecka – Dorotę B. – kobieta poinformowała o zajściu dopiero 3 sierpnia. Świadcami ich rozmowy były Urszula Sz. (jedna z córek opiekunki) oraz jej koleżanka Helena T. Namawiała B., by „poszła z nimi do księdza w celu jego nastraszenia i pobrania odszkodowania za wspomniany wyczyn”. Wspomniały też, że poprzedniego dnia były już u księdza, a Sz., „podając się za matkę strasznie go wyzwała”.

„Ja wtedy oświadczyłam, że z powodu zdenerwowania nie mogę pójść. Na to wymienione obie oświadczyły, że pójdą same, gdyż tą sprawę trzeba robić na gorąco” – opowiadała później śledczym matka dziewczynki.

Kobiety wyszły, a gdy po pewnym czasie wróciły, oświadczyły, że spotkały się z księdzem, który przyznał się do wykorzystania Ewy, przeproszał i wręczył kobietom pieniądze. „Po tej rozmowie wymijającej pokazały kopertę to znaczy pokazała [ją] Urszula Sz. z której wyjęła 100 złotych w banknotach 2x50 zł i oznajmiła, że ksiądz dał te pieniądze na cukierki dla dziecka” – zeznawała Dorota B. Tłumaczyła śledczym, że opiekunka jej córki jeden banknot 50 zł rzeczywiście dała dzieciom, by kupiły cukierki, drugi zaś wręczyła kobietom, które były u księdza.

Ale wtedy – po rozmowie z opiekunką – Dorota B. nie poinformowała milicji. Dopiero po kilku dniach uświadomiła sobie, że Sz. oraz T. mogły ją oszukać i wzięły od księdza większą sumę. I tak faktycznie było. Kobiety nie powiedziały Dorocie B., że dzień po tym, gdy dowiedziały się o skrzywdzeniu Ewy (2 sierpnia), były u duchownego. Za matkę Ewy podała się zaś nie Urszula Sz., lecz Helena T. W akcie oskarżenia prokurator zapisał potem, że duchowny „przyznał się im, że z Ewą B. dopuścił się czynu nierządowego, przeprosił je za to co zrobił, a szczególnie T., która przedstawiła się, że jest matką dziewczynki i zobowiązał się, jako zaślubin krzywdy moralnej wyrażonej Ewie płać po 300 zł miesięcznie przez okres 1 roku”. Dał im wtedy od razu 400 zł, 100 zł kobiety oddały opiekunce dziecka, a pozostałą kwotą się podzieliły.

O sprawie dowiedział się jednak mąż Urszuli Sz. – Mieczysław. Stwierdził, że od księdza można wyciągnąć więcej pieniędzy. Helena T. – znów podając się za matkę dziecka – napisała do duchownego list, w którym zagroziła, że jeśli nie wypłaci natychmiast 2 tys. zł, to powiadomi o wszystkim „proboszcza, kardynała Wyszyńskiego i sprawę odda do Sądu”.

List ten rano 4 sierpnia posłała poprzez znajomego 17-latkę. Po przeczytaniu listu duchowny wręczył chłopakowi kopertę dla szantażystki – w środku było 2 tys. zł. Kobieta natychmiast ruszyła do sklepów. Kupiła dla siebie i posłańca ubrania, a pozostałe 300 zł oddała Mieczysławowi Sz. Mężczyzna uznał jednak, że to za mało, i jeszcze tego samego dnia wraz z T. udali się do księdza po raz kolejny. Tym razem za milczenie zażądali 8 tys. zł. Duchowny wręczył im 800 zł i „został zmuszony do wystawienia zobowiązania na piśmie o treści, że kwotę pozostałą /t.j. 7.000 zł dostarczy do dnia 15 sierpnia 1958 r.”.

O tym wszystkim Dorota B. jeszcze wtedy nie wiedziała. Miała – o czym wspomnieliśmy – przecucie, że Urszula

Sz. i Helena T. wyciągnęły od księdza więcej pieniędzy. Poszła zatem do opiekunki dziecka raz jeszcze, a ta potwierdziła jej podejrzenia. „Na powyższe ja zdecydowałam się pójść jako matka dziecka do księdza Ryszka w celu zapobiegnięcia pobierania w moim imieniu dalszego okupu i stwierdzenia ile do tego czasu ksiądz dał pieniędzy wymienionym kobietom i na jakiej podstawie je dał oraz jak właściwie wyglądała sprawa z moją córką Ewą” – wyjaśniała kilka dni później milicji.

„Po przedstawieniu się jako matka Ewy, wymieniony oznajmił, że jestem już z kolei trzecią matką Ewy. Po przedstawieniu mu dokumentu ks. Ryszka sam przystąpił do opowiadania mi tego wypadku z Ewą, ale ja poprosiłam by nie powtarzał, gdyż dobrze znam tą sprawę. Ksiądz Ryszka przyznał się do czynu z moją córką i prosił mnie o przebaczenie” – zeznawała. Dowiedziała się od duchownego, że dotychczas zapłacił rzekomej matce Ewy 3,1 tys. zł. Powiedział też, że ma jeszcze dopłacić 7 tys. zł.

Kilka dni później (7 sierpnia) rozmawiała z księdzem raz jeszcze. Był przestraszony, bał się szantażystów. Wyrzucił zadowolenie, „kiedy powiedziałam, że będę z milicją czekała na tych którzy



Ks. Eugeniusz Ryszka (1926–2015) za swój czyn został skazany na trzy lata więzienia

przyjdą po okup, ale nie powiem milicji za jaką to sprawę ten okup”.

Dorota B. na milicję i tym razem nie poszła. Ale milicja już wiedziała zarówno o wykorzystaniu dziecka, jak i o szantażowaniu duchownego. Skąd? Posłaniec T. do ks. Ryszki, któremu w zamian za przysługę kupiła ubrania, tego samego dnia spotkał wieczorem znajomego milicjanta. Zapytany o to, skąd ma nowe ubrania, wszystko wyjawiał. Funkcjonariusz nazajutrz sporządził z rozmowy notatkę, a że trudniła się nierządem Helena T., pseudonim Kicia, była już wcześniej notowana, sprawie nadano bieg.

Przesłuchano chłopaka, dotarto też do matki dziecka, która opowiedziała m.in. o swoich spotkaniach z księdzem. Podała też datę, czas i miejsce przekazania okupu.

Śledczy zorganizowali obserwację miejsca zamieszkania duchownego, by szantażystów złapać na gorącym uczyn-

ku. Ale ani 14, ani 15 sierpnia do duchownego nikt się nie zgłosił.

Prawdopodobnie szantażyści nie przyszli po pieniądze, bo mieli przecucie, że będzie na nich czekała milicja. Rozzuchwalona łatwością zdobycia pieniędzy „Kicia” 11 sierpnia podjęła bowiem próbę wyłudzenia pieniędzy od innego duchownego. Poszła do proboszcza parafii św. Trójcy w Bydgoszczy ks. Mieczysława Skoniecznego i „oświadczyła, że podległy mu wikariusz (...) dopuścił się czynu nierządowego na jej siedmioletniej córce Ewie i groząc rozgłoszeniem tego zażądała wypłacenia jej większej sumy pieniędzy”. Proboszcz nie uwierzył, kobieta straszyla go milicją, ale gdy i to nie pomogło, wyszła z plebanii i „więcej nie przyszła”. Nie można wykluczyć, że w obawie przed tym, że ksiądz doniesie milicji, postanowiła się ukryć.

Ks. Ryszka oraz Mieczysław Sz. zostali aresztowani 16 sierpnia, tego samego dnia postawiono im zarzuty. Duchownemu czynu nierządowego na siedmioletce, Sz. szantażu. „Kicię” złapano dwa tygodnie później. Sprawa stała się głośna w Bydgoszczy, gdy napisała o niej „Gazeta Pomorska”.

Akt oskarżenia przeciwko całej trójce poszedł do sądu 30 września 1958 r. Rozprawy odbywały się przy drzwiach zamkniętych. 18 października zapadł wyrok. Za szantaż i wyłudzenie pieniędzy Helenę T. skazano na trzy lata więzienia, Mieczysław Sz. dostał rok. Ryszkę skazano na trzy lata więzienia oraz pozbawienie praw obywatelskich i honorowych na lat pięć. „Przyznanie się ks. Ryszki do przestępstwa i szczegółowe wyjaśnienie popełnionego czynu uniemożliwiło jakąkolwiek skuteczną obronę ze strony kleru i inspirowanych przez nich obrońców” – pisała z satysfakcją w meldunku do Warszawy bydgoska SB.

Sprawa rozgrywała się niespełna półtora roku po tym, gdy prymas Wyszyńskiego zwolniono z internowania. Z jego notatek wynika, że miał w tym czasie sporo kłopotów z dyscypliną wśród księży – jednych karał i upominał, a w odniesieniu do innych jego sposób postępowania może dziś budzić zdumienie. Oto notka, którą umieścił w swoim dzienniku podczas pobytu w Gnieźnie pod datą 20 marca 1958 r.: „8.30. Ks[ia]dz bp Bernacki – prośbę, by zajął się sprawą Szwenderowa (B[y]dg[oszcz]. Ks[ia]dz proboszcz miał moje polecenie, by usunął osobę z plebanii. Uczynił to, ale po moim aresztowaniu zaraz ją sprowadził. Takie postępowanie dyskwalifikuje duszpasterza. Należy go przenieść na wieś”. O jaką osobę chodziło? Nie wiadomo. Można się jedynie domyślać, że sprawa miała podtekst obyczajowy. Formą kary miało być przeniesienie księdza na wieś. Zapewne po to, by uniknąć zgorzelenia, ale także, by SB nie wykorzystwała tego faktu przeciwko Kościołowi.

W czasie, gdy rozgrywała się sprawa ks. Ryszki, przed sądem w Bydgoszczy toczył się – także przy drzwiach zamkniętych – proces przeciwko innemu kapłanowi. Wiadomo o nim z podsłuchiowanych rozmów duchownych, o których opowiemy za moment. Czego dotyczył? Nie ustaliliśmy, ale nie można wykluczyć, że także sprawy wykorzystania osoby małoletniej.

Prymas był zatem ostrożny. Zdawał sobie sprawę z tego, że każdy jego ruch jest uważnie obserwowany przez komunistów. Prawdopodobnie domyślał się, że

artykuły w „Gazecie Pomorskiej”, jak i informacje na temat zatrzymania i procesu ks. Ryszki, które pojawiły się wtedy na falach Polskiego Radia, były inspirowane przez SB (o tym, że tak było, wiemy dziś z zachowanych w IPN materiałów).

W materiałach ze śledztwa w sprawie ks. Ryszki nie ma jednak żadnych informacji o reakcji kard. Wyszyńskiego, choć SB robiła, co mogła, by je pozyskać. Na plebanii parafii, w której pracował duchowny, tuż po jego aresztowaniu założono podsłuch. W zachowanych stenogramach są ślady najpierw poszukiwania przez proboszcza obrońcy dla Ryszki, potem rozmowy z mecenasem na temat terminu zakończenia śledztwa czy też przebiegu rozprawy. Na przykład 16 października proboszcz w rozmowie z innym duchownym stwierdza, że „jest to bardzo przykra sprawa”, a rozmówca opowiada, że został przesłuchany w sądzie jako pierwszy, a „prokurator i sędzia byli bardzo mili i wględni”.

SB odnotowała też inną rozmowę, która pokazuje, jakie było podejście do czynu ks. Ryszki u części duchownych. Fragment rozmowy dwóch księży, których dziwiło to, że Ryszka się przyznał:

„J. (ksiądz z parafii farnej – aut.) Mógł być załamany, psychicznie do tego zmuszony, przecież to można wszystko odwołać na rozprawie nie.

K. (wikariusz z parafii Ryszki – aut.): – No ja nie wiem, jednak coś, że bez sprzeciwu, bez niczego.

J. Ach, jej co za dziwny chłop, nie.

K. Tak, że tam cało nie wyjdzie.

J. Ajejeje.

K. Najmniej przypuszczają jeden rok.

J. Acha.

K. No więcej nie.

J. No bo tam nic takiego zdrożnego nie było”.

W czasie, gdy trwał proces, kard. Wyszyński był na terenie archidiecezji gnieźnieńskiej. W pierwszych dniach października wizytował jedną z bydgoskich parafii i wiedział od księży, jak on przebiega. Raz, że obserwowali go przedstawiciele kurii. Dwa, że w stenogramach podsłuchanych rozmów telefonicznych 4 października odnotowano rozmowę proboszcza z parafii ks. Ryszki z innym proboszczem o artykułach w „Gazecie Pomorskiej”. Pierwszy z duchownych mówi, że „już opowiadał o tym prymasowi”.

W przeddzień ogłoszenia wyroku w sprawie Ryszki – 17 października – kard. Wyszyński wyjechał jednak do Rzymu na pogrzeb papieża Piusa XII. Do Polski – do Warszawy – wrócił po konklawe, które wybrało Jana XXIII, tuż przed Bożym Narodzeniem, ale już na początku stycznia 1959 r. był w Gnieźnie. Nadrobił w kurii zaległości, spotykał się z duchownymi. Właśnie wtedy w sporządzonych na bieżąco notatkach zapisał: „Ksiądz Szymański Stanisław, ojciec duchowny seminarium metropolitalnego informuje o sprawie ks. Ryszki, którego odwieźdzał w więzieniu”. Fakt odwieździn odnotowują materiały ze śledztwa, z którymi się zapoznaliśmy.

A zatem prymas od momentu aresztowania duchownego miał wiedzę o sprawie i był o niej na bieżąco informowany. Nie nałożył wówczas na księdza żadnych kar i ograniczeń. Było to zwyczajnie niemożliwe, bo duchowny i tak był uwięzio-



ny, a w związku z tym nie mógł podejmować żadnej posługi duszpasterskiej. Poza tym prawo kanoniczne wymagało osobistego poinformowania duchownego o nałożonych ograniczeniach czy karach – tego wymogu nie można było spełnić.

Ks. Ryszka wyszedł na wolność jesienią 1960 r. Wcześniej – jak wynika z przechwyconego przez bezpiekę listu, który pisał do swojego obrońcy – jego wnioski o warunkowe zwolnienie odrzucano. 25 października 1960 r. przyjął go kard. Wyszyński. Prymas notował: „Ksiądz Ryszka Eugeniusz – po wyjściu z więzienia, skruszony, poczuwający się do winy, prosi o przebaczenie. Wysłałem go na Jasną Górę”.

Można tę lakoniczną notatkę zrozumieć jako odesłanie do miejsca odosobnienia w celu odbycia pokuty. Obowiązujący wówczas kodeks prawa kanonicznego (KPK) z 1917 r. na czele listy przestępstw przeciw szóstemu przykazaniu Dekalogu wymieniał czyn popełniony z małoletnim poniżej 16. roku życia, a duchowny, który dopuścił się takiego występku, miał zostać karnie zawieszony w obowiązkach, należało wobec niego zadeklarować infamię, pozbawić wszelkich urzędów, beneficjów, godności i zadań, a w cięższych przypadkach także usunąć ze stanu duchownego (kan. 2359 § 2 KPK, 1917). Ale kodeks dopuszczał także wstrzymanie się od nałożenia kary kościelnej w sytuacji, gdy winnego dostatecznie ukarała już władza świecka lub prawdopodobne było, że to uczyni (kan. 2223 § 3 pkt. 2). Wydaje się zatem, że kard. Wyszyński

skorzystał z prawa łaski i uznał, że dwa lata, które ksiądz spędził w więzieniu, to kara wystarczająca – zwłaszcza że Ryszka wciąż był pozbawiony praw obywatelskich. Prymas nie zdecydował się (prawdopodobnie biorąc także pod uwagę ciężar przestępstwa) na uruchomienie procesu zmierzającego do usunięcia księdza ze stanu duchownego, ale sięgnął po łagodniejszy środek karny: nakaz przebywania w określonym miejscu.

KPK przewidywał takie rozwiązanie. Kanon 2298 wprost stanowił, że dla poprawy duchownego lub w celu naprawy zgorzenia ordynariusz mógł umieścić go na pewien czas właśnie w „domu zakonnym lub poprawczym” (szczegółowe uregulowania znalazły się w kan. 2301 i 2302) za zgodą przełożonego tegoż domu.

Nasze domysły potwierdza informacja, jaką otrzymaliśmy od abp. Wojciecha Polaka, obecnego metropolity gnieźnieńskiego i prymasa Polski. Na naszą prośbę w Gnieźnie sprawdzono bowiem teczkę personalną ks. Ryszki i przygotowano dla nas obszerną notę. Wynika z niej, że w teście księdza są m.in. „notatki księży opiekujących się kapłanem i będących na rozprawie końcowej”. Nie ma w niej akt procesowych, ale wiadomo, że ksiądz „przyznał się do winy – dwukrotnych czynów lubieżnych z dziewczynką w wieku 7 lat (brak dokładnych opisów sprawy i popełnionych czynów, z kontekstu może wynikać, że prawdopodobnie dotyczącej ciała się masturbował)”.

Są też w teście wiadomości dotyczące dalszych losów duchownego. Faktycznie został przez prymasa wysłany na Jasną Górę na trzy miesiące. Był to „czas na rekolekcje zamknięte, pokutę i modlitwę oraz studium teologii, zwłaszcza dotyczącej Kościoła i kapłaństwa”. Pokutę odbył, bo zachowała się opinia – pozytywna – ówczesnego przeora Jasnej Góry dotycząca ks. Ryszki. Po powrocie do archidiecezji gnieźnieńskiej ksiądz od 1 lutego 1961 r. pracował w pięciu parafiach, a w lipcu 1968 r. został rektorem kościoła w Lubini Małej. Potem – od lipca 1972 r. – był administratorem, a następnie proboszczem kolejnej parafii i wreszcie w październiku 1980 r. został proboszczem w parafii Wójcin, w której pracował aż do emerytury, na którą przeszedł w roku 2002.

Wiadomo, że SB interesowała się księdzem w kolejnych latach. Był inwigilowany, ale materiały w IPN na ten temat się nie zachowały. Nie ma zatem żadnych informacji o tym, by w innych parafiach wykorzystywał małoletnich. A wątpliwości mogą budzić np. bardzo krótkie pobyty księdza w dwóch parafiach (Gościeszynie i Brzeziu). Kuria gnieźnieńska informuje nas, że były one związane z pomo-

cą w parafiach, „gdzie był chory lub umierający proboszcz”. Na kolejnych placówkach ks. Ryszka uczył religii, ale z żadnej do kurii nie wpłynęły skargi dotyczące jego niestosownych zachowań wobec dzieci. Opinie proboszczów, jak i dziekanów, przesyłane do metropolity gnieźnieńskiego były pozytywne. „Dokumentacja jest »gruba«, ale nie zawiera żadnych istotnych i ważnych dokumentów opisujących ks. E.R. Większość akt to zwyczajne pisma administracyjne. (...) Znajdujemy dwie skargi dotyczące pogrzebu i pracy z chorymi, ale nie wydają się zbyt poważne. Nie ma żadnych innych uwag dotyczących jego moralności czy problemów natury seksualnej” – napisano w nocie, którą w odpowiedzi na nasze pytania nadesłał nam abp Polak.

Można zatem postawić tezę, że ks. Ryszka zresocjalizował się i wykorzystał szansę daną mu przez kard. Wyszyńskiego. Zmarł 15 kwietnia 2015 r., kilka dni po 60. rocznicy święcenia kapłańskiego. /©©

Tomasz Krzyżak, Piotr Litka

Korzystaliśmy z: IPN By 070/4229 – materiały ze śledztwa w sprawie ks. Ryszki (w cytowanych fragmentach zachowaliśmy pisownię oryginalną); „Wiadomości Archidiecezji Gnieźnieńskiej” – pismo urzędowe kurii z lat 1955–1981; Roczniki archidiecezji gnieźnieńskiej [1958, 1966, 1971, 1974, 1979, 1982, 1985, 1988, 1991]; notatka archidiecezji gnieźnieńskiej po kwerendzie teczki personalnej ks. Ryszki (grudzień 2022); notatki kard. Stefana Wyszyńskiego cytujemy za: „Pro memoria”, t. 5–8 [1958–1961], Warszawa 2018–2019



JAN MACIEJEWSKI

W KONTRAPUNKCIE

BIAŁA MAGIA

Zima zaskakuje nie tylko drogowców, nihilistów również.

Kiedy w niedzielne przedpołudnie wyszliśmy z dziećmi z domu, pod naszymi stopami po raz pierwszy w tym roku zachrząścił śnieg. Moja córka, narzekająca od dobrych kilku tygodni na kurtki, czapki i ciekący bez końca z jej nosa katar, rozejrzała się dookoła i z właściwą sobie emfazą krzyknęła: „Jednak Kocham zimę!”. Zatem natura czasami jeszcze potrafi zlitować się nad naszą wyobraźnią. Rozjaśnić ciemności najdłuższych nocy, szarość najkrótszych dni choćby cienką i ulotną warstwą bieli. Zrewanżować się jakoś zmarzniętym, skrzepowanim kilkoma warstwami ubrań ciałom łaską, jaką wyświadcza naszym oczom. Podróżą, do której nas zaprasza; w którą wyruszamy, przemierzając te same szlaki i trasy każdego dnia. Wystarczy tylko otworzyć drzwi wejściowe, jak Łucji starczyło uchylić drzwi starej szafy, żeby wydostać się z deszczowej Anglii, szarej rzeczywistości naszego świata i ujrzeć zaśnieżone wzgórza Narnii. To nie przypadek, że właśnie śnieg był zwiastunem tamtej przygody.

Ze wszystkich zjawisk atmosferycznych, w ogóle z całego repertuaru zagrań, jakie ma do swojej dyspozycji przyroda, jest on czymś zdecydowanie najbardziej magicznym. W tym dobrym, zdrowym rozumieniu magii – nomen omen – białej. I chrześcijańskiej ortodoksji, zgodnie z którą świat po paruzji, drugim i ostatnim przyjściu Chrystusa,

będzie wciąż tym samym, tylko już nie takim samym światem. Magiczność, cudowność nie jest czymś zarezerwowanym dla znajdujących się za siedmioma górami i tyłuż rzekami krain. Bo jak słusznie zauważył Chesterton, najbardziej prawdopodobne, że wciąż żyjemy w Raju, to tylko nasze oczy się zmieniły. A śnieg jest białym, rozświetlającym wszystko filtrem nałożonym na nasz zepsuty grzechem pierworodnym wzrok. Dzięki niemu choć na kilka dni, zanim stopnieje lub spowszednieje, rzeczywistość wokół nas ze zwykłej i przewidywalnej staje się mityczną. Jest jakąś wszechogarniającą gotowością do rzeczy niezwykłych. Zima zaskakuje nie tylko drogowców, nihilistów również.

Tak byli zakrępli w swoim rozczarowaniu, pewni, że na każdy przeblask nadziei mają już dziesięć gotowych, gaszących ją argumentów. Aż nagle gałęzie drzew rosnących wzdłuż alei, po których snują się czewi, prowadzą swoje ponure rozważania, zaczynają wyglądać jak białe, świetliste sklepienie gotyckiej katedry. Jednostajny rytm ich kroków zostaje zaburzony przez poślizgnięcie na oblodzonym chodniku. I oglądając się za siebie, upewniając, czy nikt znajomy nie dostrzeże podającej w wątpliwość powagę ich przygnębienia chwili słabości, zaczynają się po dziecięcemu ślizgać na całego. Tracą kontrolę, odzyskują radość. Bliżej niesprecyzowaną tęsknotę za jakimś miejscem, w którym wszystko się ze sobą łączy, każda rzecz jest znakiem i czymś znaczącym

jednocześnie. I każda jest święta, uświęcona przenikającym wszystko, nieuchwytnym jak powietrze, konkretnym i niepodważalnym jak kamień, woda i drzewo światłem. Światem skalonym zasadą bezgranicznej jedności.

Dokładnie takim właśnie jakim jest nasz świat, jakim bylibyśmy w stanie go zobaczyć, gdyby nie pewien wynalazek. Ten stworzony przez złośliwego czarodzieja – a w dokładnym tłumaczeniu, samego Diabła – o którym opowiada pierwsza część „Królowej śniegu” Andersena. Zwierciadło, w którym wszystkie piękne i dobre rzeczy wyglądały szkaradnie, a nawet śmiesznie, ponieważ były wykrzywione, zamazane, niewyraźne – za to złe rzeczy widać w nim było doskonale. I Diabeł śmiał się, aż mu brzuch pękał, a jego uczniowie wpadli na pomysł, by polecieć ze zwierciadłem do Nieba. Niech się w nim chociaż raz przejrzą Aniołowie, a może i nawet sam Pan Bóg. Ale zwierciadło okazało się za ciężkie i wypadło im z rąk. Rozprysło się na miliony, miliardy kawałeczków. I od tej pory z większych jego fragmentów robimy szyby okien, z mniejszych – szkła okularów. A od pewnego czasu również ekrany telewizorów i smartfonów. To dlatego temu, co dobre i piękne, tak trudno jest się na nich zmieścić i wszystko jest wykrzywione, zamazane, niewyraźne.

Ale właśnie zimą, w te jej pierwsze kilka śnieżnych dni, można sobie przypomnieć, że świat tak wcale nie wygląda. Że to tylko jakieś parszywe zwierciadło takim go ukazuje. Że to tylko nasze oczy się zmieniły.

/©©

→ w prenumeracie specjalistyczne poradniki i książki

Fachowa wiedza o giełdzie, finansach, inwestowaniu i oszczędzaniu dla inwestorów, emitentów, menedżerów spółek, doradców oraz prawników. → (Zaprenumeruj) i otrzymaj specjalistyczne dodatki, dostępne tylko w prenumeracie.



Pewna inwestycja
prenumerata.parkiet.com

TOMASZ P. TERLIKOWSKI

Areszty domowe dla prorosyjskich duchownych, usunięcia kolejnych metropolitów ze stanowisk czy pogróżki Rosji – wszystko to nie powinno przestaniać nam szerszej perspektywy. Bo niewykluczone, że w Ukrainie właśnie kształtuje się nowy obraz Kościoła. Nie tylko prawosławnego.

Z RYZYMEM ALBO I BEZ RYZYMU

To, co się dzieje obecnie w Ukrainie w kwestii religijnej, w zależności od tego, kto będzie to opisywał, przypomina albo agresywną walkę z zakonspirowaną i przebraną w szaty religijne agenturą, albo prześladowania religijne. O pierwszym oczywiście mówią Ukraińcy. O drugim od samego początku – Moskwa, która do swojej wersji zdołała przekonać choćby syna Donalda Trumpa. Jednak niezależnie od spojrzenia wiele faktów wcześniej nieznanych, a jedynie podejrzewanych, przedostaje się do prasy i pomaga lepiej zrozumieć skomplikowaną sytuację wyznaniową w zaatakowanym kraju.

Przeszukania, paszporty i pikantne zdjęcia

Wszystko zaczęło się w październiku 2022 roku. Wcześniej władze ukraińskie unikały poruszania kwestii religijnych. Mimo że tą kartą – rzekomej obrony praw wiernych patriarchatu moskiewskiego w Ukrainie – grał Władimir Putin. W końcu jednak na jesieni przypuściły atak na Ukraińską Cerkiew Prawosławną (do niedawna patriarchatu moskiewskiego). Służby specjalne wkraczały do siedzib biskupów deklarujących związki z Moskwą lub podejrzewanych o nie. Nie tylko wynoszono z nich dokumenty, które takie działania potwierdzały, ale także pozwalano, by do mediów wyciekały materiały obyczajowe. Tak było ze zdjęciami 17-letniego chłopca i półnagiego archimandryty Nikity wybranego wcześniej na ordynariusza diecezji iwano-frankińskiej, które miano zrobić podczas porannego przeszukania w mieszkaniu duchownego. Media publikujące te zdjęcia przekonywały, że stanowią one dowód, iż w nocy w mieszkaniu mnicha przebywał nagi nastolatek, ale sam Nikita zaprzeczał. A szef wydziału informacyjno-edukacyjnego Ukraińskiej Cerkwi Prawosławnej (UCP) metropolita Klemens przekonywał, że zdjęcia są manipulacją i jeśli ktoś jest winien, to funkcjonariusze służb, którzy kazali się rozebrać przebywającym w mieszkaniu osobom. Przeszukano też rezydencje innych hierarchów, w których znaleź miano rosyjskie paszporty i wiernopoddane listy do Cyryla – tak było u metropolity Melecjusza.

Aktywność służb można powiązać z równoległym zaostreniem retoryki prezydenta Wołodymyra Zełenskiego względem Ukraińskiej Cerkwi Prawosławnej. Bo choć prorosyjskie sympatie kilku metropolitów tej wspólnoty były znane, to od początku wojny unikano bezpośredniego ataku na Cerkiew, kładąc raczej nacisk na jej stopniowe usamodzielnianie od Moskwy. I częściowo się to udało. Święty Synod wspólnoty i jej zwierzchnik metropolita Onufry ogłosili niezależność, choć nie użyto kluczowego słowa „autokefalia”. Podjęli również decyzję o samodzielnym „ważeniu mira”, świętych olejów, co stanowił jeden z symboli pełnej niezależności. Jednak – co przynajmniej sami ukraińscy prawosławni – wciąż istniała w tej wspólnotce silna frakcja proro-

syjska, która nie tylko występowała wprost przeciwko tym decyzjom, ale nawet podważała prawo państwa ukraińskiego do samostanowienia.

Nie udało się także to, co od samego początku było celem ukraińskich władz: zbliżenie Ukraińskiej Cerkwi Prawosławnej, wcześniej Patriarchatu Moskiewskiego, i Prawosławnej Cerkwi Ukrainy, która otrzymała autokefalię od Patriarchatu Konstantynopola. Owszem, wierni zmieniali jurysdykcję, pewna część duchownych także przechodziła do cerkwi niezależnej od Moskwy, a badania społeczne wskazywały, że zaufanie do UCP spada na łeb na szyję, a nawet pojawiły się pierwsze próby porozumienia duchownych obu wspólnot, ale zasadniczo niewiele się zmieniło. Ukraińska Cerkiew Prawosławna nadal uważała Prawosławną Cerkiew Ukrainy nie tylko za niekanoniczną, ale wręcz za grupę przebierańców, którzy z prawosławiem nie mają nic wspólnego. Prawosławną Cerkiew Ukrainy zaś uznawała UCP za moskiewską agenturę i określała ją mianem „Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej na terenie Ukrainy”.

Ukraińscy dziennikarze informowali też, że Moskwa rozpoczęła działania na rzecz odzyskiwania wpływów w UCP i że jej liderzy spotykali się z przedstawicielami Moskwy. Podawano też, że część biskupów (poza tymi, którzy już na stronę Cyryla przeszli) próbowano na różne sposoby przekupić lub przekonać do porzucenia Ukrainy i metropolity Onufrego. Dla ukraińskich władz było to nie do zaakceptowania i mimo że prezydent Zełenski, który inaczej niż jego poprzednik Petr Poroszenko unikał jasnych deklaracji religijnych i nawet po inwazji nie wspierał wprost Prawosławnej Cerkwi Ukrainy i nie atakował Ukraińskiej Cerkwi Prawosławnej, to teraz pod wpływem nowego doradcy ds. religijnych Wiktora Jeleńskiego zmienił strategię i przypuścił zdecydowany atak na „moskiewskie elementy” w UCP. Poskutkowało to sankcjami – w przypadku części duchownych aresztami domowymi oraz zdjęciem z urzędów promoskiewskich hierarchów: metropolity Antoniego, Pawła, Melecjusza, a także kilkunastu innych.

Prezydent Zełenski podpisał także dekret zakazujący prowadzenia działalności organizacjom religijnym powiązanym z Rosją. „Zapewnimy naszemu państwu całkowitą niepodległość. W szczególności niezależność duchową. Nigdy nie pozwolimy nikomu zbudować imperium w ukraińskiej duszy” – napisał we wstępie do tego dokumentu.

Wymuszanie jedności ukraińskiego prawosławia

Jaka będzie odpowiedź Ukraińskiej Cerkwi Prawosławnej na te działania, nie jest jeszcze do końca jasne. Metropolita Onufry zwołał na przyszły tydzień Święty Synod, który może albo przyspieszyć proces uniezależniania się Cerkwi od Moskwy i zacząć oczyszczać ją z elementów prorosyjskich, albo wezwać do obrony wolności sumienia, co

Służba Bezpieczeństwa Ukrainy legitymuje wiernych w ławie Peczerskiej w Kijowie, prawosławnym klasztorze, siedzibie Ukraińskiego Kościoła Prawosławnego. 22 listopada 2022 r. Swe działania służby specjalne tłumaczyły aktywnością rosyjskiej agentury

będzie oznaczało otwartą wojnę z państwem. Nie może się ona skończyć dobrze dla UCP, ale też poważnie zaszkodzi Ukrainie, również w wymiarze międzynarodowym. W obu przypadkach zostanie osiągnięty cel Ukraińców – derusyfikacja ukraińskiego prawosławia nabierze tempa. Nawet bowiem gdyby metropolita Onufry zdecydował się na otwarty konflikt z władzami ukraińskimi, oznaczałoby to dalszy spadek zaufania do jego wspólnoty. A już teraz jest ono według badań ledwie kilkuprocentowe.

Długofalowo więc, można powiedzieć, Ukraina osiągnie stawiane sobie zadanie. Przedstawiał je wprost Poroszenko, a choć sam Zełenski ze względu na swoje żydowskie pochodzenie długo tego unikał, to obecnie także on o tym mówi. Mówiąc wprost, chodzi o zbudowanie niezależnej, ukraińskiej Cerkwi prawosławnej, która stałaby się fundamentem tożsamości narodowej. Osiągnięcie tego celu wymaga jednak – poza uzyskaniem autokefalii od Konstantynopola, co zapewnił już Poroszenko – także zjednoczenia obu skonfliktowanych Cerkwi na terenie kraju i całkowite wyciągnięcie części duchownych spod wpływów moskiewskich lub co bardziej prawdopodobne – ostateczne ich skompromitowanie, czemu właśnie służą ujawniane dokumenty i kompromitujące zdjęcia.

Czy ten plan jest możliwy do zrealizowania? Tak. Ukraińska Cerkiew Prawosławna systematycznie traci wpływ w społeczeństwie, a jej hierarchowie mają tego świadomość. Z kolei Prawosławna Cerkiew Ukrainy błyskawicznie w dobie wojny je buduje, i część duchownych UCP już teraz do niej przechodzi. Nawet jeśli różnice w rozumieniu ważności kanonicznej PCU są nadal głębokie, a zarzuty nieważności święceń biskupich i kapłańskich u ukraińskich prawosławnych zależnych od Konstantynopola kładą się cieniem na możliwości łatwego pojednania, to wiele wskazuje na to, że proces marginalizacji zależnej od patriarchatu moskiewskiego Cerkwi będzie się pogłębiał. A jej hierarchowie prędzej czy później będą zmuszeni szukać pojednania z Prawosławną Cerkwią Ukrainy. I tylko od



tego, na ile zachowują jeszcze autorytet i wpływ, zależeć będzie to, na jakich warunkach do owego zjednoczenia dojdzie. W tej sprawie widać, że władze Ukrainy nie odpuszczają.

Zarzuty, iż tego typu działania są niegodne – biorąc pod uwagę historię, a także specyfikę prawosławia – nie są na miejscu. Tak się bowiem składa, że obecnie nie istnieją precyzyjnie określone zasady przyznawania autokefalii w prawosławiu. Moskwa jest rzecz jasna przeciwna jakimkolwiek procesowi uniezależniania się od siebie wspólnot prawosławnych, dlatego jedynym sposobem uzyskiwania takiej niezależności w ostatnim wieku było po prostu jej wymuszanie przez państwa. Tak było w Polsce w latach 20. XX wieku i niemal identycznie przebiegał proces uzyskiwania niezależności w Estonii – najpierw w latach 20. XX wieku i później po odzyskaniu niepodległości w latach 90. Moskwa za każdym razem protestowała, a w przypadku Estonii nawet zachowywała własne struktury, co uświadamia, że, niestety, nie ma wielkiego wyboru i trzeba pewne działania przyspieszać prawnie. Rosja jest bowiem państwem-agresorem, a Rosyjska Cerkiew Prawosławna czy szerzej – patriarchat moskiewski – jest do pewnego stopnia urzędem ds. propagandy Federacji Rosyjskiej. Sytuacja jest analogiczna do tej, gdy ograniczano lub kontrolowano działalność partii komunistycznych na świecie, które nie były autonomicznymi instytucjami, tylko ekspozyturami Moskwy.

Jeden naród, jedna Cerkiew

Z perspektywy kształtującej się w ogniu wojny tożsamości narodu ukraińskiego zjednoczenie prawosławia może nie być ostatnim krokiem. Władze mają świadomość, że u podstaw tożsamości Ukraińców leży chrześcijaństwo wschodnie, które z jednej strony odróżnia ich od łacinników,

a z drugiej strony kijowskie jego przeżywanie, które odróżnia ich od Moskwy. Chrześcijaństwo kijowskie zaś, systematycznie niszczone, pozbawiane własnej specyfiki, pacyfikowane przez carów i Święte Synody Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej, w najpełniejszej formie przetrwało za sprawą metropolity Andrzeja Szeptyckiego i jego następców w Ukraińskiej Cerkwi Grekokatolickiej. To właśnie ta wspólnota na zachodniej Ukrainie była nośnikiem narodowej tożsamości. To ona uważa się za najlepszy wyraz niemoskiewskiego wschodniego chrześcijaństwa. I to ona uznaje się wreszcie za swoisty most między Wschodem a Zachodem, bo z jednej strony praktykuje obrządek wschodni, a z drugiej złożyła ogromną daninę krwi za wierność Rzymowi. I nawet jeśli na wschodzie Ukrainy jej wpływy są słabsze, a grekokatolicy stanowią jedynie 8 proc. wszystkich Ukraińców i przy tym prawosławni z Moskwy spoglądają na nich z wrogością, to i tak włączenie ich w projekt budowania jednej ukraińskiej Cerkwi miałoby ogromne znaczenie.


Zresztą ukraińscy grekokatolicy dyskutują o tym od dziesięcioleci. Kardynał Lubomir Huzar wprost wypowiadał swoje marzenie, by powstała jedna Ukraińska Cerkiew, łącząca prawosławnych i katolików obrządku wschodniego w jedną wspólnotę. Miałaby ona podwójną jurysdykcję, podlegając Rzymowi i Konstantynopolowi. Metropolita Andrzej Szeptycki swoją działalność w Kościele grekokatolickim w ogóle rozpoczął z nadzieją na pozyskanie prawosławnych, ale nigdy do tego nie doszło i sam potem z tego zrezygnował. A ukraińscy grekokatolicy w ostatnich dziesięcioleciach czy to w prasowych tekstach, czy to w prywatnych rozmowach zupełnie wprost wypowiadali się o możliwości takiego zjednoczenia. Miałoby to oznaczać zbudowanie wspólnoty o niespotykanej dotąd specyfice prawnej i kanonicznej, bo podlegającej, jak wspomnieliśmy, jednocześnie Rzymowi i Konstantynopolowi. Rezygnacja z jurysdykcji Rzymu nie wchodziła w grę, bo grekokatolicy za wierność Stolicy Apostolskiej złożyli ogromną daninę krwi.

To jednak zmieniło się pod wpływem niejednoznacznej postawy papieża Franciszka wobec wojny w Ukrainie. Już po kilku tygodniach od inwazji, po wizycie Franciszka w rosyjskiej ambasadzie i braku jednoznacznego wskazania odpowiedzialnego za agresję, intelektualści grekokatolicy z Uniwersytetu Katolickiego we Lwowie w liście otwartym zdystansowali się od Rzymu i papieżstwa.

„Chwila obecna wymaga od Kościołów proroczego głosu, który jest nie do pogodzenia ze strachem i ideologią. Nie chcemy od nich słyszeć o »głębokiej trosce o wojnę«, bo to jest język dyplomacji” – napisali. „Równie sprzeczne z Ewangelią jest równanie ze sobą cierpień żołnierzy ukraińskich i rosyjskich. Ci pierwsi bronią swojej ziemi, drudzy grabią cudze. Ci rosyjscy zbrodniarze wojenni, którzy niszczą szpitale położnicze, strzelają do starców i dzieci, gwałcą kobiety, grabią i przechwalają się swoimi »osiągnięciami«, nie są »biedakami«. Ideologia poprawności politycznej może utożsamiać cierpienie ukraińskiego i rosyjskiego wojska, ale to nie jest emocja ewangeliczna, które zawsze stoi po stronie skrzywdzonych” – uzupełniali, odnosząc się wprost do konkretnych wypowiedzi papieskich.

Skandal wśród grekokatolików wywołała także droga krzyżowa w rzymskim Koloseum organizowana przez Stolicę Apostolską, podczas której Rosjanka i Ukrainka miały wspólnie czytać rozważania. Nie bez echa przeszło też uznanie zabitej w zamachu Darji Duginy, rosyjskiej propagandzistki i córki ideologa putinizmu, za „niewinną zamordowaną”, a także nieustannie powracające próby wybielania Rosji i Rosjan przez papieżstwo.

Taka postawa rodzi rozgoryczenie, intelektualści grekokatolicy otwarcie krytykują Rzym, a część duchownych grekokatolickich przestała wymieniać Franciszka w Boskiej Liturgii, choć nikt oficjalnie tego nie przyznaje. Prawosławni komentatorzy natychmiast zwietrzyli okazję i zaczęli przekonywać, że grekokatolicy powinni jak najszybciej zrezygnować ze zwierzchnictwa Rzymu. I coraz częściej także oni przyjmują podobną narrację.



Ulice jak rzeki, wieżowce niczym osobne miasta. **Busan** to już dziś przytaczająca ogromem metropolia. Niebawem ma być jeszcze większa

1 Busan to miasto z kosmosu. Nie ciągnie się w nieskończoność jak Seul, a jednak jest olbrzymią wielomilionową metropolią. Pełna wzgórz, wysp i zatok, o nerwowej i jakby niekonsekwentnej linii brzegowej, opleciona ultranowoczesnymi, zawieszonymi sto metrów nad powierzchnią morza, napiętymi jak liny mostami, pachnąca słonym wiatrem, z dzielnicami jak schodzące ze wzgórz rajske ogrody, z grupami gigantycznych wysokościowców – przypomina jakąś fantastyczną kreację z epopei o „Gwiezdnym wojnach”. Mam wrażenie, że jej twórca, George Lucas, gdyby tu był, na pewno włączyłby miasto do swojego uniwersum.

A jednak jest ono na wskroś ludzkie. Kobiety na targu rybnym rozchlapują gumiakami kałuże. Jakiś człowiek w dziurawym swetrze dokonuje egzekucji całego stada karpiołowych – patroszy je na żywo, wypruwa im skrzel i jelita, gdy jeszcze się buntują, prężą ciała, próbując wrócić do wody. Jakiś starzec sprzedaje azjatyckie pieczątki, na miejscu grawerując imię i nazwisko klienta w twardym mahoni; ot, kolejny urzędnik będzie mógł małym czerwonym znaczkiem decydować o życiu i śmierci podwładnych. Też chcę mieć taką pieczęć. Zamawiam. Imię, nazwisko. Aparat grawerski atakuje uchwycony stalowym imadłem kawałek drewna. Piski i zgryzty. Maszyna pracuje.

Busan gdzieś obok. W którymś z wysokościowców ktoś pisze scenariusz kolejnego filmowego przeboju. W innym architekci opracowują plan przebudowy portu północnego. Tu będzie światowe Expo – opowiadają z przekonaniem dziennikarzom, rysując na mapie wieżowce, centra handlowe i stadion. To jednak pieśń przyszłości. Na razie królują tu brudne holowniki, a na nabrzeżach zalegają miliony kontenerów. Bo Busan to miasto kontenerów. Zapełnione wędrują na pokłady gigantycznych statków. Puste czekają na załadunek. Ktoś już wie, co się w nich znajdzie. Komputery, sprzęt dentystyczny, miliony telefonów komórkowych. Ktoś wypełnia faktury. Ktoś inny kalkuluje zyski z międzynarodowego frachtu. Tuż za bramami wielkiego oceanicznego portu w Busan Wyspy Japońskie, a dalej cały świat.

2 Kiedyś była tu wojna. Busan jako jedyne oparło się inwazji komunistów w 1950 roku. Opowiada o tym słynny film, może jeden z najlepszych filmów wojennych, jakie w życiu widziałem. To „Braterstwo broni” – podniosła, nafaszerowana patosem i efektami specjalnymi epopeja. Dwaj bracia, Jin-tae i Jin-seok, mieszkają w Seulu. Kiedy na Południe zwalają się hordy komunistów z Północy, obaj trafiają do wojska. Starszy, Jin-tae, obsesyjnie chce bronić młodszego. Próbuje go uchronić przed poborem, a potem,

BOGUSŁAW CHRABOTA

Od rybnego targu po wieżowce w chmurach. Od portowego chaosu do futurystycznych projektów. Od sprzedawcy pieczątek po filmowe gwiazdy. Busan czeka na Expo.

MIASTO Z HISTORII, MIASTO Z KOSMOSU

gdy już obaj uczestniczą w walkach, kilka razy ratuje mu życie. Młodszy nie rozumie zachowania brata, sądzi, że Jin-tae zgrywa bohatera. A ten próbuje pomóc Jin-seokowi nawet wtedy, kiedy za domniemaną dezercję trafia w ręce żandarmów. Jest to jednak bardzo trudne. Czasy są brutalne, armia Południa jest infiltrowana przez komunistów, więc każdy, na kogo pada cień zdrady, jest rozstrzeliwany.

Jin-tae jest przekonany, że właśnie taki los spotkał młodszego brata, i w szale nienawiści wobec okrucieństwa żandarmów przechodzi na stronę Północy. Szybko staje się bohaterem. Symbolem bratobójczej wojny. Jin-seok jednak unika śmierci. Wciąż jest po stronie Południa. W końcu któregoś dnia stają naprzeciw siebie. Oszałały z chęci zemsty starszy brat atakuje młodego żołnierza, którym okazuje się Jin-seok. Kiedy dotrze do niego, że to uznawany za zmarłego brat, oszczędza go. Sam jednak ginie od śmiertelnej kuli. Jin-seok przeżywa i po latach przeszukiwań masowych grobów ofiar wojny znajduje szczątki starszego brata.

Aktorzy grający główne role: Dong-gun Jang i Won Bin, to największe gwiazdy koreańskiego kina. Jak to się o nich mówi: „mieszkają w Gang-nam” (dzielnicy milionerów), jeżdżą najlepszymi samochodami, a ich zarobki są tak wysokie, że boi się o nich mówić nawet szef lokalnego odpowiednika Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej. Nie ma zresztą znaczenia, ile zarobili na tym filmie. Stworzyli kreacje, które pamięta się przez lata. A sam film, choć naturalny dla koreańskiej kultury patos może niektórych drażnić, to dzieło perfekcyjne. Jest w nim

wszystko: dramaturgia, świetnie poprowadzone wątki głównych bohaterów, fantastyczne zdjęcia, efekty, kreacje. Jest miłość, nienawiść, braterstwo. Emocje są nieklamane. I to, co najważniejsze – w tle rozpisanej wagnerowską nutą historii jest kawałek prawdziwych dziejów. Wielka wojna, którą pamięta cały świat. Wojna, która podzieliła ludzkość i półwysep na ponad siedem dekad. Wojna prawdziwa.

3 Komuniści do Busan nie dotarli. Ich atak w czerwcu 1950 roku nie mógł się skończyć inaczej niż zmasakrowaniem Południa. Mieli trzy razy większą armię, sowieckie uzbrojenie, wsparcie czerwonych Chin i doktrynę, która cięła jak skalpel. Walczyli (jak to dziś się mówi w kręgach prezesa) ze „złogami” kolonializmu. Na dodatek w imię deklarowanego głośno i znajdującego poklask w ówczesnym świecie „szczęścia mas pracujących miast i wsi”. Południe było wyzwolone spod japońskiej okupacji przez Amerykanów. Północ stanowiła strefę wpływów bolszewizmu. Kiedy więc na Seul zważyło się ponad czterysta tysięcy czerwonego wojska, miasto upadło w kilka dni. A potem był komunistyczny blitzkrieg, któremu nie była w stanie sprostać ani symboliczna armia Południa, ani amerykańska 24. Dywizja Piechoty, zniszczona w 12-dniowej bitwie pod Daejeonem.

Jankesi oprzytomnieli dopiero po tej klęsce. Prezydent Truman zdecydował o wysłaniu na półwysep większej liczby żołnierzy, a chwilę później ONZ podjęło decyzję o zaangażowaniu się w konflikt. Od tej

pory walka o obronę Południa odbywała się pod flagą Narodów Zjednoczonych. Nie było łatwo. Do 5 września wojska Północy zajęły 95 procent półwyspu. Za wojskiem szła bezpieka i komisarze polityczni. Ludzi z klas uznawanych za nieprzydatne rozstrzelano albo zamykano w obozach. Prywatne farmy zamieniały w kolchozy. Bolszewia stawiała pewne kroki w przekonaniu, że zajęła tę ziemię na zawsze. Ocalał Busan i tereny wokół tego portu.

Do dziś mówi się o „worku” busańskim. Skąd ta nazwa? „Worek” to kilka miast i miasteczek otoczonych przez trudne do sforsowania góry oraz ujście rzeki Nakdong. Linia obrony liczyła niecałe 230 km. Atakowało ją ponad sto tysięcy żołnierzy Północy. Artyleria i sowieckie czołgi z demobilu. Obrońcy mieli około 140 tysięcy wojska i nieco amerykańskiego uzbrojenia. Kontrolowali port, więc mogli być zaopatrywani z morza. Na szczęście dla resztek oddziałów Południa komuniści nie używali lotnictwa. To mogło zmasakrować pozycję obrońców, ale – z jakichś, do dziś nie wiadomo jakich, powodów – samolotów z czerwoną gwiazdą na niebie nad Busan nie było. Była artyleria, próby szturmów, ale zwykle bezskuteczne.

W połowie września nacisk na miasto zelżał. Skończyło się oblężenie, przybywające do portu jednostki ONZ rozpoczęły kontrofensywę. W październiku siły antykomunistyczne były już na północy, zajmując ponad 90 procent terytorium Korei. Ale wtedy do wojny wtrącił się Mao-Zedong, wysyłając na półwysep oddziały tzw. chińskich ochotników ludowych, czyli armię, która miała wesprzeć przegrany zmagania reżim Kim Ir Sena. Kolejny milion czerwonych omal nie zachwiał historią półwyspu. Znow zdobyto Seul i potrzeba było jakiegoś cudu, by uratować Południe przed tym potokiem wojska. Cud się zdarzył. W 1951 roku Amerykanie i wojska ONZ odepchnęły oddziały chińskie i osiągnęły tzw. linię Kansas – Wyoming, niemal pokrywającą się z 38 równoleżnikiem, który miał dzielić dwie Koreę na zawsze.

4 Do Busan wojna nigdy nie wróciła. Za to zaczął rozkwitać się przemysł i handel. Port, w którym przyjmowano ratujące demokratyczną część półwyspu kontyngenty wojskowe ONZ, w kilka miesięcy stał się koreańskim oknem na świat. Przypływały tu setki statków, które trzeba było rozładować. Konieczna była siła robocza. Dlatego wielu uciekinierów z Północy tu zostało. Nie wiadomo dokładnie, ilu ludzi ukryło się w busańskim „worku”. Najpewniej setki tysięcy.

Komuniści z ich wizją państwa walczącego z religią byli groźni szczególnie dla głęboko wierzących. Tych więc wśród uchodźców było szczególnie dużo. Chrześcijanie, buddyści, wyznawcy lokalnych kultów. Jedną z tych społeczności znalazła schronienie nieopodal portu północnego, na stokach pnącego się wysoko wzgórza. To bajkowa wieś Gamcheon, zbudowana dla wiernych wspólnoty Taegeukdo. Czym jest ta religia? To jeden z nurtów tzw. jeungsanizmu, synkretycznej religii uznającej żyjącego na przełomie XIX i XX wieku Kang Jeungsana za wcielenie Najwyższego Boga Wszechświata. Trochę w niej buddyzmu, nieco taoizmu, millenaryzmu, jeszcze więcej specyficznego dla Korei mesjanizmu. Kang zmarł w młodym wieku w 1909 roku, a stworzony przez niego ruch natychmiast rozpadł się na konkurujące z sobą grupy. Jedną z nich, Taegeukdo, znalazła sobie w połowie lat 50. miejsce właśnie na stokach góry Gamcheon.

Domy, a właściwie biedne drewniane chaty, stawiano w takim zagęszczeniu, że do dziś ścieżki między nimi często nie są szersze niż metr. Wybudowane tarasowo nie miały ani wody, ani kanalizacji i dopiero po jakimś czasie doprowadzono do nich prąd. W wiosce zbudowano szpitalik, szkołę i kościoły, wszystko wielkości większej budy dla psa. Dziś Gamcheon, nazywany koreańskim Machu Picchu albo lokalnym Santorini, to feeria murowanych domków w kolorze pastelów. Bieda tu nie ma już od dawna, za to jest kolonia artystów.

Gamcheon to wieś artystyczna przyciągająca twórców i turystów z całego świata. Pełna warsztatów, pracowni, butików z modą. Można tu spotkać rezydujących przyszłych z Azji i Europy, na ulicach kłębi się tłum turystów. Bywają tu wielcy tego świata, prezydenci i premierzy, ludzie różnych ras i karnacji. A każdy chce sobie zrobić zdjęcie z figurką Małego Księcia. Tak, to nikt inny jak mały bohater Saint-Exupéry’ego, który przysiadł skromnie z liskiem tuż obok na jednym z murków Gamcheonu. Skąd Mały Książę w Korei? Nikt nie potrafił wyjaśnić. Prawdopodobnie to pamiątka po pracy któregoś z pedagogów lokalnej szkoły, który czytał dzieciom na głos książkę i pozwolił marzyć o kosmicznych podróżach. Mały Książę i jego małeńka planeta

byli takim kolorowym marzeniem w skromnej wiosce zamieszkałej przez ubogich sekciarzy. Mały Książę tak ją pokochał, że został tu na zawsze.

5 Gdy Gamcheon był jeszcze slumsem, mogła się z niego wywodzić rodzina Gi-taeka, jednego z głównych bohaterów filmu „Parasite”. Obraz był sensacją, odkryciem. Podczas 92. ceremonii wręczenia Oscarów w lutym 2020 roku otrzymał cztery nagrody w kategoriach: najlepszy film, najlepszy reżyser, najlepszy film międzynarodowy i najlepszy scenariusz oryginalny. Nigdy wcześniej żaden film koreański nie zgarnął takiej puli. Ale jest to rzeczywiście film wybitny. Zapada w pamięć, drapie, angażuje, zmusza do myślenia. Jest w nim wszystko łącznie z odległym, choć wyraźnym odniesieniem do wojny i historycznego podziału Półwyspu Koreańskiego na dwa państwa. Jest próżność i zawiść. Bogactwo i bieda. Bezsensowna zbrodnia i najdziwniejsza w historii kina forma jej odkupienia.

Ci, którzy film znają, pewnie wciąż zadają sobie pytania: dlaczego zginął prezes Park? Jaka była jego wina moralna? Czego jego śmierć jest figurą? Od razu trzeba odrzucić prostackie wyjaśnienia ideologiczne, które słychać najczęściej. To żaden bunt mas. Żadne potępienie bezdusznego kapitalizmu, bo przecież Park i jego rodzina są w filmie ludźmi dobrymi, pomocnymi. Najbliżej prawdy jest chyba taka interpretacja: śmierć Parka to symbol bezsensu, chaosu i kłębowiska ludzkich uczuć, jakim stał się współczesny świat.

Nie umie odpowiedzieć na to pytanie także Park Ki-yong, szef busańskiego festiwalu filmowego i prezydent koreańskiego odpowiednika naszego PISF. Cieszy się ze światowego sukcesu „Parasite”, zwłaszcza że nagrodzony Oscarem reżyser Joon-ho Bong był niegdyś jego asystentem. Park rezyduje w olbrzymim nowoczesnym centrum filmowym, którego najważniejszą częścią jest zadaszony amfiteatr z jednym z największych ekranów kinowych na świecie. I dysponuje milionami dolarów na dotacje do powstających fabuł.

Ile filmów się kręci w Korei? Rocznie około stu pełnometrażowych. To wielki biznes. Jakie są kryteria przyznawania dotacji? – dopytuje. Wspiera się firmy historyczne czy promujące kulturę narodową? Park Ki-yong kręci głową. Nic z tego – system wsparcia nie przewiduje żadnego kryterium ideologicznego. Tu jest wolność słowa i wolność twórcza – tłumaczy. – Wspieramy dotacją każdą wartościową produkcję. Na tym polega siła naszej kinematografii. Silny jest również Busan Film Festival. Przed pandemią pokazywano tu co roku trzysta filmów. Teraz, w czasach popandemicznych, o połowę mniej. Ale powrócimy do swojej pozycji największego festiwalu filmowego w Azji. Tym bardziej że trzeba docenić kolejne hity, jak „Squid game” – podkreśla Park.

6 „Squid game” to serial i na festiwal, przynajmniej taki jak w Busan, pewnie nie trafi. Ale nie ma to znaczenia, bo międzynarodową pozycję wywalczył w Netflixie. Swoją drogą amerykański gigant docenił potencjał lokalnego kina i wiele tu produkuje. Trochę chora to twórczość. Ale czy cała reszta nie jest chora? To nagromadzenie ludzi. Te miasta kolosy. Ta gęstwiną ludzi. Spraw. Praca ponad siły. Sklepy z uginającymi się od nadmiaru towaru półkami. Ulice miast jak rzeki, którymi płynie nerwowo nurt milionów samochodów. Wieżowce, które są osobnymi miastami. Wielkie tak, że zlewają się z niebem. Wyglądają jak startujące na obce planety statki kosmiczne – u ich stóp chmury pyłu, a na szczycie wymierzona w niebo wieżyczka kokpitu. Dokąd taki statek kosmiczny polecą i gdzie zabierze swoich mieszkańców?

Tymczasem w porcie północnym wre praca. Miasto zdecydowało się zburzyć zabudowania portowe (port zostanie przeniesiony gdzieś indziej) i zbudować tu nową dzielnicę. Koszt pierwszej części 25 miliardów dolarów. Trwają prace. Niedługo na miejscu budowy z poziomu fundamentów zaczną się podnosić w górę wieżowce, hotele, ma być nawet teatr i opera. Projekt finansuje miasto i deweloperzy, którzy większość planowanych tu mieszkań już sprzedali. Dzielnicą ma być gotowa w 2025 roku.

A to tylko początek – kilkaset metrów dalej, gdzie do dziś króluje portowa zabudowa, powstanie infrastruktura wystawowa na planowaną wystawę Expo 2030. Z całego świata zjadą wystawcy. Expo będzie świętem Busan. Początkiem jego nowej, jeszcze bardziej chwalebnej przyszłości. Na razie nową dzielnicę ojcowie założyciele pokazują na makiecie. Wszystko tu uporządkowane. Przemyślane. Doskonale zakomponowane. W pracach projektowych uczestniczyły najbardziej profesjonalne

zespoły architektów z Korei i świata zachodniego. Patrząc na tempo pracy, determinację i profesjonalizm Koreańczyków, trudno mieć wątpliwości, że nowa dzielnica powstanie w terminie. Na razie to jednak plany. Z okien terminalu portowego, gdzie pracują organizatorzy Expo i budowniczy nowej dzielnicy, widać wchodzące do portu statki pasażerskie. Wszystko w ostrym słońcu. Błękit jasnego nieba i wpadający w czerń granat morskich fal. Ruch. Tysiące ludzi. Krzyk mew. Uginające mocarne ramiona wielkie portowe żurawie. Góry kontenerów. Port w Busan.

7 Wolę jednak inny fragment miasta. To wielki targ rybny Jagalchi. Największy, jaki mają w Korei. Całymi godzinami można chodzić w cieniu jego straganów. Jest olbrzymi, ale skrojony na ludzką miarę. Nie ma tu cyborgów, nie słucha się K-popu, tylko gwaru ludzkich głosów. Stare kobiety handlują wszystkim, co daje morze. Wielkie kosze z krabami. Wiadra pełne próbujących się wyrwać na wolność ośmiornic. Podenerwowanych, choć nieświadomych swego losu ryb. Tuńczyki,



Stoki góry Gamcheon: kiedyś główny ośrodek wspólnoty Taegeukdo, dzisiaj mekka artystów i turystów, których wita Mały Książę

rekiny, barakudy. Ryby w różnych kolorach. Niektóre świecące stalową łuską. Inne barwione na czerń i biel, z pomarańczowymi płetwami. W wielkich akwariach gęstwiną poplątanych węgorzy. Obok czekające cierpliwie na swoją kolej płaszczki. A kawałek dalej całe stoisko kałamarnic. Suszone zalegają jak rozłożone na ładach szmaty. Żywe tłoczą się w blaszanych wiadrach. Obok jakiś krab podejmuje desperacką próbę ucieczki. Wyłazi z wysypanego trocinami kosza i próbuje czmychnąć do morza. Nie wie jednak, że jest bacznie obserwowany przez właścicielkę, a do morza daleko. Zbyt daleko, by ta podróż mogła się powieść. Znacznie mu bliżej do gara, bo w uliczkach przy targu Jagalchi mnóstwo knajp serwujących potrawy z tego, co daje morze.

Przed restauracjami wielkie akwarie pełne ryb, homarów i langust. Małże i ostrygi. Ośmiornice i stada karpionowatych. Kelner zachęca do wyboru. Wszystko na wyciągnięcie ręki. Z gwarancją świeżości. A potem przychodzi kucharz, wybiera najtłustszego karpia i niesie do kuchni. Tam rach-ciach, w trzy sekundy pozbawia go życia oraz wnętrzności. Po kwadransie ryba spogląda zmętniałymi oczyma na siedzącego przy stole klienta.

Smutne to oczywiście. Daje asumpt do przemysłu o kruchości życia. Cóż, jesteśmy jak ten karp. Jak ta barakuda. Choćby najbardziej żywotni, choćby najsilniejsi, to nasze życie trwa tylko chwilę. Minuta i lądujemy na talerzu któregoś z uczestników wielkiej uczty wydawanej przez Pana Boga. Co jest trwalsze? Choć tylko nieco trwalsze. Miasta. Porty. Wieżowce. Dzieło rąk ludzkich.

Jakie będzie Busan w przyszłości? Czy równie olśniewające? Bez wątpienia. Ze swymi słynnymi plażami, festiwalami, targiem rybnym i pnącymi się do nieba wieżowcami. Chyba Koreańczycy doczekają się tego Expo 2030. Szczerze im kibicuję. A chwilowo chowam rytą w mahoni pieczętkę do kieszeni i wracam do domu. Oj, będę stemplował. Zaczne pewnie od pocztówek z miasta na końcu półwyspu! Bzdura. Żarcik taki. Nie ma wido-kówek. Za to telefon pełen kolorowych plików. Tylko jak je ostemplować?

BARBARA HOLLENDER

37-letnia Francuzka Léa Seydoux konsekwentnie buduje swoją karierę w Europie i w Ameryce. Rzadko się zdarza, by aktorka tak starannie wybierała role.

KOBIETA PRACUJĄCA BYWA NIEŚMIAŁA

Léa Seydoux na tegorocznym festiwalu filmowym w Cannes

Należy do pokolenia, które nie musi już dla kariery zmieniać całego życia. Léa Seydoux ma agentów we Francji i w Stanach, przelatuje przez ocean, by zagrać dziewczynę Bonda, i wraca do Paryża, gdzie ma dom, męża, dziecko i gdzie czekają na nią scenariusze skromnych, artystycznych filmów. W dobie szybkich podróży, a gdy pierwsze próbne zdjęcia można wysłać przez internet i spotykać się na wideokonferencjach, tak funkcjonują najbardziej wzięci aktorzy Europy. Są wśród nich również Polacy, choćby Joanna Kulig, Tomasz Kot czy Marcin Dorociński.

Blichtr sławy? To też już nie dla nich. Léa Seydoux bardziej przypomina „kobietę pracującą” niż gwiazdy w dawnym stylu. Owszem, występuje w kampanii Louisa Vuittona. Ale w czasie wywiadów, niemal bez makijażu, ubrana w dżinsy i koszulę dziadka, pytana o tę reklamę, rzuca dziennikarzom: „No, dobrze, napiszcie, że mam apaszkę Vuittona”.

Nie ukrywa, że kocha Cannes, w którym bywa niemal w każdym roku. Podczas ostatniego festiwalu Léa Seydoux promowała tu dwa swoje filmy. W horrorze scienc-fiction Davida Cronenberga „Zbrodnie przyszłości” była chirurgiem wycinającym wyrastające w ciele jej partnera-artysty zbędne organy, co stawało się performansem dla widzów, a jemu zastępowało przeżywany podczas seksu orgasm. W zrealizowanym przez Mię Hansen-Love „Pięknym poranku”, który wszedł właśnie na ekrany polskich kin, zagrała kobietę, która musi pogodzić się z odchodzeniem ojca.

– Zwykle proponowano mi role kobiet, które były morderczyniami, alkoholiczkami albo przedmiotem pożądania. Tym razem chyba po raz pierwszy wcieliłam się w osobę, z którą wielu widzów może się identyfikować. Jej emocje znamy z życia. Sandra to samotna matka, córka mierzająca się z odchodzeniem ojca. Po latach uśpienia budzi się uczucie i radość z seksu. Moja bohaterka przeżywa chwile rozpaczy i szczęścia, ale jest

w tym wszystkim bardzo zwyczajna – opowiadała mi aktorka.

Reżyserka Mia Hansen-Love w okresie pandemii straciła ojca, który zmarł na covid. Ale wcześniej zdiagnozowano u niego degeneracyjną chorobę mózgu. Inteligentny, otoczony książkami człowiek tracił kontakt z rzeczywistością, jeszcze za życia odpływając w niebyt. Hansen-Love napisała scenariusz „Pięknego poranka”, żeby się z nim pożegnać, ale chciała pozostawić widzom nadzieję. Ona sama, gdy jej ojciec umierał, była w ciąży. Wśród rozpaczy przeżywała radość narodzin dziecka. Filmowa Sandra sama wychowuje córkę, ale w najgorszym dla siebie czasie spotyka dawną miłość. Choć mężczyzna jest żonaty, ich uczucie się odradza.

– Kiedy przeczytałam scenariusz, poczułam wielką empatię w stosunku do Sandry. Wiedziałam oczywiście, że jest alter ego samej Mii. Film miał klarowny przekaz. Szczególnie zaintrygowało mnie pytanie, jakie Mia zadawała: czy można jednocześnie przeżywać chwile najtrudniejsze i najpiękniejsze? To było dla mnie fascynujące doświadczenie. I bardzo osobiste. Chyba pierwszy raz zagrałam kobietę tak bardzo mi bliską – mówi mi aktorka.

Samotne dzieciństwo w tłumie

Léa Seydoux nie ma perfekcyjnych rysów Catherine Deneuve, ale na ekranie bywa bardzo atrakcyjna. Często drapieżna. Siedząc naprzeciwko niej w czasie wywiadu, pomyślałam, że ta jej ekspansywność to gra. Rzeczywiście. Aktorka, która występuje u boku Toma Cruise’a i Daniela Craiga, sprawia wręcz wrażenie nieśmiałej. I w tej nieśmiałości wydaje się bardziej zjawiskowa niż jako dziewczyna Bonda. Mówi

powoli, cicho, często spuszcza wzrok, na chwilę milknie, dobiera słowa. Jest w niej jakaś urzekająca delikatność. I właśnie tę subtelność potrafiła z niej wydobyć Mia Hansen-Love w „Pięknym poranku”.

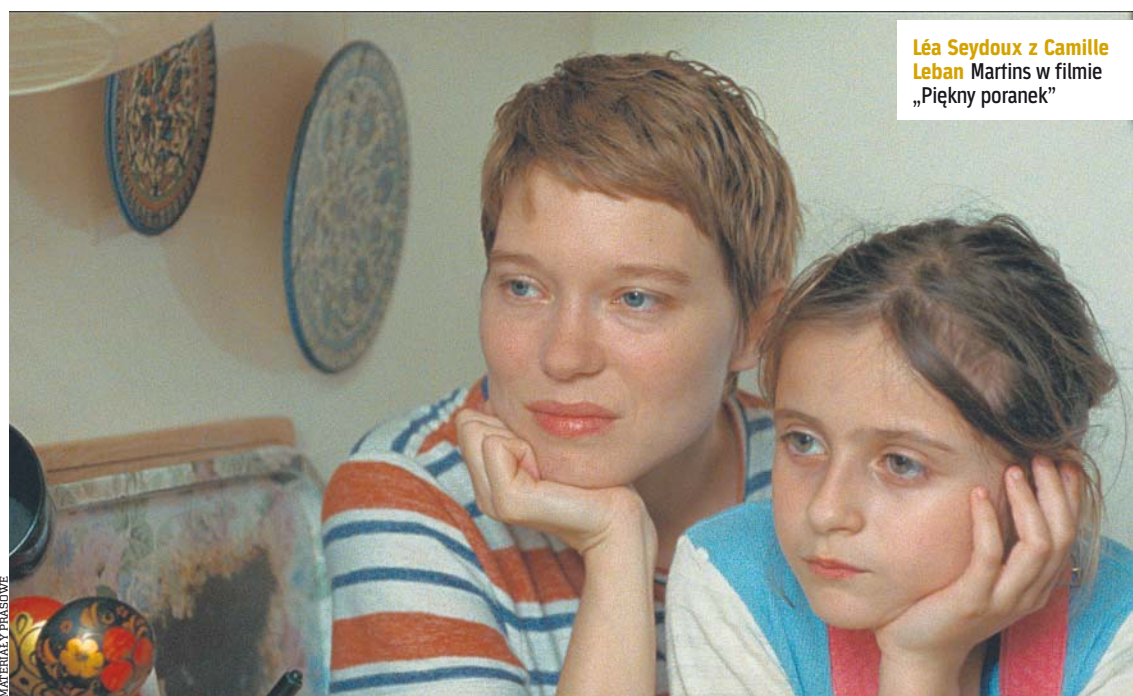
Urodziła się w Paryżu, w 1985 roku. Rosła w Dzielnicy Łacińskiej pełnej kin, teatrów, małych księgarni. I w rodzinie artystów. Jej dziadek ze strony ojca prowadził firmę Pathé, wuj był producentem filmowym i prezesem Gaumonta. Jednak Léa zawsze zaprzecza pytaniu, jakoby „znajomości” kiedykolwiek jej pomogły.

Jej rodzina była patchworkowa. Matka Valérie Schlumberger jest kostiumografką i działaczką społeczną. Léa miała starszą o pięć lat siostrę, dziś stylistkę, i troje rodzeństwa z poprzedniego związku matki. Ojciec Henri Seydoux, współzałożyciel francuskiej firmy technologicznej Parrot, po rozwodzie z Valérie, miał kolejną żonę i kolejnych dwoje dzieci. Léa miała trzy lata, gdy rodzice się rozstali, trochę czasu spędzała z matką, trochę z ojcem. Jak przyznaje, nauczyła się wtedy przystosowywać do otoczenia i okoliczności. Ale też mówi, że wbrew pozorom dzieciństwo spędzone w tłumie bliskich było wyjątkowo samotne.

Odkąd skończyła dziewięć lat, ojciec wysyłał ją na wakacyjne obozy w stanie Maryland. Nie znała języka, przeżywała katusze. Po kilku takich wyjazdach mówiła już po angielsku, jednak uczucie obcości pozostało. Obco czuła się też w Senegal, dokąd często jeździła z matką, która w Dakarze prowadziła stowarzyszenie działające na rzecz dzieci ulicy. Léa nie potrafiła też wtopić się w młodzieżowe środowisko paryskiej szkoły: nie lubiła się uczyć, niełatwo przychodziło jej nawiązywanie kontaktów. Stąd ciągła alienacja. I subiektywne poczucie, że miała nieszczęśliwe dzieciństwo. – Byłam bardzo nieśmiała, żyłam we własnej bańce – mówi.

Dziś jest matką pięcioletniego George’a. Wychowuje go razem z wieloletnim partnerem, niemającym nic wspólnego ze środowiskiem artystycznym. – Wiem, często wyjeżdżam, dużo pracuję, ale bardzo się sta-





Léa Seydoux z Camille Leban Martins w filmie „Piękny poranek”

ram, żeby George miał szczęśliwe dzieciństwo. A dla mnie samej czas spędzony z nim jest najpiękniejszy – twierdzi aktorka.

Wielki sukces, a potem afera

Jako młoda dziewczyna chciała zostać śpiewaczką. Miłość do opery odziedziczyła po jednej ze swoich babć. Gdy zakochała się w aktorze, chcąc mu zaimponować, jeszcze przed maturą zapisała się na kursy aktorskie dla młodzieży, a potem dostała się do szkoły teatralnej. Serca mężczyzny nie zdobyła, ale zawód tak.

W 2005 roku pojawiła się w filmie „Mes Copines”, wkrótce potem podjęła jeszcze studia w słynnym Actor’s Studio w Nowym Jorku. Nie została jednak w Stanach, wróciła do kraju, a Francuzi się jej talentem zachwycili. W 2009 i 2011 roku została nominowana do Cezara dla odkrycia roku za filmy „Piękna” Christophe’a Honore i „Piękny kolec” Rebeki Zlotowskiej.

Naprawdę jednak jest kariera wybuchła rok później, gdy zagrała w filmie Abdellatifa Kechicha „Życie Adeli. Rozdział 1 i 2”.

Francuz tunezyjskiego pochodzenia luźno zekranizował powieść graficzną Julie Maroh „Niebieski to najcieplejszy kolor”. Opowiedział o nastolatce, która dojrzewa i odnajduje się w związku z inną kobietą. O człowieku z poczuciem inności, który musi zmierzyć się z nietolerancją otoczenia. Ale też o różnicach wynikających z pochodzenia z innych społecznych klas i środowisk wyznających odmienne wartości, nieuchronnie doprowadzających do rozpadu związku.

Trwające trzy godziny „Życie Adeli. Rozdział 1 i 2” kręcone było niemal jak paradokument. Kamera podchodzi tu do bohaterów bardzo blisko, podsłuchuje ich rozmowy, obserwuje drobne gesty. Kechiche, jak nikt dotąd, pokazywał też sceny seksu dwóch kobiet. I nie byłoby tego filmu bez dwóch śmiałych aktorek. Léa Seydoux i Adèle Exarchopoulos były prawdziwe w każdym geście i spojrzeniu.

To była canneńska Złota Palma – bardzo odważna i piękna, bo jury doceniło dzieło świeże, wnoszące do kina nową jakość. A także po raz pierwszy i jedyny w historii festiwalu – postanowiło, że główne canneńskie trofeum wędruje nie tylko do reżysera, lecz również do dwóch młodych aktorek.

Jednak po tym sukcesie rozpętała się wokół filmu afera. Ekipa skarżyła się na niedopuszczalne warunki pracy podyktowane przez Kechiche’a, który czasami wymagał 100 dubli każdego ujęcia. Wypowiedziała się też Seydoux. Jej długa sekwencja lesbijskiego seksu z Adèle Exarchopoulos była kręcona dziesięć dni. Wszyscy poświadczali, że sceny nie były udawane, a Abdellatif Kechiche wymagał pełnego naturalizmu, pozbycia się u aktorek wszelkich hamulców i bardzo źle je traktował. W jednym z wywiadów oświadczyła wręcz,

że na planie czuła się „jak prostytutka”. Reżyser, zdeprymowany jej opowieściami, zamieścił w internecie oświadczenie, że pozwie ją za „oszczerstwo” wywiady do sądu. Léa załamała się i w czasie konferencji prasowej w Los Angeles zapłakana powiedziała, że jej uwagi zawsze dotyczyły stylu pracy Kechiche’a na planie, ale jako artystę bardzo go wysoko ceni.

Wszystko to działo się kilka lat przed powstaniem ruchu #metoo. Dzisiaj spór aktorki i reżysera zapewne wyglądałby inaczej. Léa Seydoux zresztą po kilku latach dodała swoje zarzuty do długiej listy przewin Weinsteina. W 2017 roku w „Guardianie” ukazał się tekst, w którym opisywała, jak szef Miramaxu, proponując rolę, zaprosił ją do hotelowego pokoju i próbował napastować seksualnie. Broniła się i wybiegła z jego apartamentu zniesmaczona. Potem wielokrotnie była świadkiem molestowania przez niego innych aktorek.

Ale przecież niedawno, już z dystansu, w wywiadzie dla „Harper’s Bazaar” powiedziała: – To wspaniale, że kobiety wreszcie mówią pełnym głosem. W wielu krajach ich sytuacja jest okropna. Rozumiem też, że w poprzednich pokoleniach musiały walczyć o swoją pozycję. Osobiście nigdy nie czułam się gorsza od mężczyzn. Nigdy nie myślałam, że nie mogę czegoś zrobić, bo jestem kobietą. Choć wiem, że mam szczęście, bo mieszkam w kraju, w którym jestem wolna.

Dzisiaj, wspominając „Życie Adeli” z perspektywy czasu, też jakby zapomina o najgorszych doświadczeniach. – Ten film zmienił moje życie – przyznaje.

To prawda. Od tamtej pory Léa Seydoux gra nieustannie. Po obu stronach oceanu. W filmach artystycznych i komercyjnych. A galeria artystów, z którymi pracowała jest dziś prawdziwie imponująca. – Kocham reżyserów europejskich, jestem bardzo ciekawa amerykańskich – mówi mi aktorka.

Dwukrotna dziewczyna agenta

A amerykańska przygoda francuskiej aktorki zaczęła się wcześniej. Zagrała w „Bękartach wojny” Quentina Tarantino w 2008 roku. Była na ekranie zaledwie kilka minut, ale spędziła z ekipą miesiąc. Tarantino lubi mieć swoich aktorów blisko, a jej to odpowiadało. Patrzyła na „wielkich” kina, chłonęła. Rok później wystąpiła u Ridleya Scotta. W „Robin Hoodzie” zagrała Isabelle Angouleme. To znów nie była wielka rola, ale za to w zespole, w którym byli m.in. Russell Crowe i Cate Blanchett, Max von Sydow i William Hurt. Potem przyszedł epizod w „O północy w Paryżu” Woody’ego Allena, wreszcie została morderczynią w „Mission Impossible – Ghost Protocol”, gdzie pytała Jeremy’ego Rennera: „Jak dobry jesteś?”. A słysząc: „Najlepszy”, rzuciła: „Ja zabijam najlepszych”.

To jednak było dopiero przecieranie amerykańskich szlaków. Prawdziwa kariera za oceanem wybuchła właśnie po Złotej Palmie za „Życie Adeli”. Odważna

Francuzkę dostrzegł ekstrawagancki Wes Anderson. W 2014 roku zagrała w jego „Grand Budapest Hotel”, a przed dwoma laty w „Kurierze Francuskim z Liberty”. No i dostała rolę, o jakiej marzy niejedna młoda (i nie tylko młoda) aktorka. Została dziewczyną Bonda. Na dodatek – interesującego, całkowicie odświeżonego przez Daniela Craiga.

W wyreżyserowanym przez Sama Mendesa „Spectre” zagrała Madeleine Swann, psychiatrę, w której agent 007 się zakochuje. Pokierowaną przez życie, ale silną. Pięć lat później wcieliła się w tę bohaterkę po raz kolejny. Przed nią tylko Eunice Gayson wystąpiła w „Bondach” dwukrotnie – w „Dr No” i „From Russia with Love”. Zwykle takie dziewczyny były wyłącznie zabawkami Bonda albo – jeśli okazywały się czarnymi charakterami – po prostu ginęły. Jednak świat się zmienił, więc zmienił się i agent 007.

Dzisiaj od niezłomnych herosów wolimy tych, co nie zawsze sobie ze wszystkim radzą, upadają, ale i potrafią wstać. Zmęczona twarz Craiga robiła większe wrażenie niż męska fizjonomia Connery’ego czy uroda Brosnana. Bond Daniela Craiga, odkrywając powiązania władzy i biznesu, mocno stąpał po ziemi. Bywał ranny, zmęczony i wściekły, czasem przegrany. A także naprawdę zakochany. Właśnie w Léi Seydoux.

– W czasach #MeToo Madeleine nie mogła już być zabawką – mówi aktorka. – Jest kobietą silną, która wie, czego chce.

Wydaje się, że Léa Seydoux też wie, czego chce. Zadowolona z amerykańskim rynkiem, gdzie poza Ridleyem Scottem, Quentinem Tarantino, Woodym Allenem, Wesem Andersonem spotkała się na planie z Davidem Cronenbergiem, Xavierem Dolanem, Samem Mendsesem, Carym Fukunagą. W Europie w ostatnich ośmiu latach zagrała m.in. w „Saint Lorent” Bertranda Bonello, „Dzienniku panny służącej” Benoit Jacquota, „Lobsterze” Yorgosa Lanthimos, „Kursku” Thomasa Vinterberga, „Oszustwie” Arnauda Desplechina, „Historii mojej żony” Ildiko Enyedi, „France” Bruno Dumonta. Wreszcie w „Pięknym poranku” Mii Hansen-Love. Ta lista tytułów i nazwisk to świadectwo, z jaką konsekwencją 37-letnia dzisiaj Francuzka porusza się po świecie, znajdując wspólny język z twórcami francuskimi, z Amerykanami, Duńczykiem, Grekiem czy Węgierką.

Gra dużo. Mówi, że nie ma w sobie tego częstego u aktorów lęku przed milczącym telefonem.

– Pandemia była trudnym doświadczeniem – przyznaje. – Życie stało się, zwłaszcza na początku, a wokół było tyle tragedii. Ale dla mnie ten czas miał też swoje plusy, pozwolił znacznie więcej czasu spędzić z George’em. Chyba świetnie się rozumiemy. Razem z moim partnerem robimy wszystko, by nasz syn nie czuł się samotny jak ja kiedyś. I on jest chyba bardzo szczęśliwym dzieckiem.

Kiedy jednak tylko lockdowny się skończyły, Léa Seydoux z radością wróciła na plan. W czasie pandemii z przerwami pracowała z Cronenbergiem i z Mią Hansen-Love nad „Pięknym porankiem”. Mimo wszelkich środków ostrożności obie przypłaciły to dwukrotnym zachorowaniem na covid. Léi drugie przytrafiło się tuż przed festiwalem w Cannes w 2021 roku, na którym w konkursie i w sekcjach towarzyszących były aż cztery (!) jej filmy. A ona nie mogła ruszyć się z domu, choć chorobę przechodziła bezobjawowo.

W tym roku już na festiwal dojechała. I nie kryła radości, że życie, także to filmowe, wraca do normy. – Bez kina byłoby mi trudniej egzystować – mówi mi. – Ono oddala ode mnie frustrację, pozwala stać się członkiem grupy, pracować z ludźmi, którzy mi imponują swoją wizją świata i sztuki.

Znów więc nie schodzi z planu. Wystąpiła w drugiej części „Diuny” Denisa Villeneuve’a, zagrała główną rolę w futurystycznym science fiction Bertranda Bonello „La Bete”. Umówiła się na kolejny film „The Shrouds” z Davidem Cronenbergiem. Ma wystąpić w nowej wersji „Emmanuelle”, którą zrealizuje niedawna zwyciężczyni festiwalu weneckiego Audrey Diwan. A wreszcie chodzą plotki, że choć James Bond zginął w swoim ostatnim filmie, mogą w kolejnym wrócić na ekran Madelaine Swann i ich mała córka. Jak na osobę, która mówi o sobie, że jest leniwa, plany Léi Seydoux są całkiem obfite.

– Sama się sobie dziwię – przyznaje. – Ale czasem myślę, że może moja miłość do kina jest większa od miłości do nicnierobienia.

Więc jeszcze tylko pytam, jaką wskazówkę dałaby młodszy koleżankom, które dzisiaj wchodzą do zawodu. A Léa Seydoux swoim zwyczajem chwilę myśli, po czym mówi: – Mam wrażenie, że w aktorstwie ważne jest to, co się zagra, ale również to, czego się nie zagra. /©

FILM

PROSZĘ PANI, TO JEST NAPAD

Bardzo trudno o tym filmie pisać. Jego trzeba po prostu przeżyć. „Kobieta na dachu” Anny Jadowskiej to, moim zdaniem, najlepszy polski film ostatniego roku.

Brzydkie blokowisko, domy z poszarzałymi ścianami i rzędy smutnych okien. Stara kobieta, a może nie taka stara, tylko po prostu zniszczona życiem. Rozwiesza pranie. Wychodzi z domu. Idzie przez osiedle, jakby nieobecna. To świat, w którym kupienie pokarmu dla akwariowych rybek wymaga wysiłku. Więc może nie weźmie dużej paczki, tylko tę mniejszą za 3,20 zł.

W banku kobieta podchodzi do okienka. „Proszę pani, ja potrzebuję pieniędzy” – mówi. „Ma pani u nas konto?” – pyta kasjerka. „Nie” – odpowiada kobieta i załamującym się głosem dodaje: „Proszę pani, to jest napad”. Z torebki drżącymi rękami wyciąga kuchenny nóż. Gdy kasjerka zacznie dzwonić na policję, ucieknie przerażona. Ale machina już ruszyła i wkrótce policjanci, na oczach męża i syna, zakują kobieciny w kajdanki i wyprowadzą zawstydzoną z domu.

Mąż? „Ja pierdolę, co ty? Z naszym nożem kuchennym na bank napadłaś? Ty się powinnaś leczyć. Ciebie zupełnie pojebało”. Tyle ma do powiedzenia. Potem jeszcze wybuchnie, gdy dowie się, jaki dług ma jego żona. Typowy polski mężczyzna, wychowany w patriarchalnym systemie.

Skromna położna nigdy nie chciała niczego dla siebie. W telewizji reklamowali „chwilówki”, więc je brała. Próbowwała pomóc siostrze, mężowi kupić GPS, o którym marzył, może dopłacić do czegoś synowi. I tak się nazywało, że już nie dawała rady zaciągniętych kredytów spłacać. Dlatego w akcie desperacji poszła z tym kuchennym nożem do banku. Tak naprawdę chciała tylko dwa tysiące, żeby oddać dług sąsiadowi, który pożyczył jej pieniądze na uregulowanie jednej z zaległych rat. Co dalej? Ano, to wszystko, przez co przechodzi człowiek, który dopuścił się przestępstwa. Przesłuchania, rozprawa, wyrok...

„Kobieta na dachu” to bardzo bolesny film o Polsce, jaka rzadko trafia do gazet czy telewizyjnych wiadomości. O ludziach ciężko pracujących, którzy jednak w nowym świecie nie złapali wiatru w żagle, wśród kolorowych reklam i rozbudzonych ambicji nie są w stanie związać końca z końcem. Opowieść o tragedii dotyczącej człowieka bezradnego, niemającego siły się bronić. O momencie, w którym traci jakąkolwiek



KINO ŚWIAT

nadzieję. Ale też o polskiej maszyni sprawiedliwości, gdzie nie ma zarzutów w stosunku do osób, które zdefraudowały miliony, ale stawia się przed sądem zdesperowaną, ciężko pracującą za grosze położną, która nie zdążyła nawet ukraść dwóch tysięcy, bo przestraszona uciekła z banku.

To wreszcie film o nieśmiałym budzeniu się kobiety, która nagle rozumie, że ona sama też się liczy. I może po raz pierwszy w życiu powie mężowi, żeby sam sobie zrobił herbatę.

Anna Jadowska zrobiła film najskromniejszy z możliwych, a przecież wstrząsający. Ze znakomitymi zdjęciami mieszkającej w Szwecji polskiej operatorce Ity Zbronec-Zajc. Przede wszystkim jednak nie byłoby „Kobiety na dachu” bez Doroty Pomykały. Takie kreacje – ciche, a przecież pełne prawdy i tragizmu

– nie rodzą się na kamieniu. Aktorka dostała za tę rolę nagrodę w Gdyni i w Nowym Jorku. Jednak największą nagrodą jest to, że jej nieruchomej twarzy, jej kruchej sylwetki, jej wycofania – nie można wyrzucić spod powiek.

Ten film trafia na ekrany w bardzo specjalnym momencie: podczas galopującej inflacji, podnoszonych cen gazu i prądu. Dla wielu ludzi obecna chwila może okazać się dramatyczna. I trzeba o tym pamiętać.

A dach? W pierwszej scenie, zanim jeszcze zaczyna się opowieść, kobieta stoi na jego skraju. Cofnie się czy zrobi krok do przodu?

/©©

Barbara Hollender

„Kobieta na dachu”, reż. Anna Jadowska, dystr. Kino Świat

GOŚĆ „PLUSA MINUSA” POLECA

WSZYSTKIE
STRZELONE GOLE

MAREK LASKY / REPORTER

GRZEGORZ KALINOWSKI
dziennikarz sportowy
autor kryminałów

Dobrych książek i filmów o piłce nożnej nie brakuje. Są wśród nich biografie, reportaże, powieści obyczajowe, a nawet futbolowe kryminały.

Konczący się mundial jest pełen niespodzianek i kontrowersji. Jeśli zachęcił kogoś do piłki nożnej, to mogę polecić kilka pozycji książkowych i filmowych opowiadających o futbolu. Przede wszystkim będzie to książka, bez której wielu nie wyobraża sobie młodości. To „Do przerwy 0:1” Adama Bahdaja. Wiele osób ją czytało, a jeszcze więcej osób mówi, że czytało, oglądając jedynie serial. To najlepsza książka opowiadająca o młodości i o graniu w piłkę. Myślę, że autor, posiłkując się literaturą młodzieżową, opisał przekrety w dorosłej piłce lat 50.

Książka, która dotyka futbolowego fanatyzmu, jest „Futbolowa gorączka”. Fantastyczna pozycja Nicka Hornby’ego, jednego z moich ulubionych pisarzy. To autobiograficzna opowieść, w której twórca łączy pasję do piłki i muzyki rockowej. Pierwsza scena wygląda następująco. Hornby uprawia seks, a zaraz po tym rozmyśla, jakiego gola chciałby zobaczyć ponownie.

Z biografii polecam „Deynę. Geniusza futbolu, księcia nocy” Wiktora Bołby, nieżyjącego już kustosa muzeum Legii. Choć był wierny kościołowi Deyny, nie napisał jego hagiografii, jedzie wręcz po bandzie, opowiadając o poza-boiskowych problemach i seksualnych ekscesach geniusza futbolu. Geniusza z sukcesami, a nie piłkarza, który się tylko

dobrze zapowiadał. Szczególną pozycją sportową jest „Przez Wembley do Monachium” Wiktora Osiatyńskiego, a także jego „Wimbledon”. Dwa genialne reportaże. Są też i futbolowe kryminały, polecam „Środkowy napastnik zginie o zmierzchu” Manuela Montalbana, „Kiedy znów zabije” Mariusza Czubaja i nieskromnie moją „Grę w oczko”.

Mimo oklepanego schematu, w myśl którego więźniowie rozgrywają zawody ze strażnikami, wciąż broni się film „Ucieczka do zwycięstwa” (1981), z plejadą gwiazd piłkarskich i aktorskich, poczynawszy od Deyny i Bobby’ego Moore’a po Sylvestra Stallone’a w bramce. Podobnie jest z „Meczem ostatniej szansy” (2001), to obraz prosty i brutalny, jak futbol byłego zawodnika Vinniego Jonesa, który gra tam główną rolę. Wspaniały jest film biograficzny „Kurt Landauer prezes FC Bayern” (2014). To historia Żyda, który wbrew nazistom zbudował wielki Bayern. Najwięcej prawdy o futbolu jest za to w fabularyzowanej biografii trenera Briana Clougha „Przeklęta liga” (2009). To opowieść o prowadzeniu zespołu i zmaganiu się trenera z zawodnikami. Absolutnie najlepszy film, jeśli chodzi o tę tematykę. I oczywiście oczywistość: na koniec polecam „Piłkarskiego pokera” Janusza Zaorskiego (1988).

/©©

not. luko

Grzegorz Kalinowski (ur. w 1966 r.) – dziennikarz i komentator sportowy, a także autor książek sensacyjno-kryminalnych, m.in. cyklu „Śmierć frajerów”, „Gra w oczko” i „Granatowy 44”. Jego ostatnia powieść to sensacja retro „Ddzyskany 46” opublikowana przez wydawnictwo Skarpa Warszawska

KSIĄŻKA

GATUNEK SZKODLIWY I ZABOBONNY

W felietonach słynnej, choć anonimowej, pisarki znajdziemy sporo krytyki pod adresem znudzonej cywilizacji.

W 2017 r. redakcja „Guardiana” zgłosiła się do Eleny Ferrante z prośbą poprowadzenia cotygodniowej rubryki. Chodziło o stworzenie przestrzeni, gdzie autorka słynnej powieściowej tetralogii „Genialna przyjaciółka” dzieliłaby się z czytelnikami przemyśleniami na tematy bieżące i refleksjami podpowiadany przez pisarski instynkt. Włoszka podsycająca zainteresowanie swoją twórczością za sprawą swej anonimowości (skrzętnie strzeże życia prywatnego), zgodziła się, by – jak sama stwierdziła – regularnie „opuszczać wiadro do ciemnej studni głowy”.

I tak czytelnicy dostali kilkadziesiąt felietonów. Kilka wątków wybijają się na czoło. Przede wszystkim zaniepokojenie stanem planety i dewastacyjnymi

skłonnościami ludzi powodującymi liczne szkody. Niezwykle negatywnie autorka wypowiada się o naszych nawykach i sposobach radzenia sobie z nudą. Pisze o chaosie informacyjnym, który dezintegruje nasze punkty widzenia i powoduje nawrót zabobonnego myślenia, a przesady uznajemy za samodzielne opinie.

W felietonach znajdziemy też wiele przemyśleń związanych z pisarskich fachem. O tłumaczach czytamy, że są być może jedynymi dzisiaj bohaterami, gdyż za ich sprawą możemy opuścić kontekst, który zderzało nasze urodzenie, językowa przynależność. Mówi także o tym, że literatura i fikcja jest potrzebna, gdyż zabezpiecza nasze prawdy. Bo choć wszystko jest możliwe, a człowiek ciągle się stwarza na nowo, to trzeba dbać o porządek w bałaganie naszych obaw i resentymentów. /©© Bartosz Suwiński



„Przygodne rozważania. Felietony”, Elena Ferrante, tłum. Lucyna Rodziewicz-Doktor, ilus. Andrea Ucin, wyd. Sonia Draga

KSIĄŻKA

BĘBNÓW UCZYŁ SIĘ SAM

Książka „Storyteller” zaczęła się od historyjek na Instagramie. Dave Grohl chciał podzielić się z fanami niedorzecznymi momentami z przeszłości.

Zyciowe perspektywy młodego Dave’a wyglądały średnio. Nie miał serca do nauki ani matematyki, ale kochał muzykę. Będąc nastolatkiem, zauważył na tablicy w sklepie muzycznym ogłoszenie o przesłuchaniu do zespołu Scream. Był perkusistą samoukiem, który odbył ledwie jedną kilkugodzinną lekcję gry. Od ojca usłyszał: „lepiej, żebyś był dobry”, i ruszył w trasę po Ameryce. Przez całe swoje szalone życie miał w głowie jego słowa, że to „wszystko nie będzie trwało wiecznie”. Grohl potraktował je jako wyzwanie i robił wszystko, żeby jednak trwało.

„The Storyteller. Opowieści o życiu i muzyce” to autobiografia znakomitego muzyka, perkusisty Nirvany i założyciela Foo Fighters, w którym stał się gitarzystą i wokalistą. Przede wszystkim jednak

skromnego i pełnego dystansu do siebie człowieka.

To nie jest książka o Nirvany, ale zbiór anegdot i przygód artysty. Wszystko zaczęło się od krótkich historyjek zapisywanych na Instagramie. Grohl przyznał, że chciał podzielić się z fanami najbardziej niedorzecznymi momentami z przeszłości. Podczas pandemii nie miał zwyczajnie co robić i w efekcie napisał książkę, która – jak sam podkreśla – jest zbiorem wspomnień z życia przeżywanego bardzo głośno. Od wczesnej młodości na przedmieściach Waszyngtonu, do wyruszenia w trasę w wieku 18 lat i całej muzycznej przygody, która potem nastąpiła. Grohl utrzymuje, że w dalszym ciągu jest tym samym chłopakiem z gitarą i marzeniami, który patrzy na świat z buntowanymi oczami niegrzecznego dziecka. /©© Natalia Miller



„The Storyteller. Opowieści o życiu i muzyce”, Dave Grohl, Wydawnictwo Marginesy, tłum. Adam Zdrodowski

GRA

WYSPA MYŚLIWYCH

Jedna z najlepszych darmowych gier sieciowych przeszła lifting i wygląda lepiej niż kiedykolwiek!

Przez kilka długich lat „Fortnite” utrzymywał się w czołówkach rankingów popularności. W tym roku zainteresowanie zaczęło jednak spadać; graczom przeszkadzała coraz bardziej archaiczna grafika i nietrafione rozwiązania wdrożone przez twórców. W grudniu program zmienił się jednak nie do poznania i dzięki „Rozdziałowi 4” znów trafił na szczyty list przebojów.

Sprawdzony model rozrywki pozostał: w podstawowym trybie stu graczy łąduje na wyspie i zaczyna na siebie polować. Tyle że wyspa wygląda teraz zupełnie inaczej. Malownicze łąki porośnięte kwiatami, bujne gaje obłożone jesiennymi liśćmi, osady wzniesione wokół kamiennych fortec i cytadel, wreszcie olbrzymia strefa zimowa z zamrożonymi jeziorami ciągnącymi się kilometrami – jest czym się zachwycić!



Nowością są motocykle. Terenowe jednoślady ułatwiają przemieszczanie się i sprawiają mnóstwo frajdy. Są skoczne i wygodniejsze od dostępnych dotąd samochodów. Sprawdza się również system rozszerzeń rzeczywistości dający graczowi dodatkowe możliwości na czas jednego starcia. Opcji jest kilkadziesiąt, od większych magazynów przez ograniczenia zużycia paliwa przez pojazdy po specjalne obuwie umożliwiające wysokie skoki.

Drobnych zmian jest więcej, gdyż „Rozdział 4” przyniósł również nowe rodzaje broni, regenerujące klejopagody, możliwość zestrzeliwania dronów z zaopatrzeniem, zajmowania terytoriów. A na początku przyszłego roku w programie pojawi się sam Geralt z Rivii. Słynny wiedźmin będzie jedną z postaci do odblokowania! /©© mza

„Fortnite: Rozdział 4”, Epic Games, platformy: PC, PS4, PS5, X1, XSX

SERIAL

SZKOŁA DLA DZIECI MAKABRYCZNYCH

Niespodzianki nie było – wyprodukowany przez Timę Burtona serial „Wednesday” okazał się rozrywką na wysokim, choć bardzo mrocznym poziomie.

Musiło się tak skończyć. Tim Burton uchodzi przecież za miłośnika czarnego humoru oraz specjalistę od dziwolągów i odludków. W kinie debiutował filmem o Pee-Wee Hermanie, dorosłym dziecku będącym alter ego kontrowersyjnego amerykańskiego komika Paula Reubensa. Publiczność oczarował, ale też trochę zniesmaczył; wielu widzów nie wiedziało, jak traktować groteskowego bohatera. W kolejnych filmach, „Soku z żuka”, a zwłaszcza „Edwardzie Nożycorękim”, Burton rozwijał te fascynacje. Potrafił wydobyć z samotników piękno i uczynić atrakcyjnymi na tle kolejnych upiornych wersji naszego świata. Rodzina Addamsów wydawała się dla niego stworzona.

Wymyślił ją tuż przed drugą wojną światową Charles Addams, jeden z ilustratorów współpracujących z „New York Timesem”. Narysował satyryczną, mroczną wersję przeciętnej amerykańskiej rodziny. Głową domu był dość prosty, korpulentny Gomez, całkowite przeciwieństwo szczupłej i dystygowanej Morticii. Obydwój w swobodny sposób wychowywali dwójkę dzieci – Pugsleya i Wednesday. Przekazali im w genach skłonność do makabry i olbrzymie pokłady czarnego humoru. Tę kompanię z czasem uzupełnili lisy i garbaty wuj Fester, lokaj Lurch – do złudzenia przypominający monstrum Frankenstein – wreszcie żywa, choć pozbawiona reszty ciała ręka. Ot, pokłosie niezwykle popularności horrorów w czasach tuż po wielkim kryzysie.

Dla małego ekranu pierwsza odkryła ich telewizja ABC, która w latach 60. nakręciła przebojowy serial. Dekadę później konkurencyjna NBC przygotowała serię kreskówek o Addamsach. To właśnie na tych



produkcjach wychował się Tim Burton i dlatego też był głównym kandydatem do wyreżyserowania filmu kinowego. Ostatecznie wybrał pracę na planie „Powrotu Batmana”, a upiorną rodzinę przeniósł na wielki ekran Barry Sonnenfeld. Burton w jednym z wywiadów obiecał, iż kiedyś zajmie się Addamsami. Pewnie nie spodziewał się, że poczeka na to aż 30 lat.

Serial „Wednesday” koncentruje się na nastoletniej latorośli Addamsów, ponurej, choć zdolnej dziewczynie, która wylatuje z każdej szkoły, do której trafi. Zrozpaczeni rodzice postanawiają zapisać ją do placówki, którą sami ukończyli – akademii Nevermore. Już od pierwszych scen przypomina ona Hogwart z serii o Harrym Potterze. Uczniowie noszą mundurki i podzieleni są na kasty (w tym syren i wilkołaków!), a w okolicy dzieje się coś bardzo niepokojącego... Wednesday to postać, której nie sposób nie polubić dzięki jej inteligencji. Każda jej wypowiedź skrzy się sarkazmem i jest dowodem trzeźwego spojrzenia na życie. Dziewczyna celnie punktuje wszelkie absurdalności rzeczywistości i sprawdza się też jako nastoletnia detektyw. Szybko bowiem wpada na trop intrygi sięgającej czasów, gdy w okolicy palono czarownice. Serial staje się więc filmem grozy, komedią i kryminałem, czerpiąc z każdego z tych gatunków co najlepsze.

Wrażenie robi też formalna strona widowiska. Mroczne, gotyckie wnętrza Nevermore z sekretnymi komnatami mają swój klimat, podobnie jak odgrywane na wiolonczeli kompozycje Vivaldiego czy Metalliki. Niemalże znacznie mają też kolory, które budują nastrój wielu scen i podrzucają kolejne tropy interpretacyjne. Nie przez przypadek połowa pokoju Wednesday skąpana jest w czerniach, podczas gdy druga jego część, należąca do jej zakochanej w social mediach współlokatorki, mieni się wszystkimi kolorami tęczy.

Tim Burton otrzymał pełną swobodę artystyczną i stworzył produkcję w swoim stylu. I właśnie za ten styl pokochali ją widzowie. /©©

Michał Zacharzewski, zdalaodpolityki.pl

„Wednesday”, twórca: Tim Burton, dystr. Netflix

POLSKIE DZIEDZICTWO POTRZEBUJE OPIEKUNÓW

ROZMOWA Z DOROTĄ JANISZEWSKĄ-JAKUBIAK, DYREKTOR INSTYTUTU POLONIKA

W ciągu pięciu lat działalności zrealizowaliśmy 530 projektów w 20 krajach. Jesteśmy w miejscach, gdzie Polacy emigrowali, ale też tam, gdzie są do dzisiaj, m.in. w Ukrainie, na Litwie, Łotwie, we Francji, w Gruzji.

**MATERIAŁ POWSTAŁ WE WSPÓŁPRACY
Z INSTYTUTEM POLONIKA**

Narodowy Instytut Polskiego Dziedzictwa Kulturowego za Granicą POLONIKA ma już pięć lat. Co jego utworzenie zmieniło w dziedzinie ochrony zabytków?

Myślimy strategicznie i znacząco usprawniamy prowadzenie projektów, zwłaszcza konserwatorskich – wieloletnich, wielobranżowych i wymagających stabilnego finansowania. Inicjujemy i wspieramy projekty naukowe, dotyczące często nieznanych obiektów polskiego, materialnego dziedzictwa kulturowego pozostającego poza krajem. Ważne, by ten temat był stale obecny w edukacji dzieci i młodzieży. Stąd tak wiele naszych działań nastawionych jest na upowszechnianie wiedzy.

Ile projektów zostało zrealizowanych?

Od roku 2018 było ich aż 530 w 20 krajach (niektóre nadal się toczą). Borykaliśmy się z pandemią, a obecnie ze skutkami agresji rosyjskiej na Ukrainę. Pomimo to udało się kontynuować niemal wszystkie projekty.

Czy środki na działania Instytutu zwiększały się?

Wyjściowym budżetem dla Instytutu była, zaplanowana w 2017 r., kwota 13 mln zł. Teraz nasz budżet podstawowy wynosi ok. 16 mln zł rocznie. Do tego należy doliczyć stale zwiększające się środki z programu dotacyjnego Ministra Kultury i Dziedzictwa Kulturowego, którym zarządzamy, oraz milion złotych, przeznaczany na nasz program grantowy „Polskie dziedzictwo kulturowe za granicą – wolontariat”. Stworzyliśmy narzędzie dla osób, które nie są specjalistami, ale mają potrzebę i chęć ratowania zabytków. Beneficjenci programu mają obowiązek przejść odpowiednie szkolenia z zakresu ochrony zabytków, a pod opieką specjalistów uczą się dobrych praktyk tak, by nie szkodzić obiektom. W ramach „Wolontariatu” dajemy możliwość organizowania praktyk dla adeptów sztuki konserwatorskiej i osób inwentaryzujących zabytki. Pojawiały się nawet działania na pograniczu dziedzictwa kulturowego i przyrodniczego – ratowanie dendrarium założonego przez Ludwika Młokosiewicza w Lagodekhi w Gruzji.

Z których zrealizowanych projektów przez Instytut Polonika najbardziej jest pani dumna?

Cieszę się, że przyspieszyły prace w lwowskich świątyniach i że wreszcie mogliśmy rozpocząć renowację największych kaplic na cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie. Po romantycznej kaplicy Krzyżanowskich, zwanej „kaplicą z chimerami”, przyszedł czas na mauzoleum Barczewskich, czyli kawałek Paryża we Lwowie, bo jest ono wzorowane na kościele Sacré-Cœur z dzielnicy Montmartre. W tym roku kontynuujemy prace w kaplicy Dunin-Borkowskich, która ma formę greckiej świątyni – projekt trudny, bo realizowany w warunkach wojennych.

Obiekty zabytkowe, które były odnawiane, znajdują się poza granicami Polski, jakie znaczenie dla naszego dziedzictwa ma fakt, że to właśnie my o nie dbamy?



Dorota Janiszewska-Jakubiak

Nie można opowiadać o historii Polski bez dziedzictwa dawnych ziem wschodnich Rzeczypospolitej i spuścizny związanej z emigracją i migracją Polaków. Ten aspekt musi być obecny w edukacji i w naszej pamięci zbiorowej, również dlatego, że wiele miejsc wymaga opieki. Bardzo nam zależy, aby w momencie kiedy prowadzone są nasze projekty, była podejmowana współpraca nie tylko ze specjalistami z danego kraju, ale by angażowały się w nasze działania władze samorządowe i lokalni mieszkańcy, bo wtedy to dziedzictwo zyskuje stałych opiekunów rozumiejących jego znaczenie nie tylko dla kultury polskiej.

Tak dzieje się w Olyce w Ukrainie, gdzie odbudowa kolegiaty w dawnym gnieździe rodowym Radziwiłłów, spowodowała olbrzymie zainteresowanie społecznością lokalnej. Teraz władze Ukrainy przymierzają się do renowacji zamku, w którym do niedawna był szpital.

To ważne, że finansowane przez państwo polskie prace w kolegiacie, którą od lat opiekuje się Fundacja Dziedzictwa Kulturowego, stały się impulsem do szerszego zainteresowania Olyką. Ma w tym też udział nasz Instytut, który finansował renowację fasady tej barokowej świątyni. W przyszłości możemy też służyć wsparciem eksperckim przy renowacji zamku. Dziś coraz więcej osób zauważa, że to niewielkie wołyńskie miasteczko, mimo piętna, jakie

odcisnęły na nim czasy władzy sowieckiej, ma ogromny potencjał.

Instytut prowadził projekty na terenie Białorusi. Dzisiaj chyba z powodu panującego tam reżimu nie jest to możliwe?

Mieliśmy plany, ale sytuacja polityczna sprawiła, że z naszych projektów konserwatorskich został zrealizowany tylko jeden – odnowienie małego muzeum, czyli blisko 100-letniego wiejskiego domu rodziny Wydrzyckich w Starych Wasiliszkach, w którym młodość spędził Czesław Niemen. Planowaliśmy np. prace na cmentarzu Farnym w Grodnie, ale musieliśmy je wstrzymać.

Czy po wybuchu wojny w Ukrainie zmieniły się plany związane ze wsparciem dla tamtejszych zabytków?

Dostosowujemy się na bieżąco do sytuacji. Chcemy utrzymać prace konserwatorskie, zwłaszcza w tych obiektach, w których już się toczą – w świątyniach we Lwowie, Berdyczowie, Olyce, na zabytkowych cmentarzach, kontynuować renowację studni św. Jana z Dukli we Lwowie i współpracę z Lwowską Narodową Galerią Sztuki przy kaplicy Boimów.

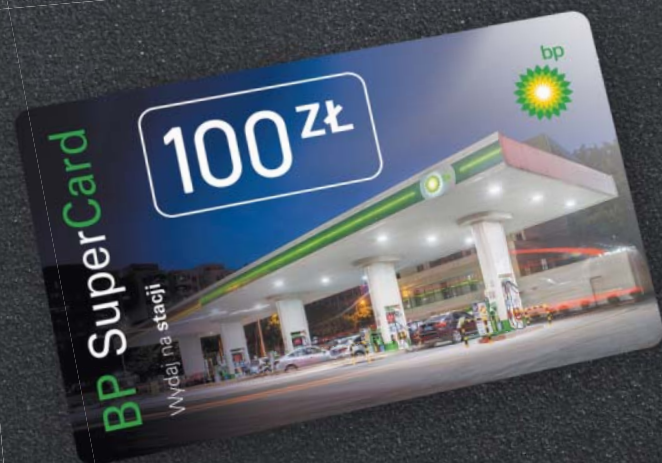
Jakie działania podejmował Instytut Polonika w związku z koniecznością ochrony zabytków w Ukrainie, które też znalazły się na celowniku rosyjskich agresorów.

Od 24 lutego i eskalacji działań wojennych byliśmy w kontakcie z ukraińskimi kolegami i ustalaliśmy, jakie działania są najpilniejsze. W pierwszej kolejności były to zabezpieczenia przeciwpożarowe. Skupiliśmy się na tym, aby jak najszybciej dostarczyć sprzęt m.in. do lwowskich świątyn i do obiektów drewnianych, w tym do cerkwi objętych polsko-ukraińskim wpisem na listę światowego dziedzictwa UNESCO. Przekazaliśmy systemy gaśnicze oraz materiały do zabezpieczania zabytków. Wielu naszych współpracowników – polskich i ukraińskich konserwatorów – uczestniczyło w tych działaniach. We Lwowie, gdzie od lat współpracujemy z urzędem miejskiego konserwatora zabytków, kierowanym przez Lilię Onyszczenko-Szwec, wciąż możemy zobaczyć osłonięte witraże i figury przy świątyniach czy konstrukcje metalowe chroniące przed odłamkami wolno stojące rzeźby i pomniki, np. kolumnę Adama Mickiewicza. Szczęśliwie żaden z ponad 200 obiektów, które zabezpieczaliśmy, nie został zniszczony; podczas rosyjskiego ostrzału uszkodzeniu uległ jedynie kościół w Brzozdowcach. Ale lista strat ukraińskiego dziedzictwa kulturowego stale się wydłuża.

Dzięki wykorzystaniu nowoczesnych technologii – skaningu laserowego 3D – poddano cyfryzacji wiele obiektów, w tym wpisanych na listę światowego dziedzictwa UNESCO.

Technologia skaningu laserowego 3D była już przez nas wcześniej wykorzystywana, m.in. w Katedrze Łacińskiej i kaplicy Boimów. Dzięki współpracy ze specjalistami z Polski i Ukrainy ostatnio wykonano skaningu m.in. kolegiaty w Żółkwi, fary w Drohobyczu i cerkwi znajdujących się na liście UNESCO. Mam nadzieję, że w przyszłości ta dokumentacja przyda się wyłącznie podczas prac konserwatorskich. Zostanie udostępniona stronie ukraińskiej.

rozmawiał Marek Kozubal



KUP **PRENUMERATĘ** W CENIE 209ZŁ I ODBIERZ **BON**

na dowolne zakupy na stacjach BP



ZAMÓW NA LITERIA.PL Z BEZPŁATNĄ DOSTAWĄ.

Forbes
PRENUMERATA

JUSTIN FENTON

Poszkodowani często mieli przy sobie narkotyki lub broń, a że funkcjonariusze kłamali na temat szczegółów zajścia albo zgarniali część skonfiskowanych pieniędzy dla siebie? Cóż, w Baltimore nikt nie grał czysto, a cel usprawiedliwiał środki.



CHIP SOMODEVILLA/GETTY IMAGES

Zamieszki w Baltimore wybuchły po tym, gdy z powodu brutalnej interwencji policji zmarł młody Afroamerykanin Freddie Gray, 27 kwietnia 2015 r.

TRZEBA BYŁO WŁĄCZYĆ ŚWIATŁA

List dotarł do kancelarii sędziego federalnego w Baltimore latem 2017 roku. Wysłano go z Federalnego Zakładu Karnego McDowell, położonego na odludziu w stanie Wirginia Zachodnia, ponad sześć godzin jazdy z Baltimore. Na froncie koperty osadzony umieścił dopisek: „Przeżyłka specjalna”.

Umar Burley napisał list na kartce wyrwanej z zeszytu, starannym, zaokrąglonym pismem, każde „t” przekreślając fałistą linią. Burley, więzień numer 43787-037, po raz drugi zwracał się do sędziego, błagając o przydzielenie mu obrońcy z urzędu. Jego dotychczasowy adwokat odszedł na emeryturę, a próby skontaktowania się z innym pozostały bez odpowiedzi.

„Czy może pan sobie wyobrazić, jak trudno mi tu odsiadywać karę za przestępstwo, którego nie popełniłem, i na własną rękę dochodzić prawdy i sprawiedliwości?” – napisał Burley.

Kilka miesięcy wcześniej Burley siedział w sali rekreacyjnej więzienia fede-

ralnego w Oklahomie i czekał na transport do McDowell, kiedy ktoś zawołał do niego: „Mały Baltimore! Mały Baltimore! Widziałeś to?”. Na ekranie telewizora pojawiły się wiadomości z domu: ośmiu policjantów z Baltimore oskarżono o okradanie obywateli i mataczenie w ich sprawach. Funkcjonariusze dokonali zarzucanych im czynów, nie zważając na to, że ich wydział był wówczas objęty szeroko zakrojonym dochodem, które wszczęto, gdy wskutek obrażeń odniesionych podczas zatrzymania zmarł młody czarny mężczyzna. Ustalenia wywołały szok, ale tak naprawdę mało kogo zdziwiły: zarzuty o rozmaite nadużycia – od nielegalnych rewizji osobistych po złamane kości – padały pod adresem policji miejskiej od lat. Jednak w wielu przypadkach brakowało niezbitych dowodów, a skargi pochodziły od osób z bogatą kartoteką, mających wszelkie powody, by rzucić fałszywe oskarżenia. Tego typu sprawy zazwyczaj rozstrzygano na korzyść policjantów. Skoro układ sił był tak niekorzystny, większość ofiar

nawet nie próbowała cegokolwiek zgłaszać. Zresztą poszkodowani często mieli przy sobie narkotyki lub broń, a że funkcjonariusze kłamali na temat szczegółów zajścia albo zgarniali część skonfiskowanych pieniędzy dla siebie? Cóż, w Baltimore nikt nie grał czysto, a cel usprawiedliwiał środki.

Ale teraz sprawa podsłuchów rzucała nowe światło na kulturę pracy w tej formacji, a prokuratura federalna, która postawiła zarzuty, poszukiwała kolejnych ofiar. Umar Burley miał zaś pewną historię do opowiedzenia.

Historia Burleya rozpoczyna się rano 28 kwietnia 2010 roku. Oddział policjantów niemundurowych stawiał się na zorganizowany w trybie doraźnym apel na ulicy. Sierżant, który się trochę spóźnił, kazał im czekać na miejscu. Ale detektywa Wayne’a Jenkinsa świerbiły ręce. Powiedział pozostałym, że w rejonie Belle Avenue w północno-zachodniej części Baltimore „gotuje się” od doniesień o przestępstwach. – Jedziemy – powiedział Jenkins.

Wszędzie go było pełno

Niektórym policjantom można rozkazać, by stali pod słupem przez dziesięć godzin. Zajrzysz do nich dziewięć godzin później, a oni dalej będą tam stali. (...) Innych jednak ciągnie do akcji. (...) To właśnie na tych „dziesięciu procentach” polegają dowódcy Wydziału Policji w Baltimore (Baltimore Police Department, BPD).

To spośród tych funkcjonariuszy najczęściej rekrutują się członkowie jednostek niemundurowych, z uwagi na agresywne metody działania nazywani „bokserami” albo „szarpaczami”. Funkcjonariusze w cywilu często działają niejako w cieniu wydziału. Ich pracy nie należy mylić z operacjami pod przykrywką, gdy policjanci przybierają inną tożsamość i przenikają do organizacji przestępczej. Niemundurowi, jak wskazuje nazwa, do pracy chodzą w cywilnych ubraniach, a nie w mundurach. Jeżdżą nieoznakowanymi pojazdami. Zazwyczaj nie są przypisani do konkret-

ných posterunków, ani nie mają obowiązku reagować na zgłoszenia alarmowe. Zamiast tego idą w teren i wypatrują nielegalnej działalności: handlarzy narkotyków albo osób, które pod podejrzanymi wypukłościami na ubraniach mogą ukrywać broń. (...) W całym kraju to właśnie w tego rodzaju oddziałach często dochodziło do skandali, ale przez długie lata kierujący policją uważali je za kluczowe w walce z przestępczością – to „wikingowie”, którzy wyruszają na wyprawę i wracają z „łupem”, jak to później określił jeden z naczelników z Baltimore.

Jenkins, biały eksmarine, sprawiał wrażenie, że wszędzie go pełno, a bojowe nastawienie utorowało mu drogę do najbardziej elitarnych jednostek BPD. W 2010 roku, po niecałych siedmiu latach służby, Jenkins dostał się do nowego oddziału „recydywy”, czyli starannie dobranej grupy funkcjonariuszy, których zadaniem było ściganie najgorszych przestępców w Baltimore. (...)

Skierowali się do Grove Park, położonej na granicy miasta i hrabstwa zielonej dzielnicy domów jednorodzinnych i konstelacji apartamentowców, które były połączone ścieżkami i obsadzone drzewkami wiśniowymi. Okolica zdecydowanie różniła się od gęsto zabudowanych, pełnych pustostanów dzielnic położonych bliżej centrum Baltimore, ale to nie oznacza, że była wolna od przestępczości. Funkcjonariusze, jak później odnotowali w raporcie dla sądu, ze swoich nieoznakowanych samochodów zauważyli Umara Burleya, siedzącego w acurze na wysokości numeru 3800 przy Parkview Avenue. Podszedł do niego jakiś mężczyzna. Niósł coś, co wyglądało na gotówkę, i wsiadł do auta. „W tym momencie, na podstawie przeszkolenia i doświadczenia zawodowego, uznałem, że prawdopodobnie dochodzi do transakcji narkotykowej” – napisał Jenkins.

Jenkinsowi towarzyszył detektyw Ryan Guinn, pół Irlandczyk, pół Wietnamczyk. Jego wygląd sprawiał, że ludzie w dzielnicach, gdzie pracował, nazywali go „Portoryko Yo”. Guinn sięgnął po krótkofalówkę.

– Hej, Sean – powiedział niskim, spokojnym głosem, zwracając się do Seana Suitera, członka oddziału jadącego w innym samochodzie. – Zatrzymamy tego accorda.

– Przyjąłem. Jadę za wami – odparł Suiter.

Pomoc już nadchodzi

Funkcjonariusze przystąpili do zatrzymania. Jenkins i Guinn zajęli drogę Burleyowi, a Suiter stanął za nim. Jenkins napisał w dokumentach, że włączyli światła awaryjne, a ich odznaki były „wyraźnie widoczne”. Powiedział, że funkcjonariusze zauważyli ruch w pojeździe i kazali mężczyznom pokazać ręce. Guinn wyskoczył z auta, wyciągnął broń i powiedział Burleyowi, że ma się nie ruszać. W tym momencie Burley wyminął samochody policyjne i zniknął z pola widzenia.

– Hej, mamy tu uciekiniera – rzucił Guinn przez radio do pozostałych policjantów.

W tle słychać było głos Jenkinsa: „Przy Seton Park Apartments. Czarna acura”. Wywołał tablicę rejestracyjną: „Jeden-Filip-Igrek-Karol-Zero-Osiem”.

Pościg trwał niecałą minutę. Burley zdążył przejechać niespełna półtora kilometra, gdy policjanci usłyszeli głośny

huk. Brzmiało to jak wybuch bomby, a kiedy dotarli na skrzyżowanie ulic Belle i Gwynn Oak, zobaczyli wodę tryskającą z uszkodzonego hydrantu przeciwpożarowego. Przedni zderzak oderwał się od samochodu, a maska była zmiażdżona. Funkcjonariusze zastanawiali się, jak poważnie ranni są mężczyźni w aucie, gdy ci nagle z niego wyskoczyli. Guinn ruszył w pościg za pasażerem, Brentem Matthewsem, a Jenkins i Suiter zajęli się Burleyem.

Ktoś z przechodniów zadzwonił pod numer alarmowy i zgłosił zdarzenie, w którym na pierwszy rzut oka nie brali udziału policjanci. (...)

Suiter złapał Burleya jakieś piętnaście metrów od miejsca kraksy.

– Po co uciekałeś? – zapytał według Burleya Suiter. – Nie mogłeś poczekać i sprawdzić, o co nam chodzi?

– Trzeba było włączyć światła – odparł Burley.

Guinn złapał pasażera i wywiązała się szamotanina. Udało mu się obezwładnić mężczyznę i w kajdankach odprowadził go na miejsce zdarzenia.

– Towar jest w samochodzie – powiedział Guinn do Jenkinsa.

Suiter przeszukał samochód Burleya wraz z funkcjonariuszem z patrolu i na podłodze znalazł torebkę zawierającą trzydzieści dwa gramy heroiny.

Obecni na miejscu zajścia nie od razu zauważyli pełną skalę szkód. Wkrótce jednak zdali sobie sprawę, że huk, który słyszeli policjanci i mieszkańcy, nie był wynikiem kolizji z hydrantem. Ten dźwięk wydał samochód Burleya w zderzeniu z chevroletem monte carlo, którym starsze małżeństwo przejeżdżało przez skrzyżowanie. Auto zostało wyrzucone w powietrze i przeleciało nad rzędem zarośli.

Jeden z mieszkańców pobliskich budynków właśnie robił sobie śniadanie, gdy nagle jego dom zatrzęsł się w posadach. Wybiegł więc na zewnątrz i znalazł ranną parę. Mężczyzna miał krwawiącą ranę na głowie, a kobieta wzywała pomocy.

– Trzymajcie się, pomoc już nadchodzi – powiedział im świadek.

Nie było żadnych narkotyków

Elbert Davis Sr., lat osiemdziesiąt sześć, i jego żona, osiemdziesięcioletnia Phosa Cain, postanowili tego ranka odwiedzić jedno z dziesięciorga swoich dzieci. Karetka zabrała ich do mieszczącego się w śródmieściu University of Maryland Shock Trauma Center. Guinn pojechał za nimi. Jak później powiedział, stał właśnie przy dyżurce pielęgniarek, gdy usłyszał, że u Davisa doszło do zatrzymania akcji serca. Poszedł do sali, gdzie leżała Cain, i chwycił ją za rękę. Starsza pani zapytała go, czy z jej mężem wszystko w porządku.

– Robią, co w ich mocy – odparł Guinn, chcąc ją jakoś uspokoić do czasu, aż lekarze prześlą jej wieści.

Na miejscu wypadku Joyce Fuller, sześćdziesięciodwulatka, w której dom uderzył samochód, pomstowała na uciekających z miejsca zdarzenia mężczyzn.

– Wzięłabym tych wszystkich dilerów, wsadziła do samolotu i wysłała do Iraku – powiedziała dziennikarzom. – Tamci państwo w niczym nie zawinili. To takie niesprawiedliwe.

Czterdziestoletni Burley wracał zatem do więzienia. Za krótkimi spędził już wiele lat i zdążył zgromadzić bogatą kartotekę narkotykową, zapoczątkowaną, gdy jako trzynastolatek wziął na sie-



W miniseriale HBO „We Own This City” („Miasto jest nasze”) w reżyserii R. M. Greena, nakręconym na podstawie książki Justina Fentona, postać agresywnego sierżanta Wayne'a Jenkinsa odtworzył **Jon Bernthal** (na zdjęciu)

bie zarzuty za ukochanego wujka. Swego czasu udała mu się też rzadka sztuka, mianowicie uniknął ściganego z oskarżenia federalnego zarzutu o posiadanie broni: w 2007 roku został zatrzymany pod pretekstem „przekroczenia dopuszczalnego prawem poziomu przyciemnienia szyb”. Funkcjonariusz, który dokonał aresztowania, powiedział, że wyczuł od Burleya alkohol, sięgnął po znajdujący się w samochodzie kubek i zobaczył kolbę pistoletu, która wystawała spod podłokietnika. Według policji Burley i drugi mężczyzna w samochodzie „musieli wiedzieć”, że broń się tam znajduje. Obaj zostali zatem oskarżeni o jej posiadanie. Burley odsiedział prawie półtora roku – nie było go stać na wpłacenie kaucji, trafił więc do federalnego aresztu, po czym wyszedł na wolność, gdy drugi mężczyzna zeznał, że pistolet należał do niego, a sprawa przeciwko Burleyowi została umorzona.

Tym razem Burley został oskarżony nie tylko o posiadanie narkotyków, ale też o nieumyślne spowodowanie śmierci. Do kolizji może i doszło w wyniku wypadku, jednak uciekał przed policją, mając przy sobie narkotyki, dlatego jego działanie uznano za przestępstwo. Oskarżenie o posiadanie narkotyków zostało wniesione na szczeblu federalnym, co stanowiło drugą szansę dla urzędu, który wcześniej umorzył sprawę przeciwko Burleyowi. W oczekiwaniu na proces mężczyzna trafił do aresztu bez możliwości zwolnienia za kaucją. Ale Burley przysięgał obrońcy z urzędu, że tego dnia w samochodzie nie było żadnych narkotyków. Odbierał Matthewsa i razem mieli pojechać na ogłoszenie wyroku w sprawie przeciwko człowiekowi oskarżonemu o zabicie kuzyna Burleya. Burley, którego wcześniej dwukrotnie postrzelono, powiedział, że policjanci zaskoczyli go, gdy zajęli mu drogę z obu stron i wyciągnęli broń. Twierdził, że wpadł wówczas w panikę i uciekł.

Adwokat Burleya powiedział sędziemu, że jego klient kwestionuje „znaczną część oświadczenia detektywa Jenkinsa dotyczącego uzasadnionej przyczyny”. Powiedział, że detektywi zatrzymali i aresztowali Burleya bez podstawy prawnej i usprawiedliwili swoje postępowanie znalezieniem narkotyków po fakcie.

„Domniemane spostrzeżenia policjantów, z których wynika, że Afroamerykanin z pieniędzmi w ręku wsiadł do samochodu zaparkowanego w okolicy znanej z przestępczości, nie wyczerpują znamion uzasadnionej przyczyny interwencji” – napisał adwokat Burleya. Burley nie przyznał się do winy i czekał w areszcie na

proces. (...) Tymczasem Jenkins sprawiał wrażenie, jakby miał na punkcie tej sprawy obsesję. Funkcjonariusze mogą podsłuchiwać rozmowy telefoniczne, które osadzeni prowadzą z więzienia, a on nie odpuścił ani jednego telefonu Burleya i jego pasażera, Matthewsa. Obaj opowiadali innym, że heroina została podrzucona.

– Jeśli ta sprawa trafi do sądu, ja nie mogę zeznawać – oznajmił Guinnowi Jenkins.

Zwrot akcji

Poprzeczka, którą Burley musiał pokonać, żeby uzyskać wyrok uniewinniający, okazała się ostatecznie zawieszona zbyt wysoko – był recydywistą, prowadził samochód mimo odebranego prawa jazdy i zabił starszego mężczyznę, uciekając przed policjantami, którzy twierdzili, że znaleźli w samochodzie heroinę. W wyniku ugody sąd federalny skazał go na dziesięć lat odsiadki za posiadanie narkotyków, a w sądzie stanowym, gdzie w grę wchodziły jeszcze zarzuty nieumyślnego spowodowania śmierci, Burley otrzymał kolejne dziesięć lat, czyli maksymalny wymiar kary. Nie było procesu, więc uczestniczący w sprawie funkcjonariusze nie musieli zeznawać przed sądem, a Burley trafił do więzienia.

Siedem lat później w tej, wydawałoby się, zamkniętej sprawie nastąpił zwrot akcji. Burley ponownie znalazł się na sali sądowej w Baltimore. Tym razem został przedterminowo zwolniony, a sędzia federalny podszedł do niego, przeprosił go i uściśnął mu dłoń. Tymczasem Wayne Jenkins miał wkrótce trafić do zakładu karnego na pustyni pod Tucson w Arizonie, gdzie czekała go kara dwudziestu pięciu lat więzienia. A Sean Suiter leżał w zaułku w zachodnim Baltimore z kulą w głowie. /©©

Fragment książki Justina Fentona „Miasto jest nasze. Przestępcy w mundurach – prawdziwa historia korupcji w amerykańskiej policji”, przeł. Kaja Guccio, która ukazała się w listopadzie nakładem wydawnictwa ArtRage, Warszawa 2022

Tytuł i śródtytuły pochodzą od redakcji

Justin Fenton jest amerykańskim pisarzem, dziennikarzem i reporterem kryminalnym. Był jednym z finalistów Nagrody Pulitzera za relacje z zamieszek w Baltimore, które nastąpiły w 2015 roku po śmierci w policyjnym areszcie Freddiego Gray, 25-letniego Afroamerykanina. Na podstawie tej książki HBO wyprodukowało miniserial pod tym samym tytułem („We Own This City”) wyprodukowany przez Davida Simona i George'a Pelecanosa

MRÓZ, STEP I ŻYCZLIWI LUDZIE

MAGDALENA SUCHAN, WOJCIECH KUCIŃSKI

Ponad 1500 km przejechali już uczestnicy sztafety rowerowej, która wyruszyła w listopadzie śladami armii Władysława Andersa.

Pierwszych sześcioro śmiałków wyruszyło w połowie listopada z kazachskiej Astany, by po prawie miesiącu dotrzeć do Aralu nad Morzem Aralskim.

- Mimo przygotowania nie udało się uniknąć problemów z aurą, która okazywała się czasem silniejsza od nas. Najbardziej dokuczliwy był mróz, który wraz z porywistym wiatrem (tzw. buranem) wykradał każdą cząstkę ciepła. Temperatura w ciągu dnia dochodziła do -20 st. C, a prędkość wiatru potrafiła osiągnąć nawet 45 km/h. Dodatkowe wyzwanie stanowiły oblodzone drogi - mówi Wojtek, jeden z członków I etapu sztafety „Jednoślada Andersa”.

- Nasza trasa wiodła różnymi drogami, ale przez większość czasu widzieliśmy step po horyzont lub pola. Gdyby nie tabuny wolno pasących się koni, stada bydła i pozdrawiający nas klaksonami kierowcy, pewnie moglibyśmy zostać mistrzami medytacji - wspomina Wojtek.

Pierwszy etap, wiodący przez Kazachstan, to dopiero początek wyzwania. Trasa wyprawy liczy ponad 15 tys. kilometrów, a w projekcie weźmie udział prawie 90 osób, które w 14 etapach pokonają trasę z Astany do Monte Cassino. Tę samą, którą 80 lat temu przemierzali polscy żołnierze i uchodźcy z ZSRR. Później, już w Mediolanie, sztafeta podzieli się na dwa zespoły. Jeden wyruszy do Edynburga, gdzie trafiła większość żołnierzy 2. Korpusu. Drugi będzie pedałował do Gdańska. Wyprawa zakończy się w dwóch miejscach w lipcu 2023 r.

Jednym z celów wyprawy jest poszukiwanie śladów po przejściu żołnierzy i ich rodzin oraz miejsc pamięci - kontynuacja dzieła patrona honorowego projektu,

historyka, prof. Normana Daviesa. Pierwszym miejscem pamięci, które odwiedzili uczestnicy, było muzeum Akmolińskiego Łagru Żon Zdrajców Ojczyzny, funkcjonującego w latach 1938-1953.

Przejazd przez Kazachstan był też okazją do spotkania z tamtejszą Polonią - m.in. ze Związkiem Polaków w Kazachstanie oraz Stowarzyszeniem Polska Jedność, które otoczyło uczestników przyjacielską opieką. Po drodze rowerzyści odwiedzili też Dom Polski w Pierwomajce. W Ałbasar czekała zaś na nich liczna grupa z polską flagą. Ciepło powitani, nakarmieni, zostali zaproszeni jako honorowi goście na spotkanie do pobliskiego, jedyne katolickiego kościoła w okolicy.

W każdej wiosce nasi rowerzyści byli serdecznie witani i goszczeni. Rzadkością był nocleg pod namiotem. Niejednokrotnie lokalna policja - dla bezpieczeństwa - eskortowała przejazd rowerowy. Zdarzyła się nawet eskorta zakończona zaproszeniem na obiad w restauracji.

„Zaproszenie na herbatę i hasło »czaj pij« to znak, że zaraz na stole pojawi się jedzenie, którego nie przejesz!” - mówią uczestnicy. W diecie codziennej przeważa wołowina, potem baranina i na końcu konina. Podstawowe dania to manty, czyli pierogi z baraniną, bieszbiermak - gotowana wołowina podana z surową cebulą na płatach makaronu oraz czebureki - bułki z farszem mięsnym. Do tego wszechobecny barszcz.

„Nasze emocje krążą wokół tego, co dało nam w kość: mrozu i wiatru, i wokół ludzi, którzy okazali się serdeczni i pomocni” - mówią śmiałkowie, którzy spędzili miesiąc w zimowym stepie. Towarzyszył im surowy krajobraz oraz tabuny zwierząt. Kazachowie od wieków



Kazachowie uważają, że step daje zwierzętom wolność

nie zamykają koni, bo wierzą, że są to wolne stworzenia i w stajni, bez dostępu do stepu, by umarły. Zwierzęta są monitorowane przez nadajniki GPS założone na szyjach przewodników stada. Im bliżej Aralu, zaczęły pojawiać się też wielbłądy, pasące się w zimowej aurze.

Ogromne wrażenie robi to, jak można spokojnie żyć w XXI wieku bez wody i kanalizacji. Podobnie wagony w pociągach ogrzewane każdy osobno z własną instalacją CO zasilaną węglem. „Na długo pozostanie w nas obraz Morza Aralskiego zamienionego przez ludzką bezmyślność w trzy jeziora” - opowiadają uczestnicy I etapu.

Drugi etap wyprawy ruszył niedawno znad resztek morza. Pięciosobowy skład jedzie do Taszkientu. Późnicy spędzą święta Bożego Narodzenia daleko od domu rodzinnego, choć - obserwując doświadczenia poprzedników - raczej nie będą samotni. /©©

BIKEJAMBOREE.PL



ROBERT MAZUREK

WINA MAZURKA

ŚWIĘTA W GĘBIE

Jeśli nawet nie znasz się na winie, to akurat to słowo znasz na pewno - chianti. Czy mogłoby być odpowiednim winem na święta? Ba, co za pytanie!

Chianti brzmi dość pańsko, nobliwie, elegancko - takie przynajmniej skojarzenia mogą mieć starsi z państwa, ot, dziadersi w moim wieku. Dla nas chianti to jeden z symboli eleganckiego, włoskiego wina. Mylimy się, bo to dawne dzieje, a historia zafundowała temu regionowi prawdziwą sinusoidę. Sięgająca średniowiecza sława wina z Toskanii skutkowała tym, że w 1716 roku, Kosma III Medyceusz wytyczył granice regionu, dziś powiedzielibyśmy apelacji. Potem było nieco mniej, by nastąpiło odbicie i region osiągnął świetność 150 lat temu, po której znów nastąpił dramatyczny, bolesny upadek. Ostatnie kilkadziesiąt lat XX wieku to katastrofa. Sprzedawane w fiasco, czyli pękających butelkach w słomce, chianti sprowadzono do roli pamiątki z Toskanii dla masowego turysty. Dopiero końcówka stulecia i lata ostatnie to mozolne odbudowywanie marki. Dziś pod nazwą chianti można znaleźć zarówno marne wino do pizzy, jak i prawdziwe perły. Nas interesują te drugie.

Granice apelacji w ciągu trzystu lat rozciągnęły się, by sięgać od Sieny po Florencję. Wciąż jednak kluczowe dla

chianti są grona sangiovese, do których można dodawać inne tokańskie odmiany.

Dobrze, dość teorii, przenosimy się na południowe przedmieścia Florencji. Choć od centrum miasta dzieli nas jakieś 15 km, to jesteśmy już w innym świecie. Piękne wzgórza, wąskie, obsadzone cyprysami dróżki, urokliwe miasteczka, no i wino. Silvio Messana rzucił dla niego Nowy Jork. Wrócił w rodzinne strony, by uprawiać na swych jedenastu hektarach wina tak naturalnie, jak tylko matka natura pozwoli. Na świąteczne stoły mamy trzy niebanalne wina. W Wigilię, ale nie tylko, możemy sięgnąć po **Tin Trebbiano 2019**. Szczep kojarzący się z lekkimi, letnimi, codziennymi winami trafił tu na pół roku do glinianej amfory, dostajemy więc wspaniałe, pomarańczowe wino w sam raz dla początkujących. Eleganckie, pełne suszonych owoców, z odrobiną miodu i goździków. Święta w gębę! A na czerwono mamy **Sangiovese 2021**, które tryska sokiem wiśniowym. Ależ się to pije! Znika jak szalone. I wreszcie pora na **Chianti Classico 2020** - młodziutkie, malinowe, ładnie ułożone, pełne. Już teraz uzupełni świąteczne pieczenie, a za kilka lat w pełni ukaże swą wspaniałość. Wielka klasa. /©©



Montesecondo Tin Trebbiano 2019
169 zł



Montesecondo Sangiovese 2021
109 zł



Montesecondo Chianti Classico 2020
149 zł



@wina_Mazurka

robert.mazurek@hotmail.com

Winecorner.pl



Powrót katarskiego inwestora, rosyjskie mercedesy jadą do Polski i prawdziwy hit tygodnia: „Dziady” Michniewicza!

GO TO HEL!

Śnieg i niedowierzanie! Niż Brygida przyszedł i zima znowu zaskoczyła drogowców. To znaczy wszystkich Polaków. Bo jakże to? Żeby w grudniu napadało? Nas to jednak cieszy! Niech zawieje i zamiecie. Dzięki temu nie będzie widać, w co wdepnęliśmy.

Przy tej okazji dowiedzieliśmy się ciekawej rzeczy.

Na Wybrzeżu śnieg pada z powodu efektu morza.

Znaczy: przy napływie chłodnego powietrza ciepłe wody Bałtyku dostarczają dużych ilości pary wodnej. Para zamienia się w śnieg nad lądem, który jest chłodniejszy od wody. I co w tym niby ciekawego? Wczytajcie się w stwierdzenie „ciepłe wody Bałtyku”! I ruszajcie na Hel!

W PZPN-ie też jest gorąco! Szczerze mówiąc, dzieją się tam ciekawsze rzeczy niż na mundialu. Trenerowi Michniewiczowi np. nie przedłużono kontraktu, ale jednocześnie nie odwołano go z funkcji. Jego status ontologiczny jest podobny do słynnego kota Schroedingera, który był jednocześnie żywy i martwy. W sumie to jest nazwa na takie obiekty. W tradycji nazywane są upiorami. To o nich opowiadają „Dziady” Mickiewicza. I z Michniewicza też w sumie jest dziad.

Trener Michniewicz uczył sukces na mundialu zablokowaniem w mediach społecznościowych wszystkich dziennikarzy, którzy go krytykowali.

I pomyśleć że facet jest selekcjonerem reprezentacji... Ponieważ obecny prezes PZPN wydaje płyty Zenka Martyniuka, moglibyśmy to skomentować słowami klasyka: jak do tego doszło, nie wiem!

Pewnie niedługo staniemy przed wyborem: trener z Polski czy z zagranicy. Zagraniczny się nie nadaje, bo nie zna polskiej mentalności. A polski się nie nadaje, bo zna. Tak źle i tak niedobrze.

Andrzej Duda pojechał do Berlina, wyściskał się z prezydentem Steinmeierem i ogłosił, że Niemcy to nasz wielki przyjaciel. A jeszcze całkiem niedawno wyglądało na to, że za chwilę wypowiemy im wojnę. Teraz bierzemy od Niemców rakietę. Żeby się tylko nie zdziwili, jak Prezes każe je postawić na zachodniej granicy...

Do rakiet Patriot Niemcy dorzucili jeszcze Mercedes.

Fabrykę Mercedes. I to nam się bardzo podoba.

Od Niemców bierzemy patrioty, a Rosjanom zabieramy mercedesy. To ich naprawdę zaboli.

No i kolejny raz próbowano odwołać ministra Ziobrę.

Jeśli o nas chodzi, to decyzja jest oczywista. Dalibysmy mu dymisję za samą fryzurę, nie licząc działalności. W rankingu szkodników o dziwnych fryzurach ma u nas mocne trzecie miejsce: po Trumpie i Borisie Johnsonie. Ale w Polsce jest numerem 1. I pamiętamy, że tego szkodnika wyhodował Prezes.

PO już wygrywa. W sondażach. W najnowszym przygotowanym przez Kantar Platforma ma cztery procent przewagi nad PiS-em. „Pierwszy prezent pod choinkę” – skomentował Donald Tusk i zaczął się szykować do przejęcia władzy. Pytanie, czy nie za wcześniej. W sondażu Social Changes, kilka dni wcześniej, PiS miał 38 proc., a Platforma 27 proc. Co się stało przez niespełna tydzień? Odpadliśmy z mundialu! I wszystko jasne! Lewy nie strzelił karnego na złość PiS-owi!

A tak serio, to naprawdę szkoda czasu na czytanie sondaży. I pieniędzy na ich robienie. Lepiej je wydać na potrzebujących. Np. trener Michniewicz niedługo będzie bezrobotny.

Perfekcyjna pani domu w Parlamencie Europejskim? Tak twierdzi „Super Express”. Podobno Małgorzata Rozenek zaprzyjaźniła się z (byłą premier) Ewą

Kopacz i chce popularyzować sprawę in vitro. Już się nie możemy doczekać, jak zrobi przewodniczącej von der Leyen „test białej rękawiczki”, a PiS-owcom powie „Dzień dobry TVN”!

No i jak Rozenek zabierze męża, to Majdan będzie też w Brukseli. Nie tylko w Kijowie!

Śmiejemy się z tego, bo mamy pewne doświadczenia z tabloidami. Słyszeliśmy np., jak wymyślano artykuł o pawiach dławiących się kamieniami w Łazienkach... Chcemy jednak zaznaczyć, że około połowy newsów mają prawdziwych! I jeśli ten akurat się potwierdzi, to dopiero będzie paw!

Ale Parlamentowi Europejskiemu to już chyba nic nie zaszkodzi. Ani nie pomoże. Zwłaszcza że w tym tygodniu w Brukseli aresztowano wiceprzewodniczącą Ewę Kaili. Za korupcję. Podobno złapała Katar. Ten z dużej litery.

Katar ma mundial i swoją wiceprzewodniczącą Parlamentu Europejskiego, której ponoć płacił grube euro. A pamiętacie jak katarski inwestor miał przejąć naszą stocznnię za rządów Platformy i wszyscy się z tego śmiali? I jak zwykle okazuje się, że w Polsce nie oplaca się inwestować!

Na koniec smutna wiadomość. Odszedł generał Mirosław Hermaszewski. Bardzo ciekawa postać. Człowiek o skomplikowanej biografii. Polak, który odleciał w kosmos na wiele lat przed Antonim Macierewiczem.

/ @ @

Robert Górski, Kabaret Moralnego Niepokoju,
autor serialu „Ucho Prezesa”

Mariusz Cieślak, publicysta, scenarzysta, satyryk

„PLUS MINUS” ZAPRASZA

podcasty.rp.pl/gorskicieslik-polska-od-ucha-do-ucha



www.rp.pl



ROBERT
GÓRSKI

MARIUSZ
CIEŚLIK



ROBERT MAZUREK

MAZUREK NA WYNOS

PEAN DLA NIEZASTĄPIONEGO

On naprawdę nie wie nawet, jak się nazywa, i cudzym nazwiskiem się przedstawił. Języki obce nigdy nie były jego mocną stroną. W jego fachu są lepsi, ale to on stał się Legendą. Dariusz Szpakowski jest prawdziwym zwycięzcą tego mundialu. I nigdy nie będzie miał następcy.

To nie dzięki niemu, lecz dzięki Janowi Ciszewskiemu po mundialu w Hiszpanii ostatecznie porzuciłem dziecięce marzenia i zamiast reprezentacyjnym bramkarzem, a imponował mi wtedy najbardziej – niech mi pan Józef Młynarczyk wybaczy – Thomas N’Kono, postanowiłem zostać komentatorem sportowym. Owszem, chciałem być dziennikarzem, ale nie jakimś tam zwykłym, chciałem być sprawozdawcą piłkarskim, chciałem być Ciszewskim. Bo w moim dziecięcym świecie Ciszewski był bogiem.

Zdumiewające, ale kiedy ostatnio obejrzałem jeden z meczów z komentarzem pana Jana, to stwierdziłem, że dziś nie da się tego słuchać, ale ja przecież nie o tym.

Ja o tym, że Szpakowski odchodzi. Miał pecha, bo kiedy niemal równo 40 lat temu umierał Ciszewski, a on wchodził w jego buty, to jednocześnie kończył się złoty okres polskiej piłki. Jemu przypadło komentowanie zwycięskich remisów, porażek, po których nic się nie stało, wreszcie jawnie upokarzających klęsk. Lata bez udziału Polaków na mistrzostwach świata czy Europy, baty, które zbieraliśmy od miernot i pośmiewisk reszty świata. Pocieszanie się, że w świecie nie ma już słabych drużyn, nie pomagało, a głos Szpakowskiego zrosł się z obrazem piłkarskiej biedy z nędzą, kompromitacji i obciachu.

Mimo to dzięki absolutnej charyzmie to właśnie Szpakowski stał się legendą. Owszem, przedstawił się jako Dariusz Ciszewski. Owszem, potrafił podawać w jednym meczu trzy różne wersje wymowy nazwiska pomocnika naszych rywali. Owszem, młodszy komentatorzy sprawiają wrażenie, jakby o piłce wiedzieli więcej. I co z tego, skoro spektakl z meczu potrafi wyczarować tylko On? Przeżywał piłkarskie spotkania razem z nami i kiedy potrafił – a to już jest rekord świata – od 70. minuty podsumowywać kadencję trenera czy występ naszych w eliminacjach, to robił to samo, co miliony facetów przed telewizorami. Tylko że on nie rzucał przy tym k...i. Jego „Może już pora zmienić selekcjonera?” było przecież cenzuralną i bardzo, naprawdę bardzo uprzejmą wersją woli narodu.

„A ja uważam, że finał powinien komentować Dariusz Szpakowski i już teraz o tym piszę. Mistrzostw są dziesiątki, legenda odchodzi raz. OK, dwa razy, bo odszedł też Ciszewski. A ci młodzi, nieomylni poligłoci będą jeszcze mieli dekady, by się wykazać”. Napisałem te słowa na Twitterze w pierwszych dniach katarskich mistrzostw bez większej wiary, że TVP się ugnie, tym bardziej że Szpakowski miał w tej instytucji wielu wrogów. Kilku szefów i prezesów uważało, że już pora pożegnać mistrza, że się zestarzał, że nie czuje światowego futbolu. Komentarze pod moim wpisem też były pełne rażącej niezgody na tę propozycję. Nie potrafię ocenić, czy Szpakowski jest najlepszym polskim komentatorem, ale wiem, że 72-letniemu dziennikarzowi po tych wszystkich latach należy się godne pożegnanie.

Tym bardziej że nie będzie już miał następcy. Było ich dwóch: Ciszewski i on, i wystarczy. Wszak teraz komentatorów jest tylu, ile telewizji, platform streamingowych, kanałów internetowych. Jest ich legion, jeden komentuje więc wyłącznie piłkę angielską, inny Ligę Mistrzów, a jeszcze inni mundiale. To się nie odwróci, żaden więc, choćby najlepszy, nie będzie miał tej pozycji co Szpakowski. A jaki będzie komentatorski świat po nim? O, to akurat widzimy już teraz.

Wszyscy mówią świetnie po angielsku, a niektórzy nawet po francusku. Rozpoznają z daleka majaczącą sylwetkę lewego obrońcy – teraz się chyba mówi wahadłowego – Lazio Rzym czy Olympiakosu Pireus. Mają w głowie wszystkie statystyki i znają dietę Łuki Modricia. Są elokwentni, dobrze ubrani, wysportowani. Wrzucają te same angielskie słówka, po czym poznajemy ich fachowość, oraz popełniają te same błędy językowe. Dla nich fizyka to przygotowanie fizyczne. Tak, łączy ich fizyka. Szpakowskiego z nami łączyła piłka. Panie Dariuszu, dziękuję. /©©



KATARZYNA SADŁO

KATARYNA

KOMPROMIS DO ODKRĘCENIA

Mateusz Morawiecki: „Konsultowaliśmy oczywiście zapisy tej ustawy z konstytucjonalistami, ale jest tylko jedna jedyna instytucja w Polsce, która jest w stanie określić pełną zgodność z konstytucją, i to jest TK. Jeżeli będzie taka wola podmiotów uprawnionych, to każdy oczywiście może skierować do TK wniosek”.

Ta wypowiedź premiera niesłusznie przesła niezauważona, a przecież wskazał właśnie prosty sposób na odkręcenie zawartego właśnie z Unią Europejską kompromisu w sprawie kamieni milowych, od których ta uzależnia uruchomienie funduszy z Krajowego Planu Odbudowy. Istotą wyczekanego i wymęczonego polsko-unijnego kompromisu jest wszak samo tylko wejście w życie ustawy zmieniającej sposób prowadzenia postępowań dyscyplinarnych sędziów, a ten warunek bez problemu uda się spełnić, bo rząd może tu liczyć na wsparcie opozycji. Zwłaszcza że już teraz stawia ją pod ścianą, podkreślając jej odpowiedzialność za uwolnienie należnych Polsce pieniędzy. Trudno więc sobie wyobrazić, jak ta miałaby wytłumaczyć Polakom zagłosowanie przeciw ustawie nieco naprawiającej „reformę” sądownictwa, a do tego pozwalającej wreszcie korzystać z tak potrzebnych funduszy.

Ustawa zatem na pewno przejdzie, niezależnie od tego, czy ostatecznie poprze ją koalicyjna Solidarna Polska. A ponieważ jej poparcie nie jest niezbędne, niewykluczone, że ziołbryści kolejny raz postawią się w opozycji do własnego rządu, ogłaszając się jedynymi obrońcami polskiej suwerenności sprzedanej przez premiera. Który z pokorą przyjmie kolejną porcję obelg pod swoim adresem, bo jest za słaby nie tylko na swojego ministra sprawiedliwości, ale nawet na wiceministrów w mniej znaczących resortach.

A jak już kompromis zostanie skonsumowany i będziemy mogli wreszcie zacząć korzystać z funduszy na KPO, pewnie znajdzie się jakiś „podmiot uprawniony”, który poskarży się Trybunałowi Konstytucyjnemu na niezgodność ustawy z konstytucją i o jej losie zadecyduje wyłącznie polityczna kalkulacja Jarosława Kaczyńskiego. Nie postawiłabym dużych pieniędzy na to, że prezes zechce dotrzymać kompromisu zawartego przez premiera. Chciałabym się mylić, ale ostatecznym zwycięzcą tego przeciągania liny może się okazać Zbigniew Ziobro, który będzie mógł całą kampanię wyborczą zbudować na byciu ostatnim obrońcą polskiej suwerenności. Mam wrażenie, że bez względu na ostateczny los ustawy on już swoje wygrał. Jej los pokaże tylko, jak dużo. /©©

RYSUJE JANUSZ KAPUSTA



Zakupiono w NEXTO: 3738518